Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 19,60 zł w tym 8% VAT ● NR 22–23 (1862–1863) ● 29 maja–11 czerwca 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

Podwójny numer!

BOŻE CIAŁO

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl dedb5134a1

Podwójny numer – na Boże Ciało i dla ludzkiego umysłu. A w nim:

3: **Posttrumpizm** – czy schyłkowa faza kapitalizmu skończy się ludobójczą wojną bogatych przeciwko biednym

4: **O co walczymy?** – żyjemy w fazie dogorywających konfliktów XX w. i kilku nowych, ale III wojny światowej z tego nie będzie

5: **Wypisać się z szeregu zabójców** – z polskim uczestnikiem Flotylii Sumud rozmawiamy o izraelskiej gościnności

6: **Zakładnicy gry o tron** – wojna o Trybunał Konstytucyjny toczy się na koszt opiekunów niepełnosprawnych
Walka rządu z medycznymi wiatrakami – czy „lex szarlatan" naprawdę ochroni pacjentów?

7: **Zielony balonik** – wkurwia was system aukcyjny? Nas też

8: **Edukacja zastępcza** – w MEN naprawdę nie wiedzą, jak cudze dzieci uczyć
Apostołowie miłosierdzia znad Wisły – odebranie niezdolnym do pracy Ukraińcom prawa do leczenia nie naprawi NFZ

9: **Nauka, głupcze!** – Polska przeznacza na naukę 1 proc. PKB, ale nastroju ministra Kulaska to nie psuje

10: **Klucz do marży** – rządowy fundusz mieszkalnictwa zamiast mieszkań buduje struktury spółek. Czytaj: etaty i gabinety prezesów
Rezerwat poselskiej głupoty: jak wybrańcy narodu, którzy lubią strzelać do zwierząt, decydują o ochronie przyrody

11: **Europejski kocioł** – jak Europa przywraca „równowagę między prawami człowieka a interesem publicznym" na przykładzie Somalijki z amputowanymi stopami

12: **Mądrość do trumny** – wiedza o świecie przywieziona z promu do Szwecji

13: **Komu władza, komu renta** – wybory tuż tuż, a skład sztabu wyborczego KO nie napawa optymizmem
Jak skończy Cenckiewicz – upiór raportu o WSI powstaje z grobu

14: **Permanentna inwigilacja** – technofaszyści z Palantira o płytkiej pokusie pustego i bezsensownego pluralizmu

15: **Kogo zastąpi maszyna?** – problemem nie jest sztuczna inteligencja, tylko kapitalistyczna oligarchia, która nią zarządza

16: **Na smyczy big techu** – zamiast wziąć korporacje za ryj, Unia Europejska urządza im piaskownicę
Twórczy syf – skoro myślenie może być sztuczne, zrehabilitujmy bezmyślność

17: **Gównowacenie** – chłam, który nam wciska kapitalizm, to strategia, a nie niechlujstwo

18: **Nieustające zapomniczanie** – pomników coraz więcej, ale Kaczyńscy i Wojtyłowie wyszli z mody

19: **Łódzki głupek stawia słupek** – tragikomiczna historia porządkowania Piotrkowskiej
Z zupy Żurka – osobliwości podlaskie w sprawiedliwości

20: **Moralność czynszojadów** – dlaczego zaleganie z czynszem oburza wszystkich, a z wypłatą pracownikom mało kogo
Nowotwór jak okiem sięgnąć – od czego dostać raka? Wybór należy do ciebie

21: **Tabela – pożeracz emerytów** – dlaczego sięganie po dodatkowe lata życia pracowników ma być przejawem odpowiedzialności
Matura z czapkowania – polecenie na tegorocznym egzaminie dojrzałości: uzasadnij, że fabrykant to dobry pan

22: **Utęczowić ścianę wschodnią** – Marcin Matczak kontra Martin Luther King, czyli czy da się walczyć pokornie
Loteryjka genowa – co dziesiąty mężczyzna wychowuje cudze dziecko? Nie, ale mit jest bardzo dochodowy

23: **Zdobycze niepodległości** – nie pijemy i nie ruchamy. I warto było tę komunę obalać?

24: **Nędza przed rewolucją** – co dla Wenezueli oznacza przyjaźń z Ameryką
Operacja Epicka Nazwa – kreatywne imiona specjalnych operacji wojskowych USA

25: **Wieża na globalnej szachownicy** – dlaczego Iran jeszcze nie upadł (i nawet się nie zanosi)?

26: **Wróg liberalizmu** – czy Nigel Farage naprawdę tak bardzo różni się od europejskiego mainstreamu

27: **Pasterze nowego świata** – Chiny ułożą sobie świat z Ameryką po jednej stronie i Rosją po drugiej, a Europa zostanie w dupie
Podróż z Mosadem – polskie wojsko panikuje na myśl o chińskich gadżetach. Groza czai się gdzie indziej

28: **Ciało duchowne** – księży ubywa, a parafii przybywa. Cud

29: **Dziury w sutannie** – kler katolicki: gatunek zagrożony wymarciem
Stary niewiarus – Donald z Gdańska u Boba z Chicago

30: **Śladami krzyżowców** – rycerski ruch antybanksterski, czyli skąd się wzięły pogromy

A poza tym jak zwykle: **Blog wszystkich świętych**, **Prasa śniadaniowa**, **Listonosz doniósł**, **Móżdżek tygodnia**, **Życie w dobrobycie**, **Wieści gminne**, **Trumpolandia**, **Z czarnej dupy się wyrwało**, **Wieści z kruchty**, **Sportek**, **Słówka półgłówka**, **Dialogi dam**, **komiks Dąbrowskiego**.

Następny, pojedynczy numer „NIE" ukaże się 12 czerwca

Z URNY BLAGIERA URBANA

Maj–czerwiec 2014 r.

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



Świętego Augustyna

Sprzedaję Jaguara. Skoro jestem nowobogackim (nuworyszem), głupotą było demonstrowanie tej wady. Kochałem się z kozą, ja ją głaskałem, a ona mnie lizała nadobnie. Jada kwiaty od wielbicieli. Gandhi to miał gust.

Świętego Germaina de Paris

Z pewnych wysoko postawionych intelektualnie ust usłyszałem żydowski dowcip. Ale nie jakiś stary, wytarty szmonces, ale kawał aktualny. Wyraża on chiński antysemityzm. Do żydowskiego sklepu z bielizną żeńszczyźnianą przychodzi Chińczyk: – Poproszę dwa czarne biustonosze. – Kosztują po 60 dolarów. Chińczyk kupuje. Nazajutrz: – Poproszę 100 czarnych staników. Chytry Żyd: – Uj, na jutro? Koszty. Po 80 dolarów. Następnie Kitajec płaci po 100 dolarów za 500 sztuk. Izraelita zaskoczony: – Panie Chińczyk, gdzie tu pana interes? – Widzisz, ja kroję je na pół i sprzedaję Żydkom po 400 dolarów jako mycki na głowę.



Ilustr. OLEJNIK

Świętego Ferdynanda

Piękna pani rzecznik prasowa ambasady Federacji Rosyjskiej! Szanowni dyplomaci stosownego wydziału! Uprzejmie proszę o przekazanie znanymi Wam kanałami, żeby rosyjska Federacja Rozwoju Instytucji Społeczeństwa Obywatelskiego odpieprzyła się od członków redakcji „NIE" raz na zawsze. Robotę werbunkową radzę prowadzić w „Gazecie Polskiej", bardzo łasej na darmowe podróże. Korzystam z okazji, żeby ambasadzie przekazać wyrazy przyjaźni i najgłębszego szacunku.

Świętej Wizytacji

Powyborczy rozpad Europy Plus ma drugie dno. Sekta żydowska E+ zaatakowała sektę antykatolicką. Powodem było to, że przeciwnicy Kościoła żądali nie tylko zwrotu majątku publicznego bezpodstawnie zagarniętego przez kler, lecz tego samego od gmin mojżeszowych. Jako animalista jestem neutralny wobec tego sporu. Mogę oddać budę dla psa.

Świętego Justyna

Pół „Faktów" TVN poświęcone było temu, że separatyści ze wschodniej Ukrainy złapali polskiego księdza, łysego zresztą. Męczyli go, nie wierząc, że jest księdzem, a gdy uwierzyli, to wypuścili. Tego samego dnia Rosja zawarła Unię Euroazjatycką bez Ukrainy, co migawkowo pokazano. Armia ukraińska zaczęła strzelać do separatystów, a Moskwa nie protestowała, lecz wycofała wojska znad granicy i uznawała wybór nowego prezydenta Ukrainy. Wyglądało, że Rosja odpuszcza sobie na razie Ukrainę. Wszystkiego tego nie było w TVN, a w każdym razie nie było do kupy, choć to doniosły zwrot. Publiczność dowiedziała się tylko, że mamy jednego księdza z odzysku.

Świętej Blandyny

Prezydent elekt Poroszenko powinien przejąć władzę z rąk legalnie wybranego poprzednika Janukowycza. Cementowałoby to państwo i spotkałoby się z przychylnością Partii Regionów. Oznaczałoby też, że Janukowycz nigdy się nie pojawi jako pretendent do władzy.

Pamiętam, jak Wałęsa przejmował urząd prezydenta nie od legalnie wybranego Jaruzelskiego, tylko od jednego z prezydentów starej emigracji londyńskiej uznawanego za głowę państwa przez własną żonę i stołowników jadłodajni dla polskich emerytów.

Świętego Kevina

Daniszewska pogłaskała psa sąsiadów i Azor to wyczuł. Ma depresję z zazdrości. Ja nie. Daniszewska zeszczuplała do swojej normy z czasów studenckich i wraca do dawnych sukien i kochanków. Suknie odnajduje w szafie, a kochanków na cmentarzach i w hospicjach. O Daniszewskiej mówią w Białymstoku, że straciła dziewictwo jako uczennica, zgwałciwszy kolegę z niższej klasy. Tak go to zraziło do kobiet, że został potem księdzem.

W naszym ogrodzie obrodziły jakieś ohydne ślimaki niejadalne. Zbiera się je i robi im Jedwabne bez stodoły. Do ogrodu trzeba codziennie kupować świeże kwiaty. Na obiad jak zwykle kaszanka. Oczywiście Azor ma ekologiczną cielęcinę z ekologicznego cielęcia hodowanego bezstresowo. Czytam biografię Himmlera – opowieść o tym, do czego można dojść ciężką pracą. Na drzewach u nas pracuje artysta malarz. Przemalowuje niezamieszkane domki dla sikorek na pałace dla sikorek. Kolumny doryckie je zanęcą. Daniszewska przestała szukać wszy na swojej głowie. Z okazji minionego Dnia Dziecka zaprosiła wnuki na kaszankę. Boli głowa od wrzasków ptaków – taki los mieszczucha, który mieszka za miastem. Daniszewska postanowiła pić wieczorami o pół litra wódki mniej niż dotychczas i na ogół trzyma się tej reszty. Azor jest w ogóle niepijący, ale adoptowani często są wyrodkami. Tłumaczy się tym, że psy nie piją. Gadanie. Abstynent nie może być przyjacielem człowieka. Ja na starość piję szprycer: czystą rozcieńczoną wodą. Za młodu czystą popijałem wodą, tak że różnica nie jest wielka. Jak Daniszewska jest pijana, to mówi, że mnie kocha, a jak trzeźwa, to żebym mył zęby. Nie szczędzę jej więc wódki.

Świętej Klotyldy

„Urbanowi grozi więzienie" – to radosny tytuł w „Gazecie Polskiej Codziennie". Tamże „Michnik atakuje Polaków" – w jednej osobie prof. Legutki, jak się okazuje.

W samej „GPC" też rozbieżności, a to między Sakiewiczem, który uważa, że Jaruzelski powinien leżeć z Hansem Frankiem, a Dawidem Wildsteinem będącym zdania, iż jako zbrodniarz powinien wisieć. Wszystkie orientacje polityczne w Polsce połączyła nienawiść do Korwin-Mikkego. To niebezpieczne zjednoczenie; grozi ono tym, że ogół antypolityków powoła Korwina do rządzenia.

Świętego Igora

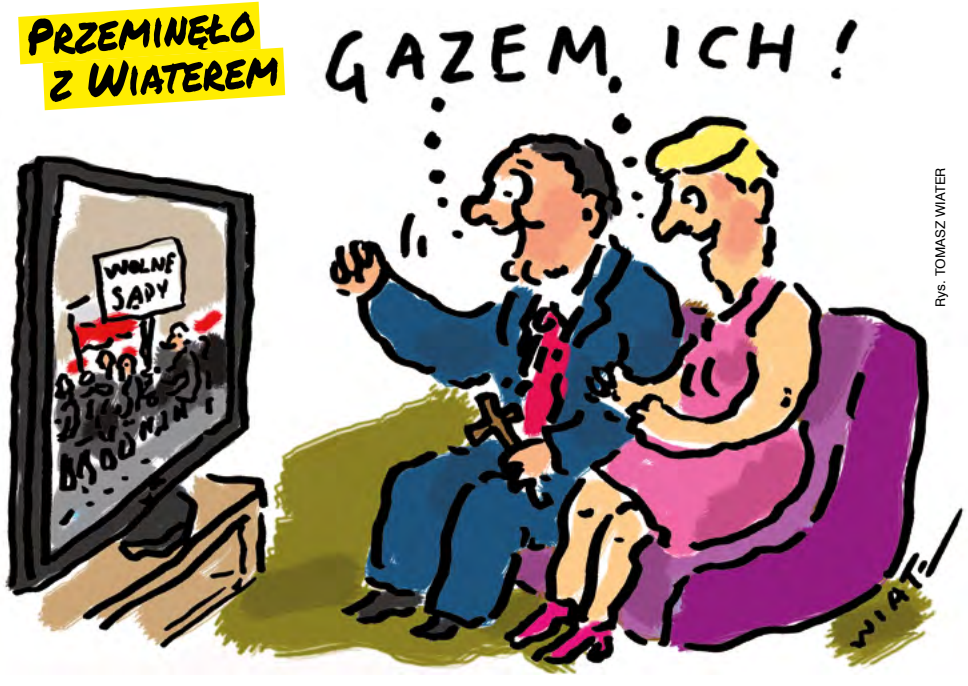
25-lecie przegrania przeze mnie wyborów do sejmu obchodzone było bardzo uroczyście. Przyjechało wielu prezydentów, w tym Obama z Waszyngtonu i Lech Wałęsa z Mławy. W 1989 r. wystarczyło zdjęcie z Wałęsą, żeby wejść do parlamentu. Teraz nie mówiono o tym, że sam Wałęsa wygrał wybory tylko raz. Prezydenckie. W drugiej turze pokonał niejakiego Tymińskiego. Po przegraniu z Kwaśniewskim próbował po raz trzeci i dostał 1 proc. głosów. Zapewne Obama mu to objaśnił: Murzyn zrobił swoje. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Katoliccy aktywiści** sprzeciwiają się wprowadzeniu buddyzmu w ramach religii w szkołach. Katolicy są za wszystkimi religiami, ale jednak bez buddyzmu, judaizmu, islamu i prawosławia.
- **Zbigniew Ziobro** wkrótce wyruszy w trasę po Stanach Zjednoczonych. Jako suport wystąpi Krzysztof Rutkowski.
- **Grupa Proelio** ostrzega, że małżeństwa jednopłciowe to atak na dzieci. Racja, miejsce dzieci jest w domach dziecka.
- **Donald Tusk** poinformował o prowokacyjnej informacji o pożarze w domu Karola Nawrockiego. Czy strażacy chociaż podlali kwiatki?
- **Sławomir Mentzen** stwierdził, że rodzi się za mało dzieci, bo ludzie piją za mało alkoholu. Co więcej, dzieci poczęte bez alkoholu nie będą głosować na Konfederację.
- **Tomasz Sakiewicz** powiedział, że nie płaci pracownikom, bo to nie jest typowa firma. Firma taka jest jak najbardziej typowa, z tym że dla krajów trzeciego świata.

MARTA M.

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM



Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Sz. Pani Redaktorko Naczelna,

„zamieniła" Pani Profesora współpracującego z pismem „NIE" od wielu lat na Człowieka, którego współplemieńcy wybrali sobie jako przywódców ludzi Hamasu, organizacji terrorystycznej, która perfidnie zorganizowała swoje bazy w szkołach, szpitalach itp., i zrzucali winę na Izrael, że bombardują. A w Polsce nikt obiektywnie niczego, co dotyczy Żydów i Rosjan, nie ocenia.

Bardzo jestem zbulwersowana, że Pani poddała się indoktrynacji i w sprawie Palestyny, i Rosji.

W związku z bardzo jednostronnym przedstawianiem w Polsce spraw Palestyny proszę Panią o znalezienie (jeśli to w tym kraju jest jeszcze możliwe) obiektywnego historyka, który opisze zasady współdziałania obu narodów na tamtych terenach.

Z poważaniem
Grażyna

Od redakcji:

Szanowna p. Grażyno,

nie „zamieniłam" prof. Hartmana na Omara Farisa – zaprzestanie współpracy z „NIE" było decyzją Profesora, który nie chciał występować na tych samych łamach z działaczem palestyńskim.

Nie uważamy też, że w każdej sprawie są dwa równorzędne punkty widzenia. Nie było ich w ocenie Holokaustu – i nie ma ich w ocenie ludobójstwa, jakiego Izrael dopuszcza się wobec Palestyńczyków. Najnowsze dane mówią o 73 861 ofiarach śmiertelnych izraelskiej agresji: w tym 13 544 kobietach, 22 081 dzieciach, 1701 pracownikach służby zdrowia. Chętnie opublikujemy artykuł „obiektywnego historyka" – nie uważamy jednak, żeby obiektywizm oznaczał usprawiedliwianie zbrodni wojennych.

Nie mam też poczucia, żebyśmy byli nieobiektywni i zindoktrynowani w sprawie Rosji. Wręcz przeciwnie – spotykamy się z zarzutami, że jesteśmy niedostatecznie antyrosyjscy, co w mojej opinii jest dowodem, że nie bierzemy udziału w propagandowej ofensywie po żadnej ze stron.

Z sympatią i poważaniem
Agnieszka Wołk-Łaniewska

eprasa.pl dedb5134a1

Posttrumpizm

Skończmy ze wzrostem gospodarczym. I tak, wiem, jak to brzmi – ale poczytajcie.



Los ludzkości spoczywa w dziś rękach tytanów kapitału w rodzaju Jeffa Bezosa czy Elona Muska. To ich pasje i fobie – a nie publiczna debata i decyzja – przesądzają o zakresie prywatności, o pracy dla wszystkich bądź bezrobociu, o jakości życia ludzi i ich relacji z przyrodą. I to w sercu przewodniej siły ludzkości.

Dysponenci patentów i kapitału finansowego zastrzegają dla siebie decyzję, jak dalece mogą być wykorzystywane sztuczna inteligencja, prywatność ludzi, modyfikacje genetyczne. Zastąpili oni w tym zadaniu narodowe parlamenty, debatę publiczną czy uniwersytety. Podyktowany przez nich dalszy rabunek planety przyjmie postać komercjalizacji Arktyki, eksploatacji zasobów z dna oceanów, w końcu nawet planetoid, gdzie mogą znajdować się platynowce.

Na dodatek zarówno Musk, jak i Bezos przyciągają w ostatnich latach międzynarodową uwagę ze względu na zwalczanie związków zawodowych w swoich firmach.

Powstaje pytanie: na czym miałaby się opierać wiara, że motywowane żądzą bogactwa i władzy działania pazernych psychotycznych osobowości przyniosą korzyści całemu społeczeństwu? To pytanie stawiał już John M. Keynes, bo tak proroczo postrzegał kapitalizm.

I jeśli w nowym zielonym kapitalizmie będzie coraz trudniej o dobre życie w zgodzie z przyrodą i z innymi to trzeba przedsiębiorczość mieć na oku. Trzeba w tym celu wykorzystać państwo – dziś słabe, zapożyczone u inwestorów, którzy szachują je ucieczką portfelowego kapitału, gdyby nie usłuchało wyroków rynku. Sprawne państwo potrzebne jest po to, by wypracować rozwiązania respektujące racjonalność ogólnospołeczną i planetarną – racjonalność, która by uwzględniała interesy zarówno przyrody, jak i klas pracowniczych. Społeczeństwo nie jest i nie może być spółką nastawioną na zysk nielicznych, których pasją są bogactwo materialne i władza nawet kosztem przyrody, pracy i życia innych ludzi. Bez odejścia od wzrostu gospodarczego – a to przecież dynamo systemu – tylko nasilą się wszystkie jego plagi: ekologiczne, społeczne, wojna wszystkich ze wszystkimi. Wszystko co najgorsze wciąż przed nami: w równym stopniu na Globalnym Południu i zmierzchającym stopniowo Zachodzie.

Co robić?

W jaki sposób wyegzekwować sprawiedliwe opłaty za destrukcję planety?

Kolejność wyrzeczeń jest łatwa do ustalenia. Najpierw konsumujący najwięcej energii bezosmeni. Potem zamożni konsumenci bogatej Północy; najbogatsze 10 proc. gospodarstw domowych odpowiada za blisko połowę emisji gazów cieplarnianych. Sprawiedliwość klimatyczna wymaga od nas rekompensaty dla afrykańskich rolników, którym zmiany klimatu odebrały środki do życia. Od podróży na Marsa ważniejsze jest zastępowanie minerałów rzadkich minerałami pospolitymi, promowanie recyklingu i zamkniętego obiegu metali oraz ograniczanie zużycia energii i surowców.

Tu pojawia się rola państwa. Na razie wszystkie starają się, by krajowe firmy, ich właściciele i udziałowcy mieli jak najlepszą pozycję w obecnym neoliberalnym ładzie. A więc w kapitalizmie wzrostu gospodarczego i masowej konsumpcji. Na czoło wysuwa się teraz chińska gospodarka sterowana z jednego centrum decyzyjnego. Stąd nerwowy, obciążający planetę, wściekły wyścig zbrojeń i tworzenie nowych sojuszy: Triada, BRICS.

Wariant przeciwny musiałby zakładać obowiązujące w skali całej ludzkości regulacje dostępu do zasobów i normy emisji, globalne podatki dochodowe i majątkowe, zrównoważoną ekologicznie konsumpcję każdej i każdego z nas. Dopiero wtedy ucichnie pieśń o cudach przedsiębiorczości, o cudach wolnego rynku i o błogosławieństwie deregulacji gospodarki.

Kapitalizmy już były. Niewiele zmieni reklamowany jako przyjazny ludziom i przyrodzie kapitalizm zielony, cyfrowy, kognitywny, 4.0. Także transformacja energetyczna i cyfrowa nie rozwiążą problemu dekarbonizacji napędów. Bo energetyka wiatrowa czy solarna obsłuży 36 proc. gospodarstw domowych i zakładów usługowych. Co z procesami przemysłowymi, które przebiegają w temperaturze tysięcy stopni, i to w sposób ciągły? Nie odeszliśmy od atomów i dopóki człowiek ma potrzeby biogenne – nie odejdziemy.

Dlatego – jak zwykle w sytuacji kryzysowej – pojawią się: backlash, populizm, zabarwione nacjonalistycznie i rasowo ruchy radykalnej prawicy. Aktywizacji tych warstw świadomości społecznej sprzyjać będą fale migracyjne uciekinierów klimatycznych. W tej sytuacji pytanie nie brzmi, czy świat będzie ulegał rozpadowi, ale jak szybko i do jakiego stopnia.

Taki finał koncentracji kapitału i oligarchizacji społeczeństw przewidywała Róża Luksemburg. Nazwała go barbarzyństwem. A tak swoją drogą: jakże ohydnie zachował się wobec pamięci drugiej najbardziej znanej na świecie Polki namaszczony dziś przez PiS na premiera Przemysław Czarnek. W 2018 r., jako wojewoda lubelski, kazał skuć tablicę pamiątkową ze ściany zamojskiej kamienicy, w której się urodziła. Tablica zniknęła, problem pozostał.

Odpowiedzią byłaby druga – po rooseveltowskim New Dealu – światowa wojna z korporacjami, z ich udziałowcami, z menedżmentem, z posiadaczami miliardowych pakietów akcji. Bez nacisku ludzi spenetrowanych przez elastyczne stosunki pracy – będzie to tylko pobożne życzenie. Europejczycy nadal wciąż żyją złudzeniami, że wraz z USA, Kanadą, Japonią tworzą imperium i mogą podtrzymywać ład, który zapewnia przechwytywanie wartości z coraz dłuższych łańcuchów produkcji. To były duże i łatwe zyski. Ale były. Zapowiada się coś dolegliwszego niż kryzys energetyczny i powiązana z nim inflacja. Jeśli pozostawimy gospodarkę bezosmenom, czeka nas globalny stan wyjątkowy.

Eksterminacja mas zbędnych

Pesymistyczną prognozę trwania kapitalizmu w obecnym neoliberalnym jarzmie uzasadnia doświadczenie historyczne.

Radykalna zmiana przekonań, na których opieraliśmy swój ogląd świata, jest możliwa w czasie głębokiego kryzysu codzienności, kiedy już nie da się żyć według dotychczasowych reguł. Tak było podczas wielkiego kryzysu lat 30. ubiegłego wieku. Zakończył się faszyzmem i konfliktem światowym. Dopiero z tej pożogi wyłoniło się państwo dobrobytu.

Jeszcze bardziej pesymistycznie brzmi generalizacja historyczna niemieckiego psychologa społecznego Haralda Welzera, że „cała historia nas uczy, że masowe użycie przemocy zawsze stanowi opcję działania. Ludzkie wspólnoty przetrwania (…) są też ciągle wspólnotami eksterminacji i społeczne zmiany klimatyczne zdają się tę myśl potwierdzać". Welzer wieszczy ponuro, że „ludzie, którzy zyskają status zbędnych i zaczną wydawać się zagrożeniem dla potrzeb dobrobytu i bezpieczeństwa dobrze sytuowanych, w dużej liczbie poniosą śmierć; czy to przez brak wody, niedostatek pożywienia, czy też wojny na granicy, wojny domowe albo konflikty międzypaństwowe wskutek zmienionych warunków środowiskowych". I dodaje, wcale niepocieszająco: „To nie jest wypowiedź normatywna, odpowiada jedynie temu, czego mogliśmy się nauczyć na przykładach rozwiązań odczuwanych problemów XX w.".



Także francuski filozof Bernard Stiegler przewiduje, że kresem „światowej wojny ekonomicznej" – jaką jest w istocie poddanie gospodarki regułom neoliberalnej doktryny – będzie zwykła wojna: „Wkrótce nie będzie już bojowników gospodarczych. Ale wówczas pojawi się prawdziwe wojsko". Upowszechniona ruina będzie na końcu tej drogi.

Najmroczniejszy wariant dalszej ewolucji systemu – eksterminizm – sugeruje Peter Frase w książce „Cztery przyszłości świata. Wizje świata po kapitalizmie". Przewiduje on, iż obecna hierarchia społeczna, oparta na uprzywilejowaniu najbogatszych, zderzy się z radykalnym niedoborem zasobów i energii, do jakiego prowadzi dzisiejszy rabunek planety. Efektem będzie społeczeństwo, w którym elity dojdą do wniosku, że masy są im zbędne – zarówno jako siła robocza, jak i konsumenci – a przy tym stanowią fizyczne niebezpieczeństwo. Co może się skończyć – pisze Frase – „ostatecznym rozwiązaniem: ludobójczą wojną bogatych przeciwko biednym".

Chińska przestroga

W ostatnich dekadach XIX w. w wielu rejonach świata doszło do dodatniego sprzężenia zwrotnego między zaburzeniami klimatu oraz podbojami kolonialnymi. Tragiczne żniwo ta koincydencja zebrała w Chinach, gdzie naprzemienne powodzie i susze zderzyły się z rozkładem ujarzmianego przez kolonizatorów państwa. Pod naporem europejskich mocarstw panująca w Chinach dynastia Qing zwiększyła wydatki na armię kosztem zaniedbania infrastruktury hydrologicznej, koniecznej też do transportu zboża. W efekcie w latach 1876–1879 i 1896–1900 w Chinach z głodu zmarło, według różnych rachunków, między 19,5 a 30 mln osób. Relacje europejskich misjonarzy i chińskich kronikarzy, którzy byli świadkami tej tragedii, przerażają: „Szkielety ludzi leżały wzdłuż drogi. Duże powiaty utraciły średnio od stu do dwustu tysięcy ludzi, a w pomniejszych straty sięgały nawet pięćdziesięciu–sześćdziesięciu tysięcy. Jedynym sposobem pozbycia się ciał było kopanie wielkich dołów, które dzisiaj noszą nazwę dołów dla dziesięciu tysięcy; martwe dzieci wrzucano do studni". Osłabionych głodem rolników dopadały watahy wilków – „ociężałe i opętane pożeraniem ciał zatrważającej liczby ofiar, wałęsające się po obrzeżach wiosek i miast".

Widzimy związek między osłabieniem państwa chińskiego a imperializmem (działania wojenne, wymuszony przez Anglików handel opium dla zrównoważenia deficytu w handlu herbatą, narzucone cła i kontrybucje). W rezultacie doszło do osłabienia społecznego kapitału wspólnot rolnych. Rolnicy zostali pozbawieni uprawnień do zasobów naturalnych stanowiących podstawę tradycyjnego rolnictwa: systemów nawadniania, ochrony przed powodziami i suszami, do lasów, pastwisk, kanałów. Dodatkowo pozbawiono ich dysponowania wodami zlewni. Ale ważnym czynnikiem było też wylesianie – zarówno karczowanie pod uprawę, jak i na materiał budowlany, a także opałowy. To doprowadziło do obniżenia poziomu wód gruntowych i zamulenia Wielkiego Kanału, służącego do transportu zboża.

Wcześniej – w złotych latach bezpieczeństwa żywnościowego – sami cesarze doglądali zarządzania spichlerzami. Ukrócili też działania spekulacyjne, pilnowali żeglowności Wielkiego Kanału łączącego Pekin z Hangzhou, Rzekę Żółtą z Jangcy.

Początek tych zmian leżał w Europie, kontretnie w Londynie. Za tymi zmianami bowiem stało – jak objaśnia amerykański historyk Mike Davies w książce „Holokausty późnej epoki wiktoriańskiej" – obciążenie Chin kosztami „dostosowania strukturalnego", wymuszonego przez deficyt handlowy brytyjskiego imperium, które w tych latach ustąpiło pierwszeństwa w innowacyjności gospodarce amerykańskiej (elektryczność, przemysł samochodowy) i niemieckiej (metalurgia, wielka chemia, silnik spalinowy). W tej sytuacji rządzący Anglią przerzucili koszty swojej słabości „na rolników i producentów żywności peryferii". Tak to może wyglądać za kilka dekad.

Totalitaryzacja kapitalizmu

Sytuacja będzie się pogarszać wraz z postępującą degradacją środowiska. Co roku tracimy aż 12 mln ha ziem uprawnych, a dalsze 20 mln ha ulega degradacji. Do tego susze i huragany wypędzą ludzi z dotychczasowych siedzib. Jeśli dodatkowo, w wyniku uwolnienia metanu zdeponowanego w osadach dennych Arktyki i Syberii, otworzą się wyczekiwane szlaki transportowe – będziemy wszyscy mieli radosną apokalipsę. Według prognoz mieszkańcy takich krajów jak Afganistan, Pakistan, Mjanma, Zimbabwe, Haiti – ruszą w drogę donikąd. Bo wskutek wzrostu temperatury o 2,7 stopnia Celsjusza do 2100 r. aż 2 mld ludzi utracą warunki do życia. Do 2090 r. może ich być już 3,7 mld.

Dalej będzie postępowała totalitaryzacja kapitalizmu. I kolejne dziedziny życia społecznego poddane zostaną krótkoterminowej rentowności. A za nią stoi zwyrodniały egoizm i chciwość psycho- i socjopatów z Doliny Krzemowej. Trwa kolejny wyścig o rentowność platform cyfrowych, o coraz skuteczniejszy merchandising danych osobowych, żeby sterować wyborami politycznymi i konsumenckimi. Powstanie sprawniejsza rządomyślność algorytmiczna, zakorzeniona w kapitalizmie nadzoru. I to jest punkt krytyczny obecnego systemu.

W tej sytuacji warunkiem skuteczności jakiegokolwiek przeciwdziałania tym tendencjom będzie zatrzymanie dynama kapitalizmu, czyli przymusu akumulacji kapitału. Dopiero w zderzeniu z narastającymi skutkami kryzysu planetarnego ma szansę przebić się myśl, że „jako samotne jednostki skazani jesteśmy na przegraną, tylko we wspólnotowej organizacji i oporze mamy szansę na dobre życie" – jak pisze socjolog Mikołaj Ratajczak w książce o zmaganiach włoskiej lewicy z wszechwładnym kapitałem i jego państwem. To myśl, która wykiełkowała w erze zimnej wojny i groźby zimy nuklearnej jako następstwa wyścigu zbrojeń między USA a ZSRR.

Wnioski dla lewicy

Lewica musi wyważać liberalne wolności z poczuciem wspólnotowości, społecznej solidarności. Nie może – jak liberałowie – sprowadzać demokracji do wyborczej telemeledemokracji. W jej programie muszą być postulaty, jak niwelować nierówności na tle klasowym, rasowym, płciowym, etnicznym. Jak unikać wyścigu zbrojeń i wojen.

To wrażliwość nie tylko na dyskryminację z powodu płci, nieheteronormatywności. Naturalne środowisko dla lewicy to środowisko pracy, współdziałanie ze związkami zawodowymi w kraju, w UE i na świecie.

Organizacje pozarządowe i charytatywne, finansowane w 70 proc. z budżetu, naprawiają tylko wady neoliberalnego ładu społecznego. Jak teraz przestawić się na komunikację zbiorową, ograniczyć loty samolotem na przedłużony weekend tam, gdzie słońce i ciepła woda w lecie, a obfitość śniegu na narciarskich trasach w zimie?

Przemodelowanie stylu życia na model oszczędzający planetę: *plain living, high thinking* będzie bolesnym zabiegiem dla wszystkich: producentów, konsumentów, obywateli, biznesu medialnego (żywionego reklamami), systemu edukacji (nauczanie nie przedsiębiorczości, tylko np. wrażliwości estetycznej), odbudowy zaufania do wspólnotowych instytucji jak w Finlandii.

Planeta w nadchodzących dekadach pozwoli na co najwyżej umiarkowanie dostatnie życie dla 8–9 mld ludzi. Rewolucja szczęścia oparta na wykorzystaniu w przemyśle nauki i taniej energii węglowodorów wkracza w nową fazę: w fazę konsumpcji dóbr duchowych po zaspokojeniu potrzeb bytowych, w fazę stylu życia opartego na mniejszym zużyciu energii. Tak więc ani nie możemy wrócić do przeszłości, ani poprzestać na tym, co nam przyniosły rewolucja przemysłowa i kapitalizm, jaki znamy. Żyjemy bowiem w epoce katastrofalnej konwergencji kilku kryzysów: klimatycznego, ekologicznego, nierównego podziału bogactwa między regionami świata i wewnątrz bogatych społeczeństw, a także niewydolności państw.

TADEUSZ KLEMENTEWICZ

eprasa.pl dedb5134a1

Nie martwmy się III wojną światową; martwmy się tymi wojnami, które trwają.



Rys. PAWEŁ KUCZYŃSKI

Niedawno minął 81. rok od zakończenia największej i najkrwawszej wojny w dziejach ludzkości. 8 maja w Europie i 18 sierpnia w Azji ucichły armaty, uziemiono samoloty, skierowano do portów łodzie podwodne. Ustało wzajemne zabijanie się. 24 czerwca 1945 r. w Moskwie odbyła się największa w historii defilada na zakończenie wojny z udziałem 45 tysięcy żołnierzy. Defiladą dowodził marszałek Rokossowski, a przyjmował ją Żukow. Przed stanowiącym trybunę honorową mauzoleum Lenina pod nogi Stalina rzucono kilkaset zdobytych sztandarów jednostek niemieckich.

Wymierają już ostatni weterani tej wojny. Nie żyje żaden z jej wielkich wodzów. Wygasają nawet juble z tym wydarzeniami związane; smutna ich resztówka odbyła się w Moskwie za łaskawym przyzwoleniem Stanów Zjednoczonych, a kabaretowym tylko ukraińskiego prezydenta Zełenskiego. Media żądne poklasku przestały interesować się tą wojną i jej konsekwencjami. Pełne są przepowiedni i fantazji na temat nowej, jeszcze większej, światowej pożogi wojennej.

Wojna stuletnia XX wieku

Sądzę, że przedwcześnie liderzy światowej opinii i propagandy odsyłają ten największy z dotychczasowych Armagedon w dziejach ludzkości do lamusa. Jeszcze długo ludzkość borykać się będzie z jego konsekwencjami, a historycy z nierozwiązanymi do końca zagadkami.

Na przykład: wciąż spieramy się o to, kiedy ta wojna się rozpoczęła.

Jak dla kogo.

Dla znacznej części Europejczyków – 1 września 1939 r. Dla Chińczyków zapewne o 3 lata wcześniej. Dla Amerykanów i obywateli ZSRR dopiero w 1941 r.; na pewno dopiero wtedy naprawdę urosła do miana światowej.

A co z końcem? Kilkanaście miesięcy po wygaśnięciu wojny gorącej rozpłomieniła się trwająca ponad 40 lat wojna zwana zimną. Pod wielu względami kontynuująca spory i konflikty odziedziczone po tej gorące fazie. I nie tak zupełnie bezkrwawa, jak się sądzi. Stoczono w jej czasie kilka krwawych wojen domowych i – nie mniej krwawych – wojen prowadzonych przez wielkie mocarstwa per procura; przez ich pomniejszych wasali i protegowanych.

Niewykluczone, że historiografia przyszłości pisać będzie o „światowej wojnie stuletniej XX w." 1914–1990 – tak jak dziś piszemy o wojnie stuletniej Francji z Anglią w latach 1337–1453, czy ogólnoeuropejskiej trzydziestoletniej wojnie religijnej w latach 1618–1648. W XIV, XV czy XVII wieku ludzie też byli przekonani, że są świadkami kilku, a nie jednej wojny.

Ale nie o periodyzację głównie się rozchodzi. W wyniku tych trzech wojen – dwu gorących i jednej zimnej – powstał świat, w którym dzisiaj żyjemy, bardzo odmienny od świata naszych pradziadów, a nawet dziadów. Bez śladu znikły wielonarodowe imperia europejskie i kolonialne: Austro-Węgry, cesarstwo rosyjskie, cesarstwo niemieckie, imperium brytyjskie i francuskie. Rozpadły się prawie wszystkie państwa wielonarodowe. Upadł system kolonialny, z niego wyłoniły się nowe mocarstwa światowe: Stany Zjednoczone, Chińska Republika Ludowa, Federacyjna Republika Brazylii. Dzisiejsza Rosja to tylko cień dawnego imperium carów i Stalina. Liczba odrębnych państw na globie wzrosła z kilkudziesięciu do blisko dwustu.

Spadki po imperiach

Wojny, które obecnie się toczą – i przez płochliwą opinię oraz łaknący sensacji komentariat traktowane są jako zarzewie nowej trzeciej światowej – to w większości dogorywające konflikty z lat 1939–1990. Konflikt Rosji z Ukrainą oraz Armenii z Azerbejdżanem to typowe wojny sukcesyjne o schedę po upadłym imperium carsko-stalinowskim – podobnie jak wojny na Bałkanach toczyły się o schedę po Jugosławii i zostały jedynie przygaszone. Wystarczy uchylić zbrojny protektorat NATO, aby tamtejsze konflikty natychmiast rozpłomieniły się od nowa.

Mocarstwa konstruujące nowy ład terytorialny świata po drugiej i zimnej wojnie oraz po rozpadzie kolonializmu bardzo lekkomyślnie pozostawiły niezmienne granice wewnętrzne mocarstw i państw wielonarodowych oraz terytoriów pokolonialnych. Wydawało się, że sprzyjać to będzie pokojowi. W istocie było to pójście na łatwiznę. Setki tysięcy ludzi pochłonęły wojny o „sprawiedliwe" granice państw pokolonialnych; ponad milion w jednej tylko afrykańskiej wojnie Hutu i Tutsi, co najmniej pół miliona w europejskim Kosowie i Bośni. Ile zginie w Rosji i Ukrainie, jeszcze nie wiemy.

Lekkomyślność, z jaką rozstrzygano – lub raczej pozostawiano na żywioł – potencjalnie konfliktowe sprawy graniczne spowodowana była nadmierną pewnością siebie wielkich zwycięzców wojny z hitlerowskim Niemcami. Stalin i Roosevelt zrezygnowali z normalnej konferencji pokojowej i zastąpili ją kolejnym spotkaniem Wielkiej Trójki w Poczdamie. Inni uczestnicy wojny w większości nie zostali nawet wysłuchani – nie mówiąc już o posłuchaniu. Ważkich decyzji terytorialnych nie ubezpieczono niezbędnymi referendami poszkodowanej ludności. Przymusowe transfery tej ludności zastosowano jedynie wobec Niemców; pozostałe – często znaczne – mniejszości narodowe pozostawiono na miejscu.

Nieprzypadkowo przez cały okres zimnej wojny w Europie i w świecie tliły się konflikty narodowe i graniczne, które z pełną mocą wybuchły po jej zakończeniu. Namiastka konferencji pokojowej po zakończeniu zimnej wojny – tak zwana konferencja 2+4 w 1990 r. – dotyczyła tylko Niemiec. Zawarty po niej traktat zatytułowano nieco na wyrost: „Traktat o ostatecznym uregulowaniu w odniesieniu do Niemiec".

Prawdopodobnie niezbędna okaże się seria rokowań i porozumień dla wygaszenia konfliktów, jakie nadal istnieją po zmianach terytorialnych stulecia wielkich wojen.

Donald Trump powtarza, że gdyby to on, a nie Joe Biden, rządził USA w 2022 r. – zapobiegłby wojnie rosyjsko-ukraińskiej. Może mieć rację: patrząc na ten konflikt realistycznie, a nie ideologicznie, wymusiłby zapewne na obu stronach rokowania, a na Ukrainie ustępstwa terytorialne.

Czym zresztą ta wojna i tak nieuchronnie się skończy. Wojny sukcesyjne zwykle po pewnym czasie wygasają same z siebie, po osiągnięciu jakiegoś kompromisu.

Iran z innej beczki

Inne i trudniejsze do wygaszenia są wojny na Środkowym i Bliskim Wchodzie. Nie toczą się one o schedę po poprzednich wojnach czy państwach. Są to nowe samoistne konflikty.

Główny wywodzi się z konfliktu między państwem Izrael a otaczającym go światem arabskim i islamskim. Absolutnie słuszna i sprawiedliwa decyzja ONZ po II wojnie światowej o powołaniu żydowskiego państwa na ziemiach stanowiących historyczną siedzibę tego narodu – nie została uzupełniona decyzjami zapewniającymi bezpieczeństwo tego państwa w nieprzyjaznym otoczeniu. Nie zadbano o w miarę bezkolizyjne wykrojenie jego granic, a przede wszystkim o warunki bezpiecznego w nim współżycia Żydów i Palestyńczyków – choćby na wzór kantonalnej Szwajcarii. Na przeszkodzie stanęła zimna wojna; wiodące ją supermocarstwa znalazły w Izraelu i jego otoczeniu własnych protegowanych i tylko im udzielały wsparcia. Wynikło z tego kilka wojen, kończonych słabo klajstrowanym pokojem.

Zimna wojna się skończyła i rozpadł się protektor strony arabskiej. Cały bliskowschodni kłopot spadł na barki Stanów Zjednoczonych. Żadna z jego administracji nie podjęła jednak trudu zasadniczego uregulowania tego konfliktu. Trwała przy starym: popierała i zbroiła Izrael. Ostatecznie wyszło na to, że ogon zaczął kręcić psem. Nacjonalistyczny rząd Binjamina Netanjahu wciągnął Stany Zjednoczone do wojny z Iranem pod pretekstem uniemożliwienia mu zdobycia broni nuklearnej. Takie myślenie to pewna naiwność. Po zawarciu w 1969 r. traktatu o nierozprzestrzenianiu broni nuklearnej obok pięciu państw nuklearnych zalegalizowanych tym układem w jej posiadanie weszły jeszcze cztery inne państwa. Wszystkim się to upiekło. Iran broni nuklearnej jeszcze nie posiadał – a nawet gdyby ją zdobył, i tak nie byłby w stanie zagrozić Stanom Zjednoczonym. Jemu jednak nie upiekło się samo usiłowanie, gdyż solą było w oku Izraela.

Amerykański najazd na Iran miał przypominać znany z wiosny arabskiej pogrom Libii Kadafiego. Z daleka, tylko bombami i rakietami. Tym razem jednak najpotężniejsze militarnie mocarstwo świata znalazło się w nieoczekiwanym kłopocie. Bombardowało do granic wyczerpania arsenałów, a jak dotąd Iranu nie pokonało – i wygląda na to, że bez użycia znacznych sił lądowych i licznych ofiar pokonać nie zdoła.

Walki robotów

W toku wojny rosyjsko-ukraińskiej ludzkość odkryła nowy sposób wojowania: wojnę robotów. Wykorzystując doświadczenie kilku pokoleń młodzieży bawiących się latającymi modelami, przy pomocy nowoczesnej elektroniki, automatyki i kosmonautyki oraz sztucznej inteligencji rozwinięto te zabawki w rodzaj taniego i groźnego uzbrojenia. Pozwoliło to państwu mniejszemu i zdecydowanie słabszemu asymetrycznie stawiać czoła mocarstwu.

Iran wykorzystał tę metodę – a ponadto pewną przewagę geograficzno-gospodarczą w postaci cieśniny Ormuz – i postawił się Stanom Zjednoczonym. Administracja Trumpa znalazła się na rozdrożu: albo kontynuować bezskutecznie bombardowania, albo użyć na większą skalę sił lądowych, narażając się własnej ludności. Albo – to trzecie wyjście – szukać jakiegoś zgniłego kompromisu.

Stany Zjednoczone przegrały już trzy wojny – wietnamską, iracką i afgańską – nie z powodu braku siły, lecz z powodu braku akceptacji własnych obywateli dla ofiar w ludziach. Jaką drogę wybierze to jedyne obecnie supermocarstwo – zobaczymy niedługo. Na pewno jednak nie będzie to wojna światowa. Bardziej prawdopodobny jest jakiś chybotliwy kompromis, podbudowany nadzieją, że kolejna administracja weźmie się wreszcie za zasadnicze uregulowanie kwestii bliskowschodniej.

Pojawienie się nowego typu wojny, toczonej za pomocą robotów latających, zwiastuje prawdziwie nową erę. Nowe szanse dla państw słabszych i mniejszych. I – co ważniejsze dla obecnego wyścigu zbrojeń – wyścig ten polega na tym, że zbroją się zarówno państwa zdolne niezbędną broń wytwarzać, jak jeszcze bardziej te, które zdolne są ją na dużą skalę eksportować i na tym zarabiać. Nowy typ broni – latające roboty – stanowi zagrożenie i konkurencję dla klasycznej broni ciężkiej, czołgów i artylerii. Jej gromadzenie w drodze importu traci sens, można ją zastąpić łatwą do uruchomienia własną i tańszą produkcją robotów. Obecny model zbrojenia się – zwłaszcza państw takich jak Polska i mniejszych – staje pod znakiem zapytania.

• • •

Wymienione problemy (a ich listę można by mnożyć) mają dla dostrzegalnej przyszłości większe i bardzie realne znaczenie niż fantazje na temat nowej światowej wojny powszechnej, jaką ponoć w ciągu dwu lat – a może, jak chce premier RP, jeszcze w tym roku – gotowa jest wywołać słabnąca z miesiąca na miesiąc Rosja.

M.Z.

– Dlaczego zdecydowałeś się płynąć?

– To była moja trzecia próba dostania się do Gazy. Pierwsza była z Globalnym Marszem do Gazy w ubiegłym roku, druga z Globalną Flotyllą Wolności, również w zeszłym roku, i teraz po raz trzeci. Motywacja jest wielostronna, ale podstawowa sprawa jest prosta: blokada Gazy musi zostać przerwana. Nie ma prawa być utrzymywana. W sprawie palestyńskiej spotykają się wszystkie tematy, które mnie interesują. Z czasem doszły też motywacje osobiste: znam Palestyńczyków, znam lepiej samą sprawę, jej historię, realia życia pod okupacją i blokadą. Ale pierwotna motywacja była polityczna. Uważam, że Palestyna jest jednym z głównych frontów, na których rozgrywa się dziś sprzeczność interesująca socjalistyczną lewicę: między kapitałem a pracą, między człowieczeństwem a imperializmem. To nie jest odległy konflikt z innego świata. To jest miejsce, w którym bardzo wyraźnie widać mechanizmy globalnej przemocy.

– Jak wygląda sytuacja humanitarna w Strefie Gazy? Co zrobiła z nią blokada?

– Blokada trwa prawie 20 lat. Kiedy mówimy dziś o palestyńskim ruchu oporu, trzeba pamiętać, że duża część jego członków to osoby bardzo młode, które całe albo prawie całe życie spędziły już pod blokadą. Ta blokada jest nieludzka i nielegalna. Jeszcze przed obecnym ludobójstwem Izrael ograniczał dostęp do rzeczy tak podstawowych jak przybory papiernicze, kredki, komputery, instrumenty, maszyny. Jej celem było utrzymywanie Palestyny w niedorozwoju ekonomicznym, biedzie, wysokim bezrobociu i zależności. Chodziło o to, żeby Palestyna nie mogła funkcjonować samodzielnie.

– A dziś?

– Wojna zniszczyła większość Strefy Gazy. Są miejsca takie jak Bajt Hanun, gdzie nie stoi żaden budynek mieszkalny, wszystkie zostały zniszczone przez Izraelczyków. Przed obecnym ludobójstwem Gaza miała jeszcze jakąś własną produkcję, jakąś częściową autonomię. To w ogromnej mierze zostało zniszczone przez siły okupacyjne Izraela. Jeśli chodzi o pomoc humanitarną, w ostatnim czasie wjeżdżało tam, jeśli dobrze pamiętam, około 30 proc. tego, co ustalono przy negocjowaniu zawieszenia broni. Zawieszenia, którego strona izraelska również nie respektuje. Dziś, w tę niedzielę, kiedy rozmawiamy, snajperzy zabili co najmniej jednego człowieka, znowu spadły bomby na jeden z obozów dla uchodźców. To zawieszenie broni jest niestety respektowane jednostronnie, przez palestyński ruch oporu.

– Wróćmy do flotylli. Jak wyglądało przejęcie waszej łodzi? Spodziewaliście się tego?

– Spodziewaliśmy się ataku, ale raczej w nocy. Wcześniej była już pierwsza próba, z której nasza łódź wyszła zwycięsko. Udało nam się dotrzeć do wód terytorialnych Grecji i jeszcze przez jakiś czas żeglować. Później była noc z dużą aktywnością dronów, które nas śledziły. Byłem po ostatniej nocnej warcie i właśnie próbowałem odpocząć, kiedy jeden z towarzyszy zauważył w pobliżu izraelską korwetę. Jak się później okazało, jedną z co najmniej dwóch, które Izraelczycy wysłali przeciwko żaglówkom wiozącym jedzenie i zabawki. Taka była zawartość mojej łodzi. Zostaliśmy porwani na wodach międzynarodowych, poza jurysdykcją tak zwanego Izraela. Nie płynęliśmy zresztą do Izraela, tylko do Palestyny, która ma swoje wody terytorialne i prawo przyjmować statki. To prawo nie jest respektowane. W Europie dyplomacja, również polska, lubi rozdzierać szaty w sprawie swobody nawigacji w cieśninie Ormuz, ale o swobodę nawigacji na wodach palestyńskich już niekoniecznie. Nie mieliśmy dużo czasu na przygotowanie. Uczestnicy flotylli są jednak szkoleni, jak zachowywać się w trakcie takiego ataku, także po to, żeby zmniejszyć ryzyko, że Izraelczycy nas pozabijają. Kiedy podpłynęli

eprasa.pl dedb5134a1

Wypisać się z szeregu zabójców

„NIE” rozmawia z ŁUKASZEM KOZAKIEM, uczestnikiem Flotylli Sumud, porwanym przez IDF.

pontonem, weszli na pokład, rozwalili nam kamery i przejęli kontrolę nad statkiem.

– Powiedziałeś, że wieźliście jedzenie i zabawki.

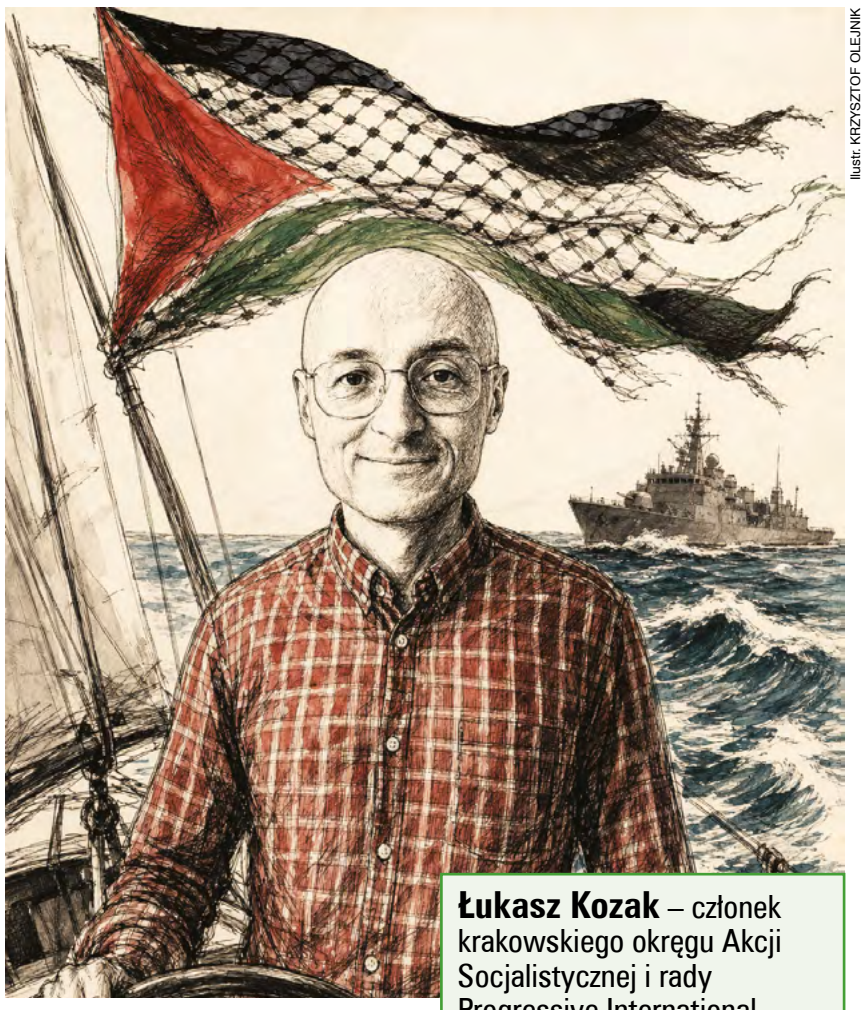
– Tak. Na łodzi było pomieszczenie, które kiedyś, gdy ta stara łódź należała do jakiegoś bogatego człowieka i służyła do hobby, było prysznicem. My myliśmy się słoną wodą, żeby oszczędzać wodę w zbiornikach na długą podróż, więc całe to pomieszczenie, od podłogi po sufit, było wypchane pudłami z jedzeniem o długiej przydatności do spożycia. W paru innych miejscach też mieliśmy jedzenie. Obiektywnie to nie były ogromne ilości pomocy humanitarnej, ale nie były też nieistotne. Oprócz tego mieliśmy pudełka z zabawkami dla palestyńskich dzieci, spakowane przez dzieci z Katalonii. W Gazie brakuje zabawek, przyborów szkolnych, komputerów, instrumentów, mikroskopów do zajęć z biologii. Gaza jest sztucznie utrzymywana w ogromnej biedzie i niedostatku. Palestyńczycy potrafią bardzo dużo zrobić z niewielkiej ilości zasobów, które mają, ale warunki są dramatyczne.

– Jak was traktowano po porwaniu?

– Na samej łodzi większa część załogi została usadzona na przodzie i była pilnowana przez żołnierzy. Ja byłem z tyłu, bo pełniłem funkcję osoby odpowiedzialnej za kontakt z nimi. Byłem jedyną osobą upoważnioną do rozmowy, bo idea jest taka, żeby minimalizować interakcje. Mieliśmy ściśle określone zasady, jak nie eskalować. Mimo to zostałem kopnięty, grożono mi paralizatorem, mierzono do mnie z broni. Co najmniej jeden z żołnierzy marynarki sił okupacyjnych Izraela był ewidentnie pod wpływem jakichś stymulantów. Ten człowiek stał ze mną przy sterze i opowiadał bardzo dziwne rzeczy. Zmuszono mnie do odprowadzenia łodzi do statku-więzienia. Jednego z dwóch statków-więzień, bo Izrael, państwo wielkości województwa zachodniopomorskiego, ma co najmniej dwa takie statki. Potem podpłynął ponton, który zabrał nas na ten statek. Kazali nam zostawić większość rzeczy. Pozwolili zabrać tylko odzież, którą mieliśmy na sobie. Na statku-więzieniu od razu zaczęli wykręcać nam ręce. Przeszukiwali nas, dotykając w bardzo dziwny sposób. Było sporo szarpania, trochę bicia. Zabrali nam odzież wierzchnią poza jedną warstwą i wrzucili nas na coś w rodzaju dziedzińca – konstrukcji z kontenerów. Jeden kontener był śluzą, przez którą oni wchodzili i wychodzili, pięć pozostałych było miejscem, w którym spędziliśmy następne dwa dni. Ja dostałem opaskę na nadgarstek z numerem pięć. Z czasem dochodziły kolejne osoby z następnych porwanych łodzi. W tej części, w której byłem, ostatecznie było prawie 200 osób.

– Co działo się przez te dwa dni?

– Warunki sanitarne były fatalne. Nie mieliśmy bieżącej wody, wody pitnej było bardzo mało. Strzelali do nas z góry plastikowymi kulami, było dużo gróźb. Większość z nas – około trzy czwarte – było na strajku głodowym, choć nie ogłaszaliśmy tego jakoś oficjalnie. Po dwóch dniach usłyszeliśmy przez megafon: „Witamy w Izraelu”. Okazało się, że zawiozą nas do Aszdodu, portu w tzw. Izraelu. Przy wyprowadzaniu zaczęli traktować nas jeszcze gorzej. Związali nam ręce. Od tej pory chodziliśmy tylko zgięci wpół, z rękami wykręcanymi na różne



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Łukasz Kozak – członek krakowskiego okręgu Akcji Socjalistycznej i rady Progressive International. Uczestnik Marszu do Gazy i misji Globalnej Flotylli Sumud w latach 2025 i 2026.

sposoby. Bardzo dużo czasu spędziliśmy w niewygodnych pozycjach, na przykład klęcząc z twarzą przy ziemi. Ci, którym trudno było utrzymać pozycję, byli dodatkowo bici, podobnie jak ci, którzy wyróżniali się w jakikolwiek sposób. Osoby niebiałe były traktowane gorzej; szydzono z osób o wyraźnych azjatyckich rysach. Procesowanie – zdjęcia, odciski palców, próby przesłuchań – trwały cały dzień. Towarzyszyło temu bicie, szarpanie, bardzo dużo pogardy. I każdy Izraelczyk, z którym się zetknęliśmy, uczestniczył w tych działaniach. To byli przeważnie młodzi ludzie w mundurach, ale byli tam też przełożeni. Albo brali w tym udział, albo się przyglądali. Nie było żadnego momentu, w którym ktokolwiek dałby znak, że tej brutalności jest za dużo. Potem trafiliśmy do więzienia Ktzi'ot. Tam dostaliśmy ubrania więzienne z logo izraelskiej Służby Więziennej. W więzieniu był dalszy tor przeszkód: rozbieranie, bicie, straszenie psami, klęczenie, wykręcanie rąk. Bardzo późnym wieczorem trafiliśmy w końcu do cel, w których spędziliśmy noc. W celi na 26 osób było nas około 30. Jedna z osób miała złamaną nogę, wiele – poobijane żebra i inne kontuzje.

– Udzielono tej osobie pomocy medycznej?

– Złamana noga była owinięta bandażem.

– Wspomniałeś o strajku głodowym. Dlaczego się na niego zdecydowałeś?

– Nie miałem szczególnych złudzeń co do jego politycznej wartości w interakcji z Izraelczykami. Dla mnie był to bardzo drobny gest solidarności z Palestyńczykami. Nie obnosiłem się z tym specjalnie, inni też nie. Kiedy byliśmy już na lądzie, do strajku głodowego dołączyłem strajk suchy, nie przyjmowałem wody przez dwa dni. Traktowałem to jako eskalację w odpowiedzi na eskalację z drugiej strony. Ale opowiadam o tym wszystkim z pełną świadomością, że to, czego doświadczyliśmy, jest drobnym ułamkiem tego, czego każdego dnia doświadczają Palestyńczycy. Psy, którymi nas straszono, są na Palestyńczyków wypuszczane. Bicie, którego doświadczyliśmy, jest w przypadku Palestyńczyków znacznie gorsze. Jeden z moich towarzyszy, Palestyńczyk z paszportem innego kraju, został pobity za samo to, że przedstawił się jako Palestyńczyk. To nie są rzeczy nieznane. Kiedy przedstawiciel polskiego Biura Bezpieczeństwa Narodowego spotykał się pod koniec marca z ambasadorem tzw. Izraela, ONZ opublikowała raport o torturach na okupowanych terytoriach palestyńskich oraz w Strefie Gazy. Ten raport mówi, że tortury nie są kwestią kilku złych ludzi czy skorumpowanych instytucji. Są strukturalnym elementem systemu ludobójstwa i apartheidu, w którym uczestniczy całe państwo.

– Czy mieliście jakikolwiek kontakt z polską ambasadą? Ktoś próbował wam pomóc?

– W czasie głównego przesłuchania postawiono mi zarzut zamiaru przełamania militarnej blokady. Potem zarzut zmienił się w nielegalne znalezienie się w tzw. Izraelu. Podstawiono mi do podpisu papiery po hebrajsku, w których miałem się do tego przyznać. Nie podpisałem ich. Jeśli dobrze kojarzę, nikt ich nie podpisał. Zapytano mnie, czy chcę prawnika. Powiedziałem, że tak. Flotylla miała dostęp do prawników arabskich z organizacji Adalah. Mogli zrobić niewiele: zapytać, jak się mamy, być obecni przy przesłuchaniu, zebrać podstawowe informacje o tym, jak nas traktowano. Wiedzieliśmy, że dzięki nim te informacje wydostaną się na zewnątrz. Z ambasadą nie miałem wtedy żadnego kontaktu. Dopiero w Stambule pojawili się przedstawiciele tamtejszego konsulatu.

– Jak oceniasz reakcję polskich władz? Radosław Sikorski zareagował na zachowanie Ben-Gwira i zakazano mu wjazdu do Polski na pięć lat. To przełom?

– Moim zdaniem: pusty gest. Sikorski zareagował na film z Ben-Gwirem, a nie na sytuację polityczną, na którą powinien zareagować. Polska nie respektuje rezolucji ONZ, które wzywają reżim izraelski do respektowania palestyńskiego prawa powrotu. Polska nie respektuje swoich zobowiązań wynikających z konwencji o ludobójstwie, bo minister Sikorski uważa, że ludobójstwa nie ma, mimo że wszystkie poważne instytucje zajmujące się tego typu zbrodniami mówią, że ono ma miejsce. Polska nie traktuje poważnie zobowiązań wynikających z prawa morskiego i wielu innych przepisów prawa międzynarodowego. Reakcja na Ben-Gwira jest reakcją pod publiczkę. Jest też próbą ustawienia go jako zderzaka. Media piszą: skrajnie prawicowy minister. Jak gdyby cały reżim izraelski nie był częścią tego samego systemu.



Rys. MOHAMMAD SABAANEH

– Jak Polska powinna zareagować na porwanie flotylli i przede wszystkim na ludobójstwo w Gazie?

– Gdyby państwa, w tym Polska, poważnie traktowały swoje zobowiązania wynikające z prawa międzynarodowego, flotylla nie byłaby potrzebna. Polska powinna przede wszystkim przestać sprzedawać trotyl byle komu. Produkujemy ogromną część trotylu używanego przez Amerykanów. Ten trotyl trafia do bomb, takich jak te, które spadają na Rafah, Bajt Hanun i inne części Strefy Gazy. Polski rząd umywa od tego ręce, mówiąc, że to nie są te same bomby. Ale raport Palestinian Youth Movement stawia bardzo poważne pytania, na które polska strona nie umie przekonująco odpowiedzieć. Uważam też, że Polska powinna przestać traktować syjonistyczny reżim jako członka społeczności międzynarodowej. Powinniśmy zerwać stosunki dyplomatyczne. To reżim ludobójczy, reżim apartheidu.

W 1949 r. ONZ uzależniła uznanie państwa izraelskiego od prawa Palestyńczyków wypędzonych w trakcie Nakby do powrotu. Ten warunek nigdy nie został spełniony, więc Izrael nigdy nie powinien być pełnoprawnym członkiem społeczności międzynarodowej.

– Na koniec: jak oceniasz samą misję? Było warto?

– Zdecydowanie było warto. Bezpośrednich celów nie udało się spełnić: nie dostarczyliśmy pomocy, nie otworzyliśmy korytarza humanitarnego, nie przełamaliśmy blokady. Ale żeby nam to uniemożliwić, reżim w Tel Awiwie musiał wysłać co najmniej dwie korwety i kilka mniejszych jednostek. Zajęło im to dwa dni. Pokazaliśmy, że syjonistyczny reżim nie jest wszechpotężny. Przede wszystkim jednak raz jeszcze – a dla wielu osób po raz pierwszy – odsłoniliśmy systemowe więzy współudziału w izraelskich zbrodniach. Tym samym osłabiamy blokadę, bo coraz więcej ludzi ma świadomość tego, co się dzieje, i coraz więcej z nich chce się wypisać z szeregu zabójców, w który wpisuje nas system wyzysku i opresji. Kwestia palestyńska jest jedną z fundamentalnych kwestii politycznych naszych czasów. Wpisuje się w te same sprzeczności, które dotykają nas samych: globalny militaryzm, społeczeństwo nadzoru, władzę kapitału, reżim korporacyjny. Flotylla nie jest oczywiście ruchem wyzwolenia Palestyny. Palestyńczycy sami wiedzą, jak się wyzwolić. Ale próba dołożenia małej cegiełki do stworzenia lepszych warunków dla wyzwolenia Palestyny jest także budową takiej polityki, która może przyczynić się do wyzwolenia nas wszystkich. Na przykładzie Polski widać, jak głęboki jest ten współudział i jak szeroko rozlewa się po scenie politycznej. Flotylla pozwala te mechanizmy odsłonić i zakwestionować. Jest też ćwiczeniem z globalnej, oddolnej infrastruktury oporu. Ćwiczeniem z politycznego internacjonalizmu, z akcji bezpośredniej, w tym przypadku nieprzemocowej, ale międzynarodowej i organizowanej oddolnie. To bardzo cenne doświadczenie. Mam nadzieję, że będzie służyło budowie ruchu politycznego, który obali kapitalizm i wprowadzi nas w lepsze miejsce.

Rozmawiała **WIOLA KRYSIAK**

eprasa.pl dedb5134a1

Zakładnicy gry o tron

Pat w Trybunale Konstytucyjnym trwa w najlepsze, a przejebane jak zwykle mają przede wszystkim obywatele.

25 marca Trybunał Konstytucyjny uznał, że przepis, który wymagał od opiekunów dzieci i dorosłych z niepełnosprawnościami całkowitej rezygnacji z pracy, aby mogli otrzymać świadczenie pielęgnacyjne, jest niezgodny z konstytucją. Chodzi o art. 17 ust. 1 ustawy o świadczeniach rodzinnych w takim zakresie, w jakim pozbawiał prawa do świadczenia opiekuna podejmującego jakąkolwiek pracę zarobkową – niezależnie od jej wymiaru i wysokości dochodu. Nieszczęsny przepis obowiązywał do końca 2023 r. Wskutek orzeczenia TK osoby, które przed 1 stycznia 2024 r. złożyły wniosek o takie świadczenie i w odpowiedzi dostały widok środkowego palca, mogły wystąpić o wznowienie postępowania i domagać się ponownego rozpatrzenia sprawy. Czas na reaktywację tych zaszłości minął 27 kwietnia – przynajmniej formalnie, bo według wielu urzędów w kraju nad Wisłą termin do wniesienia skargi o wznowienie postępowania nie rozpoczął jeszcze nawet biegu. Wszystko z powodu braku publikacji wyroku TK w odpowiednim dzienniku urzędowym.

Baty dla zaradnych

Uwłaczające ludzkiej godności przepisy o zakazie pracy przy równoczesnym pobieraniu świadczenia zniosła ustawa o świadczeniu wspierającym z 7 lipca 2023 r. Był to oficjalny projekt rządowy przygotowany przez Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej pod przewodnictwem Marleny Maląg i ówczesnego pełnomocnika rządu ds. osób niepełnosprawnych Pawła Wdówika. Pisowska większość rządowa odrzuciła większość poprawek senatu i nie przeprowadziła konsultacji ze środowiskami osób z niepełnosprawnościami (OzN), wskutek czego rządowy glejt przy okazji rzucił nowe kłody pod nogi opiekunów osób z tej wrażliwej grupy. Niemniej tuż przed wyborami (co za przypadek) prezydent Duda kulawy papier podpisał. PiS – mimo ostrej krytyki samych zainteresowanych za ustawowe babole – odtrąbił sukces. Niepełnosprawna ustawa dała jednak m.in. zielone światło do podjęcia pracy zarobkowej przez pobierających świadczenie pielęgnacyjne opiekunów.

Wcześniej państwo traktowało sytuację, jakby zatrudniało osobę – np. rodzica – do opieki nad dzieciakiem z niepełnosprawnością. Płaciło chujowo, ale wymagało bezwzględnego posłuszeństwa. System delegował nawet osoby, które kontrolowały, czy przypadkiem rodzic nie dorabia na boku. Rządzący wychodzili z założenia, że ochłap w wysokości ok. 2 tys. zł na tyle wystarczająco zasila domowe budżety obciążone kosztami rehabilitacji, specjalistycznego sprzętu etc., że np. sprzedaż kleconego przez rodzica po nocach rękodzieła to rżnięcie państwa na kasę. W 2020 r. głośna była sprawa pisarza Igora Jarka, ojca i opiekuna córki z autyzmem Igi. Jarek wydał zbiór opowiadań „Halny" o Nowej Hucie. Książka zaczęła zbierać nagrody, w tym pieniężne wyróżnienie Nagrody Krakowa Miasta Literatury UNESCO. Urząd miasta uznał, że pisarz może nagrodę przyjąć. Kiedy jednak odnawiał córce zasiłek na kolejny rok i wspomniał o wyróżnieniu, zaczęły się schody. Musiał napisać oświadczenie, że książka powstała poza godzinami opieki nad córką. Przy okazji zapowiedziano mu, że to ostatni raz – przy kolejnej nagrodzie będzie musiał zrezygnować z łaski państwa. Podobnych absurdów było na pęczki.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Gdzie dwóch się kłóci, trzeci zdycha

Marcowy wyrok Trybunału Konstytucyjnego poszedł krok dalej niż pisowska ustawa. TK stwierdził, że stary zapis (obowiązujący do końca 2023 r.) był niekonstytucyjny. Wyrok otworzył drogę do wznowienia starych spraw i dochodzenia świadczeń za okresy sprzed 2024 r. Przynajmniej w teorii. System znów pokazał opiekunom dzieci z niepełnosprawnościami dupę. „Ogłoszenie orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego w dzienniku urzędowym nie ma charakteru wyłącznie technicznego, lecz stanowi konstytucyjnie określony warunek jego wejścia w życie i wywołania jego skutków prawnych w sferze obowiązującej" – zaczęły odbijać piłeczkę urzędy, pozostawiając wydymanych przez państwo. Nie ma publikacji – nie ma sprawy, gońcie się. Część opiekunów zapowiedziała odwołania w samorządowych kolegiach odwoławczych i wojewódzkich sądach administracyjnych. Internetowe fora i grupy zrzeszające rodziców niepełnosprawnych dzieci pęcznieją od pytań bez odpowiedzi, na co się powołać. Problem w tym, że mogą gówno ugrać.

Jak to mówią, nieszczęścia chodzą parami, a w Polsce gromadami. Sprawa wpłynęła do TK w 2022 r., ale została rozpatrzona dopiero cztery lata później. Jak wiadomo rząd – na podstawie uchwały sejmu z marca 2024 r. i uchwały Rady Ministrów z grudnia 2024 r. – całkowicie wstrzymał publikację orzeczeń TK wydanych od marca 2024 r. W sprawie trefnego przepisu, obok Jakuba Stelina, Wojciecha Sycha, Rafała Wojciechowskiego i Andrzeja Zielonackiego, orzekał także sędzia dubler Jarosław Wyrembak. To notka dla porządku obrad, bo rząd nie publikuje wyroków orzeczonych także przez składy bez lewych sędziów TK. Zasadność takiego obrotu spraw niejako przyklepał w grudniu 2025 r. Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej, który uznał, że polski TK przez szereg uchybień proceduralnych i nieprawidłowości w powołaniu sędziów dublerów jest gówno wart. Krótko mówiąc, nie spełnia wymogów niezależnego i bezstronnego sądu.

Co ciekawe, niektóre WSA (np. w Białymstoku) uznają, że brak publikacji nie jest przeszkodą – wyrok działa od ogłoszenia na sali Trybunału Konstytucyjnego. Niestety, Naczelny Sąd Administracyjny ma w zwyczaju odrzucać skargi jako przedwczesne lub spóźnione. Dokładnie tak się stało w przypadku obywatelki, której odmówiono rządowej jałmużny na niepełnosprawne dziecko, ponieważ była na urlopie wychowawczym zamiast całkowicie zrezygnować z roboty. Urlop był oczywiście bezpłatny, ale urzędnicy pozostali nieugięci. Kobieta podjęła trzy próby uzyskania świadczenia pielęgnacyjnego na chorego syna. Jej argumentację odrzuciły kolejno SKO i sądy administracyjne. W tym wypadku również poszło o wyrok TK, tym razem z grudnia 2025 r. Zapadł on w prawidłowym formalnie składzie, ale nie został ogłoszony w Dzienniku Ustaw. W sprawie interweniował rzecznik praw obywatelskich Marcin Wiącek, ale jego opinia miała taki wpływ na finał sprawy jak pełnia Księżyca na rozwój dorożkarstwa. NSA spuścił po brzytwie skargi matki walczącej.

Polityczna nawalanka kosztem obywateli

RPO uważa, że kryzys konstytucyjny nie powinien negatywnie odbijać się na sytuacji prawnej obywateli. Dlatego wątpliwości prawne związane z brakiem publikacji orzeczenia nie powinny być rozstrzygane na niekorzyść jednostki. Z całym szacunkiem dla rzecznika, ale to wołanie srającego na puszczy.

Organy administracyjne traktują nieopublikowane wyroki jako jeszcze w pełni nieobowiązujące, bo jest to dla nich bezpieczne i wygodne. Unikają odpowiedzialności chociażby za wypłatę wyrównań

W połowie kwietnia wybrany na krzywy ryj prezes Trybunału Konstytucyjnego Bogdan Święczkowski zażądał od premiera Donalda Tuska opublikowania 67 orzeczeń trybunału z lat 2024–2026. Wielu konstytucjonalistów stoi za opinią, że uznanie wyroku za wiążący i tak następuje z chwilą ogłoszenia przez trybunał, a ich publikacja jest tylko ułatwieniem i potwierdzeniem. Dlatego rząd Tuska, nie publikując glejtów, nie „wyłącza" ich mocy, a jedynie utrudnia egzekucję i w praktyce uderza w obywateli. Przedstawiciele obozu władzy mają zgoła inne zdanie, pisowcy – jak widać – też. Wszak ugięcie się Tuska z miejsca przyklepałoby ich koślawą narrację. Co mają zrobić rodzice i opiekunowie OzN? Czekać, obserwować, pomstować.

LUCYNA MIKOŁAJCZAK

Walka rządu z medycznymi wiatrakami

Szeryf Chmielowiec wkracza do akcji

Rząd przyjął tzw. lex szarlatan. Nowelizacja ustawy o prawach pacjenta i rzeczniku praw pacjenta – bo tak oficjalnie nazywa się dokument – ma chronić obywateli przed działalnością osób podszywających się pod specjalistów medycznych. To świetna informacja, kłopot w tym, że biznes pseudomedyczny przygotował odpowiedź, a sama ustawa raczej nie zaszkodzi lekarzom, którzy dla mamony wsadzili w dupę przysięgę Hipokratesa.

Robaki i raki

Nie ma chyba drugiej tak prężnie działającej gałęzi biznesowej jak wszelkiej maści terapie zdrowotne, które nawet nie leżały obok medycyny. Napędzane hasłami o walce z big pharmą, nieuczciwością lekarzy i ukrytych terapiach modele tłuczenia kasy przez przeróżnych uzdrowicieli biją rekordy popularności. Trudno się dziwić – social media to najlepszy kanał marketingowej dystrybucji. Pamiętacie Kaszpirowskiego, który leczył w telewizji raka, alkoholizm i wypadanie włosów? Ma 86 lat i dalej kuruje. Prowadzi konto na YouTubie, ma pół miliona subskrybentów ewidentnie zadowolonych z terapii. „Podczas oglądania filmu moje objawy grypy powoli ustąpiły. Teraz oglądam Cię już od kilku dni z rzędu i moja miednica się wyprostowała! Wyobrażasz sobie? Miałam skrzywioną miednicę, przez co moje plecy i twarz były skrzywione – w zasadzie miałam całkowitą asymetrię. Jestem niesamowicie szczęśliwa. Dziękuję Ci!" – napisała jedna z pacjentek. Taki Oskar Dorosz, o którym pisaliśmy na łamach „NIE", który mimo wykształcenia gimnazjalnego leczy nowotwory, ma na Instagramie ledwie 141 tys. obserwujących. Może ciut mu ubyło, po tym jak przekiblował trochę czasu w areszcie za uśmiercenie jednej z pacjentek, ale nie złożył broni. Napisał książkę. „Prawdziwe zdrowie zaczyna się tam, gdzie kończy się strach i zaczyna świadomość". Tak uważa Dorosz i zaleca płyn Lugola, leki weterynaryjne, odczynniki chemiczne, żarcie ziemi i – oczywiście – własne suplementy. Z pierdla wyszedł za poręczeniem majątkowym, sprawa chorej na raka piersi kobiety, której odradzał leczenie medyczne, co ostatecznie ją zabiło, jest w toku.

Wachlarz „terapii" oferowanych przez wyjętych z zakamarków okrężnicy uzdrowicieli jest szeroki: dożylne wlewy witaminy C, ozonoterapia, biorezonans, odrobaczanie, ponowne narodziny – czyli przejście przez uformowaną z poduszek sztuczną waginę, leczenie autyzmu końskimi dawkami antybiotyków i tak dalej.

Żeby zrozumieć, jak daleko zaszedł biznes pseudomedyczny, warto sobie uświadomić, że powstały laboratoria, które ściemniają w wynikach obecność pasożytów, aby tylko było co wydłubywać z pacjentów.

Interes generuje potężne pieniądze. Szacuje się, że szarlatani z „alternatywnymi klinikami" i gówno wartymi suplementami wykręcają nawet kilkanaście miliardów złotych rocznie. Duża część to szara strefa, dlatego trudno o precyzyjne dane. Na to wszystko przyszedł rzecznik praw pacjenta Bartłomiej Chmielowiec i popsuł zabawę. Batalion „popularyzatorów nauki specjalizujących się w biologii człowieka i medycynie holistycznej" ma już na to receptę.

System

Lex szarlatan nie zakazuje kosmetologii, zielarstwa, jogi, podologii czy masażu. Zakazuje robienia chorych w wała. Chodzi o sytuacje, w których domorosły „specjalista" przypisuje swojej metodzie lecznicze właściwości, zarabia na strachu pacjentów i skłania ich do rezygnacji z diagnostyki albo leczenia zgodnego z aktualną wiedzą medyczną. Projekt nowelizacji ustawy powstał z inicjatywy Biura Rzecznika Praw Pacjenta i chwała mu za to. Chmielowiec zabiegał o przepisy, które dadzą RPP narzędzia podobne do tych, jakie ma Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów, i udało się to wynegocjować z Ministerstwem Zdrowia. Do pakietu nowych uprawnień rzecznika resort zdrowia zaimplementował możliwość wydawania ostrzeżeń publicznych, decyzji nakazującej natychmiastowe wstrzymanie szkodliwej działalności jeszcze przed zakończeniem pełnego postępowania (jeśli istnieje zagrożenie zdrowia lub życia pacjentów) i oczywiście kary finansowe.

Projekt przewiduje do 1 mln zł za naruszenie zbiorowych praw pacjentów oraz do 100 tys. zł za brak współpracy z rzecznikiem. Kary będą mogły być nakładane także wtedy, gdy działalność zostanie zakończona tuż przed ich wydaniem. Wszystko fajnie, ale…

Pseudomedyczni przedsiębiorcy już wyniuchali kilka sposobów na obejście ustawy. Prace nad lex szarlatan

eprasa.pl dedb5134a1

Czy jest coś, co Ministerstwo Klimatu robi dobrze?

Zielony balonik

Oddajesz butelkę, odzyskujesz pieniądze – tak brzmiała rządowa, prosta i ekologiczna bajka, którą sprzedano Polakom, wprowadzając system kaucyjny. Po pierwszym półroczu hulania kaucji można już bez większego ryzyka pomyłki stwierdzić, że jedyne, co działa w nim sprawnie, to mechanizm wyparowywania kasy z kieszeni obywateli. Bo Polacy uwierzyli i zaczęli oddawać butelki z nadzieją, że odzyskają swoje własne pieniądze.

Kradnij, kto może !

Wszak kaucja to nie jest rabat ani prezent od sieci handlowej – to jest depozyt. Płacimy go przy kasie i mamy prawo go odzyskać. Prościej się nie da. Tymczasem historia klientki, której bon z butelkomatu stracił ważność po 30 dniach, stała się symbolem systemu, w którym nie chodzi o ekologię, tylko o kasę. Grosz do grosza, tysiąc do tysiąca, aż nagle okazuje się, że z zapominalskich, zapracowanych i zwyczajnie żyjących ludzi robi się całkiem pokaźna linia przychodów. Bez inwestycji, bez ryzyka, bez produkcji – wystarczy tylko ustawić odpowiednio krótki termin ważności.

W kraju, w którym średni czas oczekiwania na wyrok sądu liczy się w latach, udało się stworzyć system, w którym pieniądz traci ważność po 30 dniach. Najpiękniejsze jest jednak to, że zasad nie ma. W jednej sieci bon ważny jest 100 dni, w innej 30, a w jeszcze innej – nikt nie wie. A w takich Niemczech bon za butelki jest traktowany jak roszczenie finansowe i ważny przez trzy lata. W Skandynawii bony funkcjonują praktycznie bezterminowo, bo tam ktoś doszedł do wniosku, że uczciwość wobec klienta to nie koszt, tylko inwestycja.

Sieci handlowe tłumaczą się oczywiście „względami technicznymi” i „rozliczeniami okresowymi”. Efekt jest taki, że system, który miał chronić środowisko, ratuje wyniki finansowe koncernów spożywczych, które mianowano operatorami systemu kaucyjnego i na których konta płyną pieniądze z kaucji.

Jest jednak i druga strona działania automatów. Skoro – jak mówią eksperci – ponad 3 tys. z nich nie spełnia podstawowych wymagań technicznych, to znaczy, że ich zabezpieczenia są co najwyżej symboliczne. Butelkomat przyjmuje, ale ponieważ często nie rozróżnia dokładnie, co jest opakowaniem kaucyjnym, a co nim nie jest, łyka i to, czego nie powinien. Do worków trafiają więc butelki spoza systemu, opakowania zagraniczne, a nawet tetrapaki. Jeśli ktoś ma dostęp do większej liczby takich opakowań, może je bez większego wysiłku zamienić na bony. Wystarczy nieuwaga obsługi sklepu, przepełniony automat albo brak regularnej kontroli, żeby do systemu trafiały opakowania „hurtowo”, bez weryfikacji. Jeśli urządzenie trzeba opróżniać kilka razy dziennie, a pracowników jest tylu, ilu jest, to kontrola jakości zbiórki staje się fikcją.

Na dodatek system kaucyjny generuje ogromne ilości danych, które powinny być podstawą do analizy i wykrywania nieprawidłowości. Ale z braku centralnego nadzoru nikt tych danych nie analizuje. Każda sieć handlowa widzi swój kawałek rzeczywistości, ale nikt nie widzi całości.

Dopłacanie do produkcji plastiku

Porobiło się więc tak, że oto polscy biznesmeni, z reguły nie mający w zwyczaju apelować o wstrzymywanie systemów, na których teoretycznie mogliby zarabiać, zdecydowali się napisać list do premiera, w którym wprost domagają się zatrzymania całej operacji i przeprowadzenia audytu. Ba, przedsiębiorcy nie mówią o problemach, które pojawiły się nagle. Oni twierdzą, że zgłaszali je jeszcze przed wprowadzeniem systemu. Tyle że ich głosy „nie zostały uwzględnione” – resort klimatu uznał, iż wie lepiej.

Efekt tej pewności siebie widać dziś w sklepach, magazynach i na zapleczach, gdzie system kaucyjny przestał być ekologicznym udogodnieniem, a stał się logistycznym wyzwaniem. Przedsiębiorcy mówią o trudnościach technicznych, problemach sanitarnych i spowalnianiu sprzedaży. Bo jeśli klient, zamiast robić zakupy, musi stać w kolejce do automatu, który akurat „nie czyta” etykiety, to trudno mówić o poprawie komfortu obsługi.

Do tego dochodzi kwestia rozliczeń i zamrażania pieniędzy. Każda butelka to kilkadziesiąt groszy kaucji. Każdy sklep to setki, a czasem tysiące takich opakowań dziennie. W skali kraju robią się z tego miliony złotych, które krążą w systemie zamiast pracować w gospodarce. I choć oficjalnie są to pieniądze w obiegu, to w praktyce dla wielu firm oznaczają one zamrożony kapitał, który przecież powinien pracować.

Jeszcze ciekawiej robi się, gdy spojrzymy na sektor gospodarowania odpadami. Przedsiębiorcy z tej branży zwracają uwagę, że wprowadzenie systemu kaucyjnego doprowadziło do drastycznego wzrostu kosztów odbioru odpadów w całej Polsce. To z kolei oznacza, że coś, co miało usprawnić gospodarkę odpadami, skomplikowało ją i podrożyło.

Kto więc na całym tym przedsięwzięciu zarabia? Według przedsiębiorców – koncerny spożywcze wprowadzające napoje w opakowaniach jednorazowych.

To one są beneficjentami systemu, który teoretycznie miał ograniczać zużycie plastiku, a w praktyce wzmacnia pozycję tych, którzy tego plastiku produkują najwięcej. Trudno o bardziej ironiczny efekt polityki, która miała być proekologiczna.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Emisja pustości

Jeśli jednak przyjrzeć się bliżej temu, co naprawdę dzieje się z butelkami po ich oddaniu do butelkomatu, to można dojść do wniosku, że kolejnym beneficjentem przedsięwzięcia jest branża transportowa. A to dlatego, że przewozi powietrze.

Jednym bowiem z fundamentalnych założeń systemu kaucyjnego było to, że opakowania będą trafiały do recyklingu w całości. Butelki trafiają więc do pojemników w stanie niemal nienaruszonym, zajmując dokładnie tyle miejsca, ile zajmowały na sklepowej półce. A to oznacza, że transport tych opakowań przypomina przewożenie nadmuchanych balonów.

Przedsiębiorcy w swoim apelu piszą wprost o „wożeniu powietrza”. Bo jeśli ciężarówka, która mogłaby przewieźć kilka ton sprasowanego plastiku, przewozi objętościowo to samo w postaci niezgniecionych butelek, to różnica sprowadza się właśnie do powietrza.

A paliwo na każdy dodatkowy kurs to kolejne litry oleju napędowego, które zamieniają się w spaliny. Każdy kilometr to emisja CO_2, która trafia do atmosfery. I tak oto system, który miał ograniczać negatywny wpływ na środowisko, zaczyna ten wpływ zwiększać.

Najgorsze, że problem ten nie jest chwilowy, bo butelkomaty, które zostały zakupione – często najtańsze z możliwych – nie mają funkcji zgniatania albo mają ją w bardzo ograniczonym zakresie. A skoro nie zgniatają, to nie zmniejszają objętości. A skoro nie zmniejszają objętości, to transport pozostaje nieefektywny. I koło się zamyka.

W innych obszarach gospodarki każda tona CO_2 jest liczona, obciążana ETS-em. Firmy inwestują miliony złotych w technologie, które mają ograniczyć emisje o kilka procent. Tymczasem system kaucyjny generuje dodatkowe emisje w sposób systemowy i nikt nie jest w stanie dokładnie powiedzieć, ile one wynoszą. Bo państwo nie ma narzędzi do monitorowania efektywności całego przedsięwzięcia.

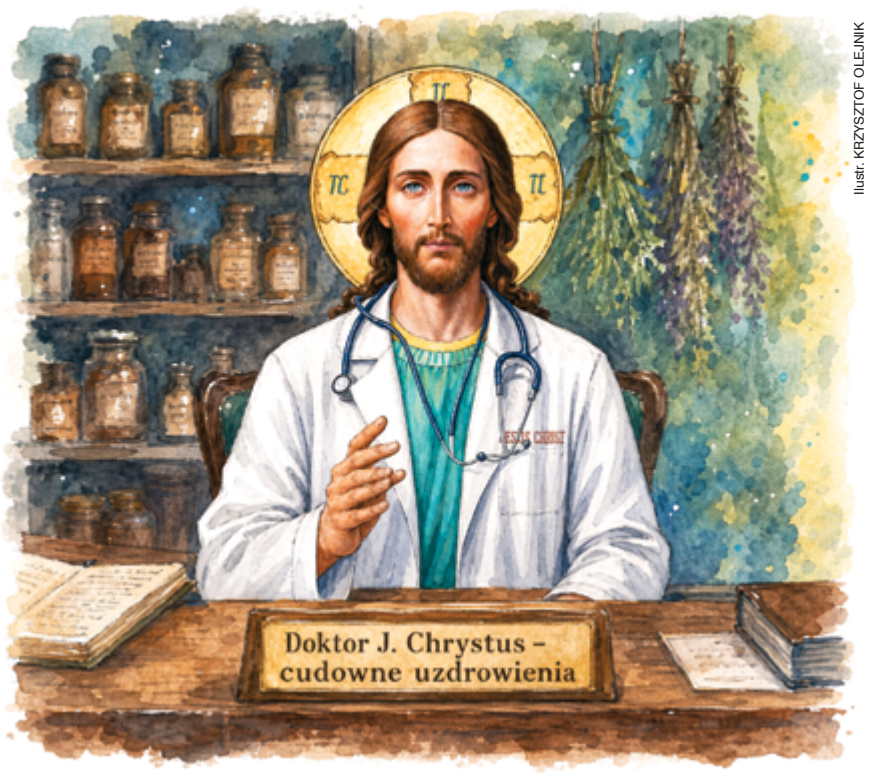
Małpka ratunkowa

Ministerstwo Klimatu i Środowiska, zamiast odpowiadać na zarzuty przedsiębiorców, zamiast odnieść się do problemu wożenia powietrza po Polsce, zamiast wyjaśnić, dlaczego system nie ma realnego nadzoru i dlaczego tysiące automatów nie spełniają podstawowych norm, postanowiło uciec do przodu. I ogłosiło, że w czerwcu podejmie „kierunkowe decyzje dotyczące poszerzenia systemu”. Zgodnie z zasadą, że jak coś nie działa, to najlepszym rozwiązaniem jest dorzucenie do tego jeszcze jednego elementu.

Mają to być szklane butelki po alkoholach, w tym uzgodnione między Hennig-Kloską a Pełczyńską małpki. Ale o ile plastikowa butelka jest lekka, o tyle szkło ma tę niezręczną właściwość, że waży dużo.

W systemie, który już dziś zmaga się z problemem przewożenia niezgniecionych plastikowych opakowań, dołożenie ciężkiego szkła przypomina decyzję o dołożeniu balastu na statku, który już nabiera wody. Oczywiście można to zrobić. Tylko po co?

TADEUSZ JASIŃSKI



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

trwały niespełna rok, ale tam, gdzie kasa sama puka do drzwi, kreatywność pracuje na podwójnych obrotach. Ustawa nie zakazuje samej działalności opartej na naturalnych metodach, ale uderza w marketing obietnic cudów. Ruszyło przemalowywanie szyldów. Po co pisać o leczeniu raka, boreliozy czy autyzmu? Wystarczy zareklamować wspieranie naturalnego procesu detoksykacji organizmu, odporności czy holistyczne doradztwo i coaching zdrowotny. Leczenie i terapia to dziś program wsparcia, protokół i optymalizacja zdrowia. Suplementy nie leczą konkretnych chorób, a wspomagają ogólne samopoczucie. Można pójść dalej i przemeblować działalność na organizację non profit, stowarzyszenie, kościół albo grupę duchową. Tak działa np. apostoł Tomasz Dorożała, założyciel Służby Apostolskiej Ogień Przebudzenia. Jego matka cierpiała na jamistość rdzenia kręgowego, która ustąpiła po wspólnej modlitwie z bratem Tomasza Łukaszem, więc zaczął leczyć modłami hurtowo… Oficjalnie praktyka jest bezpłatna, ale można wpłacać darowizny, za wydłużenie nogi na ten przykład. Biznes leczniczy można też przenieść na zamknięte grupy na Discordzie albo Telegramie. Konspiracja dodaje smaczku – przeklęta big pharma i jej żołnierze! Są i lekarze, którzy zaprzedali dupę, przepraszam, duszę kasie. Tu sprawa nieco się komplikuje.

Medycyna bankowa

Rekordy internetowej popularności biją bracia bliźniacy Mateusz i Łukasz Rodzeniowie. Obaj są lekarzami i utrzymują, że odkryli światowy spisek producentów żywności, firm farmaceutycznych i oczywiście lekarzy. Ochrona zdrowia chodzi na pasku koncernów, które nakręcają w ludziach uzależnienie od niskotłuszczowej diety light prowadzącej do insulinooporności. Ta jest przyczyną wielu chorób metabolicznych. Na tych chorobach żerują wciskające ludziom prochy koncerny farmaceutyczne. Lekarze zaś nie leczą, a dilują chemię. Recepta na zdrowie serwowana przez bliźniaków jest prosta: połączenie chudnięcia na diecie keto, pozytywnego myślenia i bojkotu mainstreamowej medycyny wycofuje większość chorób. Wszystko, co obiecuje poprawę życia bez wysiłku, będzie zawsze popularne, choćby przy okazji było szkodliwe. Niestety, działalność influencerskiego duetu wychodzi daleko poza promowanie keto dla wszystkich (co samo w sobie jest niezbyt rozsądne). Bracia Rodzeń twierdzili publicznie, że przyjmowanie leków przepisanych przez psychiatrów to prosta droga do narkomanii, a pacjenci stają się po nich ćpunami. Najlepszą kuracją na depresję jest dieta tłuszczowa i rezygnacja z chleba. Proste? Jeszcze jak. Zalecają też cukrzykom odstawienie insuliny na rzecz kawy z masłem i omletów z dwunastu jaj.

Jeśli wysokotłuszczowa dieta keto nie uchroni pacjenta przed rakiem, zawsze można skorzystać z porad dr. n. med. Norberta Szalusia. Specjalista medycyny nuklearnej przerzucił się na medycynę „komplementarną” i w ramach prywatnej praktyki oferuje „terapie”, które mają wspomagać zaraczone organizmy. Żadna z nich nie znajduje się w wytycznych dotyczących leczenia onkologicznego. Z czego można skorzystać? Na przykład z wlewów witaminy C i kurkuminy. Naczelna Izba lekarska oskarżyła go o stosowanie metod uznanych za „bezwartościowe i szkodliwe” oraz złamanie zasad etyki lekarskiej. Wskazywano, że jego praktyki mogą opóźniać lub zastępować tradycyjne leczenie onkologiczne. W styczniu 2025 r. Szaluś został prawomocnie zawieszony przez Naczelny Sąd Lekarski w prawach wykonywania zawodu na rok. Wyrok został jednak uchylony przez Sąd Najwyższy za błędy proceduralne, a postępowanie umorzono ze względu na przedawnienie. Szaluś wrócił do pracy z pacjentami i zaczął domagać się wielomilionowych odszkodowań od izb lekarskich i sędziów orzekających w jego sprawie.

Na praktyki braci Rodzeń do Naczelnej Izby Lekarskiej też spływają skargi. Niestety, gówno z nich wynika. Okręgowi rzecznicy odpowiedzialności zawodowej i sądy lekarskie mają narzędzia (od upomnienia przez naganę, karę finansową aż po zawieszenie lub odebranie PWZ), ale w praktyce rzadko stosują surowe kary w sprawach pseudomedycyny. Trudno udowodnić szkodę, kiedy pacjent sam rezygnuje z leczenia na rzecz szamaństwa, wszak każdy może leczyć się, jak chce. Postępowania ciągną się latami, a kary pieniężne dla krezusów medycyny alternatywnej wydają się wręcz śmieszne. Czy ustawa pomoże, skoro izby niechętnie czyściły swoje szeregi? Zobaczymy.

Ustawa lex szarlatan jest potrzebna, ale wydaje się, że inicjatywa jest spóźniona o jakieś 20 lat. Altmed i wszystkie jego odnogi to już nie tylko nie handlowanie wyciągiem z prosa na boreliozę. To doskonale zorganizowana przestępczość z zapleczem prawnym, sztabem od PR-u, marketingu i profilowania. Za machiną murem stoją też tysiące fanów, pacjentów, którzy po zderzeniu ze ścianą krajowego leczenia wreszcie czują, że ktoś się nimi zaopiekował. Kiedy minister zdrowia Jolanta Sobierańska-Grenda chwali się ustawą, w państwowej domenie gov.pl, w Bazie Usług Rozwojowych Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości widnieje szkolenie z zakresu biologii totalnej. To pseudonauka, która zakłada m.in., że rak piersi jest odpowiedzią organizmu na troskę o dzieci. Szkolenie jest dofinansowane ze środków publicznych i funduszy Unii Europejskiej. Na zdrowie.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl dedb5134a1

Edukacja zastępcza

Resortowi oświaty najlepiej wychodzi udawanie

Ministerstwo Edukacji Narodowej postanowiło pogodzić księdza z seksuologiem i katechezę z prezerwatywą. Efekt jest groteskowy, a przy okazji kosztowny politycznie, bo uderza w tych, którzy pomysł wymyślili.

Barbara Nowacka ogłosiła bowiem, że edukacja zdrowotna stanie się w szkołach obowiązkowa z wyjątkiem wiedzy o seksualności, która obowiązkowa nie będzie. A jeżeli państwo mówi, że coś jest obowiązkowe, a jednocześnie daje możliwość omijania tego obowiązku poprzez „uwzględnianie wrażliwości", to tworzy przepis martwy jeszcze przed jego wejściem w życie.

Problem rozwiązany

Liczby są dla Nowackiej bezlitosne, bo według danych samego MEN w pierwszym roku funkcjonowania nowego przedmiotu na zajęcia zapisało się około 920 tys. uczniów, czyli mniej więcej 30 proc. wszystkich uprawnionych. I to jest ta „społeczna akceptacja", na której Nowacka chce budować obowiązek.

W szkołach podstawowych uczestnictwo wyniosło około 40 proc., co już samo w sobie oznacza, że większość dzieci na zajęcia nie chodzi. Ale prawdziwa katastrofa zaczyna się w szkołach średnich. Tam na edukację zdrowotną chodzi około 10 proc. licealistów i jeszcze mniej uczniów techników – niespełna 8 proc. Mamy do czynienia z sytuacją, w której państwo najpierw wprowadza przedmiot dobrowolny, który większość uczniów i rodziców odrzuca, a następnie dochodzi do wniosku, że rozwiązaniem tego problemu będzie przymus. To nie polityka edukacyjna, ale klasyczny przykład administracyjnej schizofrenii.

Bo jak pogodzić nauczanie o antykoncepcji z oczekiwaniem, że szkoła nie będzie „promować określonych postaw"? Jak mówić o orientacjach seksualnych, nie wchodząc w konflikt z rodzicami, którzy uważają, że takie tematy w ogóle nie powinny się pojawiać w szkole? Jak uczyć o zdrowiu psychicznym, gdy psychiatria dla dzieci i młodzieży jest przeciążona do granic absurdu? To są pytania, na które MEN nie udzieliło żadnej odpowiedzi.

Zamiast tego mamy komunikaty pełne ogólników, które brzmią jak żywcem wyjęte z podręczników marketingu instytucjonalnego. O „holistycznym podejściu do zdrowia", o „kształtowaniu kompetencji", o „wspieraniu dobrostanu uczniów".

A rzeczywistość jest taka, że Nowacka jest ostrzeliwana z dwóch stron jednocześnie. Jedni zarzucają jej uległość wobec „katolickiej ciemnoty seksualnej", drudzy – „demoralizację młodzieży". I obie te grupy będą miały swoje argumenty.

Bo państwo, które nie potrafi przekonać obywateli do własnej oferty edukacyjnej, postanawia ich do niej zmusić. Państwo, które nie ma odwagi jasno określić, czego chce uczyć, zamierza zrobić to przymusem. Państwo, które nominalnie nie chce konfliktu, tworzy rozwiązanie, które ten konflikt spotęguje. Ale z mediów przychylnych rządowi i tak pójdzie mocny przekaz, że problem z edukacja zdrowotną został rozwiązany.

Dyscyplina nieintelektualna

Jednak nieobowiązkowa seksualnie edukacja zdrowotna to i tak nic przy drugim haśle zastępczym MEN – katalogu kar dla uczniów. Brzmi poważnie, niemal systemowo, ale każdy, kto się w to wczyta, zobaczy, że mamy do czynienia nie z reformą, ale z kolejną próbą udawania, że państwo kontroluje coś, nad czym dawno straciło panowanie.

Bo szkoła w Polsce od lat nie bardzo wiadomo czemu służy. Uczyć – nie bardzo uczy, co pokazują zarówno światowe rankingi, jak i rosnąca liczba korepetycji. Wychowywać – wychowuje jeszcze gorzej, skoro państwo nie ma odwagi jasno określić, jakie wartości chce przekazywać. No to zostaje dyscyplinowanie. Czyli to, co najłatwiejsze, bo nie wymaga wizji, pieniędzy czy sensownego programu. Wystarczy rozporządzenie.

I oto MEN wpada na pomysł, żeby stworzyć katalog kar, który ma uporządkować szkolną rzeczywistość. Bo – jak można usłyszeć w uzasadnieniach – dziś szkoły stosują różne środki dyscyplinujące, a uczniowie i rodzice nie zawsze wiedzą, co im grozi. Czyli klasyczny problem polskiej administracji – brak tabelki. Jeśli coś nie działa, to znaczy, że trzeba to opisać.

Tyle że problem polega na tym, że szkoła nie przestała działać dlatego, że nie było katalogu kar, ale dlatego, że przestała mieć autorytet. Resort tego nie widzi. Zamiast zastanowić się, dlaczego nauczyciel nie jest dziś dla ucznia żadnym punktem odniesienia, dlaczego rodzice traktują szkołę jak usługodawcę, a uczniowie jak zło konieczne, MEN uznaje, że rozwiązaniem będzie uporządkowanie sankcji. Czyli klasyczne odwrócenie przyczyny i skutku.

Co więcej, cały pomysł pojawia się w momencie, gdy szkoła tonie w problemach, które mają znacznie poważniejszy charakter niż to, czy uczeń dostanie naganę, czy upomnienie. Non stop wałkowany jest w mediach temat zdrowia psychicznego młodzieży. Dane nie pozostawiają złudzeń. Liczba prób samobójczych wśród nieletnich utrzymuje się na dramatycznie wysokim poziomie, a system opieki psychiatrycznej i psychologicznej jest przeciążony do granic wydolności.

W tym samym czasie szkoła, miast być miejscem wsparcia, coraz częściej staje się miejscem konfliktu. Konfliktu między uczniami a nauczycielami, między rodzicami a szkołą, między państwem a wszystkimi naraz. I w tę rzeczywistość MEN wrzuca katalog kar, jakby problemem było to, że ktoś nie wiedział, czy za spóźnienie grozi uwaga, czy nagana.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Indywidualność gołych kolan

Jeszcze ciekawiej robi się, gdy spojrzy się na kontekst, w jakim ten pomysł się pojawia. Bo równolegle toczy się dyskusja o tym, jak uczniowie powinni się ubierać. Jedne szkoły próbują wprowadzać regulaminy dotyczące stroju, inne z nich rezygnują, bo kończy się to awanturami z rodzicami. Głośne były przypadki szkół, które próbowały zakazywać noszenia określonych elementów garderoby, od krótkich topów po bluzy z kontrowersyjnymi napisami, co natychmiast wywoływało oskarżenia o ograniczanie wolności uczniów.

I znowu MEN stoi w rozkroku. Z jednej strony słyszymy, że szkoła powinna wychowywać, kształtować postawy, uczyć norm społecznych. Z drugiej – że nie może ingerować w indywidualność ucznia. Efekt jest taki, że w jednej szkole uczennica zostanie wyproszona z lekcji za zbyt krótką kieckę, a w innej nikt nie zwróci uwagi na nic. W takiej rzeczywistości

MEN uznaje, że rozwiązaniem będzie katalog kar. Nie program nauczania, nie prawne wsparcie dla szkoły i nauczycieli, nie zmiana sposobu kształcenia pedagogów. Ale katalog kar.

To ta sama logika, którą obserwujemy w innych obszarach państwa. Gdy coś nie działa, tworzy się przepis. Gdy i on nie działa, tworzy się kolejny. A gdy i to nie działa, ogłasza się reformę, która polega na uporządkowaniu wcześniejszych przepisów. I tak w kółko.

Problem w tym, że szkoła nie jest urzędem. Nie da się jej sprowadzić do procedur. Relacja między nauczycielem a uczniem nie działa na zasadzie kodeksu wykroczeń. Albo jest oparta na autorytecie i zaufaniu, albo nie ma jej wcale. A jeśli nie ma, to żaden katalog kar tego nie zmieni.

Zresztą sama idea ujednolicenia kar brzmi jak żywcem wyjęta z podręczników zarządzania, gdzie wszystko musi być mierzalne, opisane i przewidywalne. Każda sytuacja wychowawcza jest inna, każdy przypadek wymaga indywidualnego podejścia. Próba zamknięcia tego w tabelce skończy się tym, że albo nikt nie będzie się do niej stosował, albo będzie stosował się mechanicznie, co tylko pogłębi problemy.

MEN nie ma wizji tego, czym szkoła ma być. Z jednej strony wprowadza obowiązkową edukację zdrowotną, z drugiej nie potrafi przekonać uczniów, żeby na nią chodzili. Mówi o dobrostanie uczniów, ale proponuje katalog kar. Z jednej strony podkreśla autonomię szkół, z drugiej – chce ją ograniczać poprzez centralne regulacje. To nie jest polityka edukacyjna, ale chaos ubrany w język reformy.

TOMASZ BOROWIECKI

Apostołowie miłosierdzia znad Wisły

Nie będzie Ukrainiec...

W marcu przyjęto ustawę o wygaszeniu specustawy ukraińskiej. Napisano ją w myśl populistycznej narracji, że cwani Ukraińcy na krzywy ryj korzystają z polskiej gościnności. Okazało się, że zmiana uderzyła w najsłabszych. Na pomoc dla nich jak zwykle zrzucają się obywatele, a politycy odpowiedzialni za bajzel rżną głupa.

Szlaban

Wprowadzając ograniczenia, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji wyjaśniało: „po czterech latach pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę uchodźcy zdążyli się już usamodzielnić". Istotnie, 80 proc. z nich pracuje w Polsce i generuje w ciągu roku 2,7 proc. PKB. Mimo to prezydent Nawrocki z radością podpisał rządową ustawę, argumentując, że chroni finanse publiczne, przywraca „elementarną uczciwość" i kończy nadmierną pomoc interwencyjną. Tym samym kluczowym dla dostępu do wielu świadczeń okazał się warunek zatrudnienia. Nie zaproponowano żadnego okresu przejściowego, a przepisy wygenerowały chaos. Emeryci, osoby z niepełnosprawnościami, chorzy przewlekle i samotni opiekunowie z małoletnim przychówkiem w stanie różnym znaleźli się w dupie. Wszystko to wbrew unijnemu prawu.

Od marca 2022 r. UE zapewnia bezpieczeństwo i schronienie ponad 4 mln uchodźców z Ukrainy na podstawie dyrektywy w sprawie tymczasowej ochrony. W czerwcu 2025 r. Rada Unii Europejskiej jednogłośnie poparła wniosek, żeby ochronę przedłużyć do marca 2027 r. Unijne przepisy o tymczasowej ochronie określają jej minimalne standardy. Są to m.in.: prawo do pobytu, dostęp do rynku pracy i zakwaterowania, dostęp do edukacji dla dzieci, pomoc społeczna i medyczna. Z racji tego, że polski rząd wytyczne unijne ma w pompie, dwa ostatnie punkty z minimum standardów poszły się jebać. Tysiące ukraińskich uchodźców z najbardziej wrażliwych grup znalazły się w Polsce bez dostępu do systemu ochrony zdrowia, a bezrobotnym rodzicom (w tym opiekującym się niepełnosprawnymi dziećmi) czy dziadkom odebrano 800 plus. Niesamodzielni niepełnosprawni zostali natomiast wykurwieni z domów pomocy społecznej do noclegowni dla bezdomnych. Z listy osób uprawnionych do mieszkania w ośrodkach zbiorowego zakwaterowania ustawodawca usunął nawet samotnych opiekunów trojga i więcej dzieci, jeśli najmłodsze miało siedem lat, czy pełnoletnich uczniów polskich szkół. Po interwencji organizacji pozarządowych pozwolono im zostać, ale tylko do 30 czerwca. Zegar tyka.

Na zdrowie!

5 marca pełnoletnie osoby z Ukrainy pozostające bez pracy lub zatrudnione nieoficjalnie, niemieszkające w ośrodkach zakwaterowania zbiorowego straciły dostęp do jakichkolwiek świadczeń medycznych. Ustawodawca nie patyczkował się z wrażliwością i hurtem wrzucił do tego wora seniorów, niepełnosprawnych (również z polskim orzeczeniem) i ludzi z chorobami przewlekłymi – także onkologicznymi. Wcześniej beneficjenci ukraińskich emerytur i zasiłków byli zgłaszani do ubezpieczenia przez ośrodki pomocy społecznej. W nowej ustawie znalazł się również przepis odbierający ukraińskim uchodźcom trwale niezdolnym do pracy prawo do starania się o zasiłek stały. Co prawda pozostawiono możliwość dostępu do leczenia w przypadku nagłego zagrożenia życia, ale o tym, czy chory spełnia ten warunek, decyduje zespół ratownictwa medycznego. Jeśli zatem ból w klatce i zlewne poty nie okażą się ciężkim zawałem, pacjent będzie bulił za pomoc wedle stawek rynkowych, najpewniej żałując, że jednak nie zdechł.

Kiwający się nad grobem od chorób lub metryki albo opiekujący się tym rodzinnym balastem mają kilka możliwości poprawy swego losu. Mogą wrócić pod bomby i gruzy albo zasuwać do roboty. Można też ubezpieczyć się dobrowolnie w NFZ.

W tym wypadku polski rząd zafundował chętnym niespodziankę: fundusz traktuje bowiem uchodźców, którzy mieszkali do tej pory w Polsce, ale nie pracowali, jak osoby, które całkowicie wypadły z systemu ubezpieczeń. Wskutek tego w myśl regulaminu nalicza opłatę dodatkową – jeśli przerwa w ubezpieczeniu zdrowotnym i opłacaniu składek wynosi nieprzerwanie np. 2–5 lat, należy wpierw uiścić ponad 9 tys. zł wpisowego. Rzecznik praw obywatelskich interweniował w kwietniu, kwestionując zasadność naliczania tej opłaty za okres, gdy osoby te korzystały z opieki na podstawie specustawy. Coś tam ugrał. 8 maja NFZ odpisał, że osoby ze statusem UKR zamieszkujące w Polsce mogą starać się o zwolnienie z opłaty albo rozłożenie jej na raty. Procedura jest jednak indywidualna, wymaga złożenia wniosku, oczekiwania na rozpatrzenie i udokumentowania bóli bytowych. Przerwa w leczeniu może mieć smarkate konsekwencje, kto przeżyje i załapie się na łaskę, będzie musiał wyskrobać 830 zł miesięcznie na NFZ. Aby ubezpieczyć ukraińskiego emeryta, należy przenieść jego emeryturę do polskiego systemu. To także miesiące oczekiwania w zawieszeniu bez świadczeń.

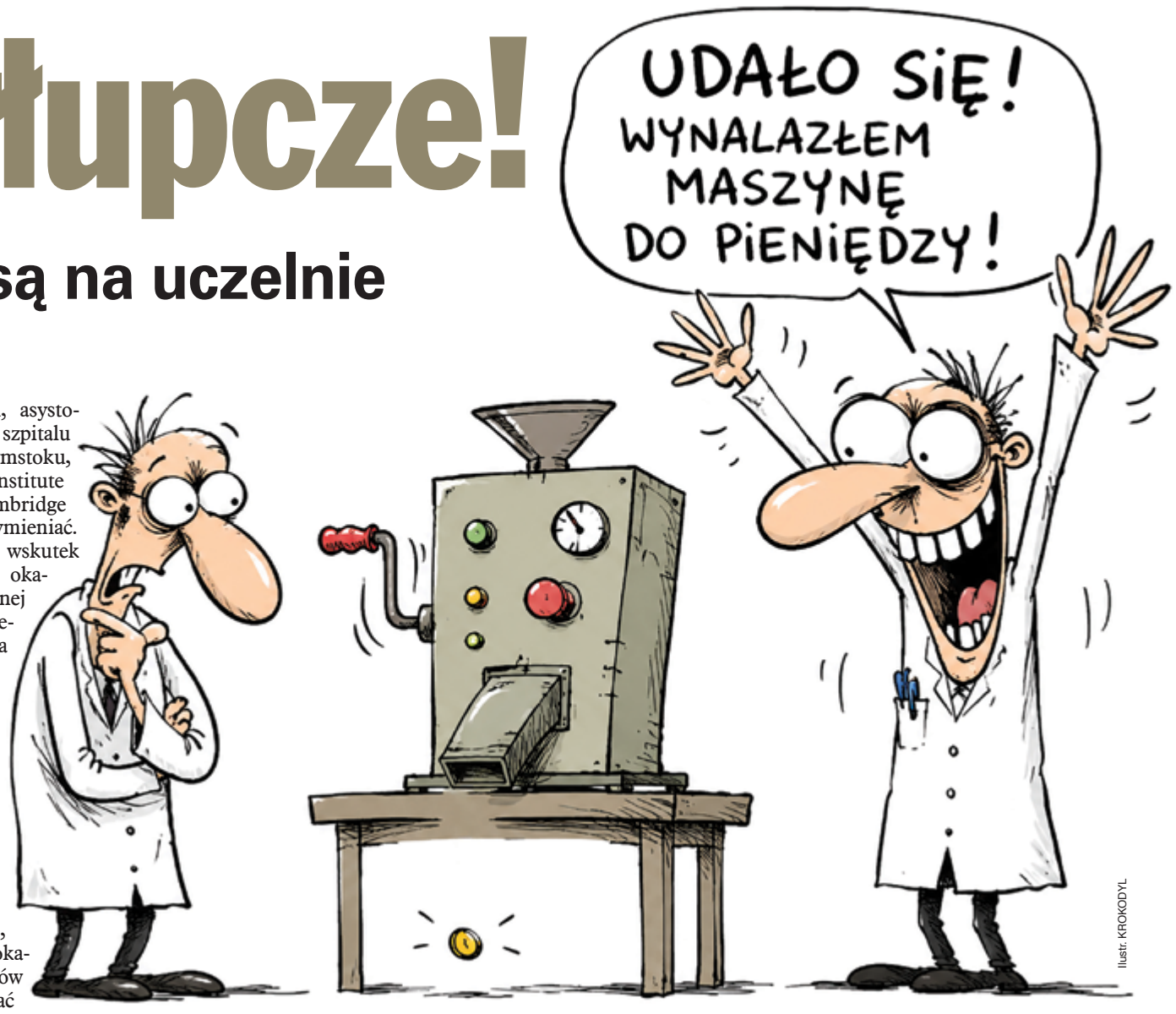
Sumienie wyborczo-wybiórcze

27 marca Stowarzyszenie Homo Faber, Polskie Forum Migracyjne i kilkanaście innych organizacji wystosowały do polskich władz apel z prośbą o ogarnięcie powstałego burdelu. Chwilę później Ministerstwo Zdrowia obwieściło, że kładzie laskę na prawa ukraińskich uchodźców do świadczeń medycznych, czym dało sygnał, że i rząd nie będzie zainteresowany aktem miłosierdzia. Komisja Parlamentarna ds. Uchodźców i Migrantów wespół z Ministerstwem Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej zaprosiła społeczników do rozmów, ale niewiele z tego spotkania wynikło. Konsekwencje zmian w przepisach nie zrobiły na politykach wrażenia.

W połowie maja Fundacja Polskie Forum Migracyjne i OKO.press założyły internetową zbiórkę na rzecz wyruchanych przez system pozostających w rozpaczliwej sytuacji. W ciągu tygodnia od jej uruchomienia darczyńcy wpłacili blisko 1,5 mln zł. O zbiórkę zagadnął wicepremiera i ministra cyfryzacji w rządzie Donalda Tuska, wiceprzewodniczącego Nowej Lewicy Krzysztofa Gawkowskiego Jacek Żakowski w radiu TOK FM. Prowadzący zapytał, czy Gaw-

eprasa.pl dedb5134a1

Nauka, głupcze!



Ilustr. KROKODYL

Czy rząd Tuska rzuci kasą na uczelnie i placówki badawcze?

W połowie maja za sprawą kongresu Impact ’26 Poznań ponownie stał się miejscem debat intelektualistów, naukowców, biznesmenów i polityków z całego świata. Wśród kluczowych mówców wystąpili m.in. ekonomista i laureat Nagrody Nobla Daron Acemoğlu, zajmująca się prawami człowieka adwokatka Amal Clooney, były premier Kanady Justin Trudeau czy rodzima noblistka Olga Tokarczuk. Prelegenci palce lizać. Imprezę otworzył premier Donald Tusk, który opowiadał, że „jeszcze nigdy Polacy nie byli tak dumni z tego, kim są, co osiągnęli, gdzie żyją”. Wydarzenie swoją obecnością uświetnił minister nauki i szkolnictwa wyższego Marcin Kulasek z Nowej Lewicy. Gorliwie przytakiwał diagnozie premiera i przy okazji wysnuł kilka własnych. Zaznaczył, że współpraca nauki i biznesu jest dla jego resortu priorytetem. – Często biznes mówi, że ten świat naukowy, który co prawda coraz częściej otwiera się i unowocześnia, to jednak potrzeb i oczekiwań biznesu nie rozumie. (…) Robimy wszystko, aby komercjalizować wyniki badań naukowych – podkreślił. Pochwalił zajebistość polskich naukowców, przypomniał też, jak wielkim wydarzeniem był lot naszego astronauty Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego w kosmos i płynące z niego aspiracje. Co prawda osiągnięcia naukowo-techniczne tamtej misji spłycono do testowania pierogów w telewizjach śniadaniowych przez głównego bohatera, a brak powagi i zmarnowanie szansy na budowanie wizerunku polskiej nauki skrytykował on sam, ale co się politycy napuszyli, to ich.

Flesze i dymy

Wkład polskiego pierwiastka w światową naukę docenił sam prezydent Karol Nawrocki. 8 marca w pałacu prezydenckim odbyła się uroczystość wręczenia odznaczeń państwowych z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet. Prezydent, któremu towarzyszyła małżonka Marta Nawrocka, uhonorował Srebrnym Krzyżem Zasługi 11 kobiet za ich działalność społeczną, zawodową i naukową. Wśród odznaczonych znalazła się m.in. 17-letnia gdynianka Kornelia Wieczorek, najmłodsza Polka wpisana na listę 100 najbardziej wpływowych kobiet magazynu „Forbes Women”. Brokat sypał się gęsto. Udział w projekcie terapii komórek macierzystych w chorobie Parkinsona pod kierunkiem naukowców z Harvardu, asystowanie przy operacjach w szpitalu onkologicznym w Białymstoku, badania w Netherlands Institute for Neuroscience (Cambridge w Holandii) – długo by wymieniać.

Głupio wyszło, bo wskutek wnikliwości internautów okazało się, że sukcesy zdolnej licealistki są lekko przeskalowane. Białostocka onkologia odbiła piłeczkę, że pani Kornelia owszem, uczestniczyła, ale w szkolnej wycieczce. Współpraca z Harvardem okazała się krótkim komercyjnym kursem online, a badania w holenderskim oddziale Cambridge – niebadawczym szkoleniem, a to dopiero początek listy nieścisłości, które przy pomocy adwokatów i zastraszania mediów za „hejt” stara się okiełznać rodzicielka dziewczynki. Trudno, co robić? Póki co Kancelaria Prezydenta zastanawia się nad odebraniem blaszki.

20. gospodarka świata jest jak sroka – lubi wszystko, co się błyszczy, choć od spodu wdaje się rdza.

Perły przed wieprze

Budowany przez rządzących mit prestiżu kraju nad Wisłą generuje zapotrzebowanie na pozytywne historie sukcesów. Tych wbrew pozorom mamy sporo. Ot, chociażby historia młodej astronomki Zofii Kaczmarek. Naukowczyni jest doktorantką na Uniwersytecie w Heidelbergu. Uzyskała tytuł magistra o profilu badawczym na Uniwersytecie Cambridge, gdzie pracowała w grupie kierowanej przez prof. Wyna Evansa w Instytucie Astronomii. Wcześniej uzyskała tytuł licencjata astronomii na Uniwersytecie Warszawskim pod kierunkiem prof. Łukasza Wyrzykowskiego i nadal współpracuje z warszawską grupą Gaia. Przed rozpoczęciem studiów dwukrotnie wygrała Polską Olimpiadę Astronomiczną (jako pierwsza kobieta w 60-letniej historii konkursu) i trzykrotnie reprezentowała Polskę na Międzynarodowej Olimpiadzie Astronomicznej i Astrofizycznej, gdzie zdobyła srebrny i brązowy medal. W maju NASA opublikowała artykuł o badaniach prowadzonych przez Kaczmarek. Dotyczą wykrywania izolowanych gwiazd neutronowych za pomocą teleskopu Nancy Grace Roman przy użyciu astrometrycznego mikrosoczewkowania grawitacyjnego. Praca pokazuje, jak precyzyjne pomiary fotometryczne i astrometryczne teleskopu Roman pozwolą odkryć setki dotychczas trudnych do namierzenia, ukrytych gwiazd neutronowych w Drodze Mlecznej.

Czy prezydent, premier albo minister nauki zająknęli się o sukcesach Kaczmarek? A skąd. Dlaczego? Trudno powiedzieć. Może nie umieli przeliterować specjalistycznego nazewnictwa albo uznali, że skoro tematu nie da się opchnąć potentatowi paczkomatowego biznesu, to nie warto o tym mówić. Albo dlatego, że wymogiem nauki w Cambridge oprócz propozycji badawczych, które złożyła, była też spora kasa. Czesne wynosiło 250 tys. zł. Torunianka ze zdobytych w konkursach nagród uskładała 68 tys. Na resztę zrzucili się rodacy na zrzutkowym portalu. I całe szczęście, bo gdyby doktorantka została w Polsce, mogłaby przymrzeć głodem. Krajowe stypendium doktoranckie przed oceną śródokresową wynosi 3168 zł netto. Dla porównania – płaca minimalna to 3605 zł netto. Staże i praktyki w Polskiej Akademii Nauk są często bezpłatne. Straszenie biedą i kopaniem rowów w celu zagonienia do nauki mocno się zdezaktualizowało.

Groszowe sprawy

Doktoranci w Polsce nadal funkcjonują jako dziwny twór pomiędzy studentem a pracownikiem, często bez formalnej ochrony pracowniczej, mimo że wykonują pracę naukową. Doktorat w naukach eksperymentalnych oznacza pełnoetatową pracę badawczą: analizy danych, godziny spędzone na eksperymentach, dłubanie przy aparaturze itd. Fatalny poziom popularyzacji nauki sprawia, że świadomość społeczna o tym, jak wygląda współcześnie praca badawcza, jest żadna. Może gdyby naukowcy zarabiali godnie i nie musieli dorabiać kelnerowaniem czy stróżowaniem, mieliby czas na budowanie PR-u. Na razie zwarli szeregi i rozkręcili akcję „3 proc. dla nauki, 100 proc. dla Polski!”. To oddolna inicjatywa trojga badaczy: prof. Instytutu Psychologii PAN dr. hab. Łukasza Okruszka, prof. Instytutu Biochemii i Biofizyki PAN dr hab. Agaty Starosty oraz prof. Michała Tomzy z Wydziału Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego.

Pierwsza odsłona akcji ruszyła jesienią ubiegłego roku w reakcji na projekt budżetu na 2026 r., który po uwzględnieniu inflacji zmniejszał nakłady na naukę do jednego z najniższych poziomów w XXI w. – zawrotnego 1 proc. PKB. Głównym postulatem była rewizja budżetu i zwiększenie dotacji dla Narodowego Centrum Nauki o minimum 400 mln zł. Pod petycją i listem otwartym do prezydenta, marszałka sejmu, marszałka senatu, premiera i reszty rządowych faflunów podpisało się ponad 6,6 tys. osób. Mimo argumentu, że nauka to polska racja stanu, klucz do bezpieczeństwa, innowacyjności, suwerenności technologicznej i rozwoju gospodarczego, akcja nie odniosła pożądanych skutków. Co prawda prezydent Nawrocki poparł inicjatywę i podpisał projekt o Funduszu Rozwoju Technologii Przełomowych z sięgającym 5 mld zł finansowaniem, ale jego pełna realizacja zależy od sejmu i budżetu. 6 maja wystartowała kolejna petycja, pod którą podpisało się przeszło 19 tys. osób. Inicjatorzy podkreślają, że Polska ma mniej naukowców na 100 tys. mieszkańców niż najbardziej rozwinięte kraje na świecie. Walczą nie tylko o finansowanie, ale i o zmiany systemowe.

Środkowy palec

O postulatach akcji w mediach społecznościowych mówią naukowcy, którzy przy okazji prezentują swoje badania, np. dr Urszula McClurg, liderka grupy badawczej w Instytucie Biologii Medycznej PAN w Łodzi. Naukowczyni wróciła do kraju z UK. Bada, dlaczego mechanizmy typowe dla komórek rozrodczych pojawiają się ponownie w nowotworach, oraz szuka nowych terapii przeciwnowotworowych i bardziej precyzyjnych metod leczenia raczyska. Albo dr inż. Łukasz Sterczewski, który pracuje na Wydziale Elektroniki, Fotoniki i Mikrosystemów Politechniki Wrocławskiej, gdzie bada fale terahercowe i lasery półprzewodnikowe. Dr Przemysław Gaweł, chemik i kierownik Laboratorium Organicznej Elektroniki w Centrum Nowych Technologii Uniwersytetu Warszawskiego prowadzi grupę, która wykorzystuje chemię organiczną do otrzymywania materiałów dla elektroniki, fotoniki i półprzewodników – to tylko wycinek grona polskich specjalistów, którzy walczą, żeby młode naukowe talenty nie uciekały z Polski i stały się widoczne dla polityków.

Co na to rząd? „Rząd robi wszystko, żeby ci Polacy, którzy wyjechali na emigrację, wracali, i oni wracają. Takie są fakty, mamy to policzone, mówił o tym ostatnio wicepremier Radosław Sikorski. To się dzieje, jesteśmy 20. gospodarką na świecie, można u nas pracować i godziwie zarobić” – piał minister Kulasek podczas jednego z wywiadów na Impact ’26 w Poznaniu. W rozmowie z redaktor Beatą Lubecką w Radiu Zet przyznał natomiast, że nakłady na naukę są niezadowalające, ale szuka odprysków finansów w MON, żeby trochę do kupki dosypać. Wszystko dlatego, że „sytuacja jest ekstraordynaryjna i tych pieniędzy nie ma tyle”. Dodał również, że są inne możliwości na zwiększenie pensji naukowców, nie zdradził jednak jakie. Może te słynne szparagi zbierane u Niemca? Wiceminister w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego Karolina Zioło-Pużuk pochwaliła natomiast sukcesy resortu w poprawie losu doktorantów. Są to: legitymacja w mObywatelu, zapomogi (ale bez zagwarantowania na nie środków) i plan objęcia ubezpieczeniem chorobowym. Wzruszające.

Petycję wciąż można podpisać w internecie. 27 maja naukowcy z całej Polski będą protestować pod sejmem.

IDALIA DUBICKA

---

kowski chodzi z podniesioną głową, widząc, co dzieje się z najbardziej potrzebującymi obywatelami Ukrainy, których państwo polskie mocą decyzji współkoalicjanta pozbawiło elementarnej, humanitarnej opieki. – Chodzę z podniesioną głową zawsze, dlatego że Lewica w rządzie dużo rzeczy zrobiła dla Polski. Jeżeli gdzieś się czasem w tej koalicji ktoś pomyli i błąd doprowadzi do tego, że trzeba coś poprawić, to trzeba poprawić – odpowiedział wicepremier. – Powiem wprost: nie powinno być żadnego przypadku, komu odbieramy jakieś leczenie, które ma mu uratować życie, kropka. I ja w tej sprawie nie mam wątpliwości – dodał. Wzruszające. Nieco inne zdanie miał jego partyjny kolega Andrzej Szejna, który na antenie TVP2 oświadczył: – Zostały wprowadzone ograniczenia w dostępie do usług, ale nie są tak drastyczne, jak się o tym mówi, dlatego że wszystkie osoby, które pracują, są ubezpieczone, wszystkie te, które płacą podatki, są ubezpieczone.

A kto umarł, ten nie żyje – można się rozejść.

Symbolicznym sygnałem do powstałego pierdolnika była kampanijna propozycja Rafała Trzaskowskiego, by ograniczyć dostęp uchodźców z Ukrainy do programu 800 plus. To wyraz politycznej kalkulacji liberałów, że trzeba szukać poparcia w elektoracie prawicowym, żeby capnąć polskie berło. Konsekwencją tego postulatu było weto Karola Nawrockiego do przedłużenia specustawy ukraińskiej, które wymusiło na rządzie spełnienie podszytego ksenofobią postulatu Trzaskowskiego i reszty zapisów. Sygnał jest jasny – Polska nie jest zainteresowana utrzymaniem darmozjadów i staruchów. Czy rząd się z tego wycofa bodaj o krok? Bardzo wątpliwe.

LUCYNA MIKOŁAJCZAK



Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl dedb5134a1

Klucz do marży

Jak to naprawdę jest z tą rekordową polityką mieszkaniową



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Potrzebujesz mieszkania? To najpierw musisz mieć psychiczną odporność, żeby przejść serię badań, testów i upokorzeń.

Państwo sprawdza, czy jesteś wystarczająco biedny, żeby zasłużyć na pomoc, ale nie aż tak biedny, żeby pomoc była bez sensu, bo przecież gmina i tak nie ma mieszkań. To, co miała po PRL-u, już sprzedała. Potem, jeśli cię stać, odkładasz przez lata pieniądze na wkład własny. Jeśli dajesz radę przed starczym zobojętnieniem, bank sprawdza, czy jesteś wystarczająco bogaty, żeby przez 30 lat z uśmiechem na ustach oddawać własną wolność, spokój i kawał życia. Na końcu przychodzi deweloper i bada, czy jesteś wystarczająco zdesperowany, żeby kupić luksusowy apartament, czy stać cię tylko na „apartament kompaktowy" z widokiem na śmietnik, który w folderze nazwano „strefą miejskiej wymiany społecznej".

I w ten krajobraz wchodzi rząd ze swoją nową strategią mieszkaniową. Ma być „rekordowo": 6,7 mld zł z budżetu w 2026 r., z czego 4,02 mld zł na bezzwrotne granty dla samorządów. Ministerstwo zapowiada, że w blisko 900 lokalizacjach powstanie ok. 18 tys. mieszkań komunalnych i społecznych oraz 2,5 tys. miejsc w akademikach. Razem z pieniędzmi z Krajowego Planu Odbudowy cały budżet mieszkaniowy ma wynieść 8,7 mld zł. Brzmi dobrze?

18 tys. mieszkań to oczywiście lepiej niż nic. Ale jeśli w kraju prawie 54 proc. osób w wieku od 25 do 34 lat mieszka z rodzicami, a wskaźnik przeludnienia mieszkań wynosi 33,7 proc. przy średniej unijnej 16,9, to nie mamy do czynienia z drobną niedogodnością urbanistyczną. To jest społeczny zgniot – kompresja ludzkiego życia. Polska klasa pracująca została spakowana próżniowo: dorośli ludzie, dzieci, babcie, kot, laptop służbowy i resztki libido upchnięte między pralką a wersalką.

Luka, czyli piekło środka

Rząd lubi mówić o „luce czynszowej". Piękne pojęcie. A jednak

luka czynszowa to ten rejon piekła, w którym zarabiasz za dużo na mieszkanie komunalne i za mało na kredyt; za mało na normalny najem, ale akurat wystarczająco dużo, żeby polityk mógł ci radośnie powiedzieć: ogarnij się, przyjdź, jak będziesz miał czym zapłacić.

A ceny mieszkań w wielu miejscach uciekają ludziom szybciej, niż rosną ich pensje.

Wcześniej była też zapowiedź programu „Klucz do mieszkania": co najmniej 2,5 mld zł na mieszkalnictwo społeczne i komunalne w 2025 r., dwuipółkrotne zwiększenie środków dla gmin, nawet 15 tys. mieszkań do sfinansowania. Był też pomysł, żeby wsparcie zakupu mieszkań ograniczyć do rynku wtórnego, czyli – jak deklarował minister – nie ładować kolejnej publicznej złotówki prosto do kieszeni deweloperów. Program miał obejmować zakup mieszkań i domów „z drugiej ręki", z limitami ceny metra. No i dobrze. Tylko że to nadal nie jest przewrót kopernikański. To raczej zmiana trasy konwoju z publiczną kasą. W nowej, lepszej Polsce obywatel zamawia mieszkanie, bank określa plan spłat, a państwo grzecznie oferuje dopłatę. W ten sposób sztucznie rośnie popyt, ceny dostają gorączki, marże deweloperów idą na spacer po czerwonym dywanie, ale całość wygląda bardziej socjalnie. Tylko dla wielu brakuje dachu nad głową.

Dopłata do marży

Przerabialiśmy to już kilka razy – tak za Tuska, jak i Kaczyńskiego. „Rodzina na swoim", „Mieszkanie dla młodych", „Bezpieczny kredyt 2 procent" – każdy kolejny program miał wyglądać jak nowe lekarstwo na brak mieszkań, a działał tak, że strzelały korki od szampana na bankietach u deweloperów.

Główny Urząd Statystyczny podaje, że w IV kwartale 2025 r. ceny mieszkań były o 4,3 proc. wyższe niż rok wcześniej, a na rynku pierwotnym aż o 5,7 proc.. Zestawienia Eurostatu pokazują jeszcze straszniejszy film grozy: między 2015 a 2024 r. ceny nieruchomości w Polsce wzrosły o 106 proc., a czynsze o 66 proc. To nie jest „dojrzewanie rynku". To jest polityka mieszkaniowa po dopalaczach, prowadzona przez ludzi oszołomionych neoliberalną ideologią.

A teraz najlepsze: według GUS na koniec 2024 r. zasoby mieszkaniowe w Polsce liczyły prawie 16 mln mieszkań, czyli o 186,5 tys. więcej niż na koniec 2023 r. Oznaczało to wzrost o 1,2 proc. rok do roku. Czyli budujemy: beton się leje, dźwigi tańczą, reklamy kuszą zielonym patio, które jest donicą z trawą przy garażu. Tylko że równocześnie liczba umów najmu lokali z mieszkaniowego zasobu gmin spadła o 1,3 proc. Państwo ma więc w kraju więcej mieszkań, ale mniej własnego narzędzia do prowadzenia polityki społecznej. To tak, jakby straż pożarna ogłosiła sukces, bo w mieście przybyło plastikowych wiaderek, choć ona sama pozbyła się wozów gaśniczych.

Nie trzeba tu nawet specjalnie wymyślać złośliwości, bo Najwyższa Izba Kontroli robi to urzędowo, gdy przestaje udawać uprzejmość. O „Mieszkaniu Plus" NIK napisała wprost: fiasko. Rząd obiecywał 100 tys. mieszkań do końca 2019 r., a do końca października 2021 r. oddano 15,3 tys.; 20,5 tys.było w budowie. W społecznej części programu zakładano budowę 72,5 tys. mieszkań. Powstało 735 lokali (słownie: siedemset trzydzieści pięć).

Jeszcze bardziej tragikomiczne są wyniki kontroli Rządowego Funduszu Mieszkalnictwa. NIK stwierdza, że „zamiast mieszkań budowano struktury spółek". Wiadomo: zarządy, rady nadzorcze, dyrektorzy, gabinety, procedury, segregatory, kawa w sekretariacie… W gminach objętych wsparciem planowano wybudować 48,6 tys. mieszkań w latach 2024–2031, a po trzech i pół roku działania funduszu zrealizowano 4,4 proc. planu.

Oczywiście deweloperzy nie są żadnymi biednymi rzemieślnikami od cegły i zaprawy. Z danych publikowanych przez największe spółki deweloperskie notowane na polskiej giełdzie wynika, że ich średnia marża netto pozostaje wysoka, a w ostatnich latach potrafiła rosnąć. W tłumaczeniu z języka giełdowego na ludzki: gdy obywatel słyszy, że „koszty budowy wzrosły", powinien zapytać, czy przypadkiem nie chodzi o koszty dobrostanu akcjonariuszy.

Mieszkanie jako prawo, czyli herezja

I tu dochodzimy do sedna. Polscy politycy potrafią już powiedzieć „mieszkanie prawem, nie towarem" – ale nadal nie rozumieją, co to znaczy: że trzeba budować publicznie, długofalowo, na wynajem, kontrolować czynsze, wyjmować grunty spod spekulacji, chronić lokatorów, remontować pustostany, opodatkować spekulacyjne fliperstwo i przestać udawać, że rynek mieszkaniowy rozwiąże problemy.

W Wiedniu miasto ma około 220 tys. mieszkań miejskich i około 200 tys. mieszkań spółdzielczych budowanych z publicznym wsparciem. Nie jest to raj, ale jest to dowód, że można mieć politykę mieszkaniową, a nie tylko politykę pompowania biznesu deweloperów. Tam mieszkanie jest częścią miejskiej infrastruktury społecznej.

W Finlandii programy oparte na zasadzie Housing First przez lata zmniejszały bezdomność, bo tam ktoś pojął rzecz dla polskich elit egzotyczną: człowiek bez mieszkania nie potrzebuje najpierw motywacyjnego webinaru – tylko mieszkania. Housing First, czyli „najpierw mieszkanie", odwraca tradycyjną logikę pomocy bezdomnym. Nie mówi człowiekowi: najpierw się wylecz, znajdź pracę, wytrzeźwiej, ureguluj życie, a potem może dostaniesz dach nad głową. Mówi odwrotnie: najpierw dostajesz stabilne mieszkanie z własną umową najmu, a dopiero potem – już bez życia w schronisku albo na ulicy – otrzymujesz wsparcie terapeutyczne, socjalne, zdrowotne czy zawodowe.

Fiński projekt był finansowany i organizowany przy mocnym udziale państwa, samorządów i sektora non profit, ale jego celem było głównie wyciąganie ludzi z bezdomności. Wiedeń stosuje inną politykę: nie czeka, aż człowiek wyląduje w schronisku, tylko przez ogromny zasób mieszkań miejskich oraz subsydiowanych trzyma znaczną część najmu poza rynkową rzeźnią. Finlandia podaje tlen po upadku. Wiedeń montuje poręcz przy schodach. Polska na razie drukuje ulotkę, że schody są „rekordowo dostępne".

Polska prawica nie uważa, że mieszkanie jest prawem człowieka. Nie ratyfikowała Zrewidowanej Europejskiej Karty Społecznej, choć Polska podpisała ją lata temu. Rzecznik praw obywatelskich przypominał o tym w 2026 r. Artykuł 31 tej karty mówi o prawie do mieszkania: dostępie do mieszkań o odpowiednim standardzie, ograniczaniu bezdomności i czynieniu kosztów mieszkań dostępnymi dla ludzi bez wystarczających zasobów. Czyli dokładnie o tym, czego polska klasa polityczna dotyka przez gumowe rękawiczki, jakby to była fiolka z wirusem.

Rekord nonsensu

Dlatego nowa strategia mieszkaniowa ma jedną zaletę: pokazuje, że rząd już wie, gdzie jest pożar. 6,7 mld zł, 18 tys. mieszkań – brzmi dobrze. Ale problem nie polega tylko na tym, ile państwo dosypie do systemu – ważne, czy państwo odważy się ten system zmienić i działać w interesie obywateli, a nie w interesie świętej trójcy polskiego mieszkalnictwa: banku, dewelopera i rzecznika prasowego sukcesu. Bo można budować mieszkania jak infrastrukturę społeczną: jak szkoły, biblioteki, wodociągi, transport publiczny. Można też dalej traktować mieszkanie jak towar i mówić: przykro nam, minimalna stawka za normalne życie wynosi pół miliona plus odsetki.

Rząd mówi: rekord. Ja pytam: rekord czego? Odwagi czy PR-u? Bo jeśli państwo nadal nie powie jasno, że dach nad głową jest prawem społecznym, a nie nagrodą za zdolność kredytową, to cała ta strategia będzie tylko „Mieszkaniem Plus 2.0": mniej krzykliwym, lepiej opakowanym, bardziej europejsko uczesanym, ale wciąż wiernym starej polskiej zasadzie: obywatel ma mieć nadzieję, bank – odsetki, deweloper – marżę. A państwo? Państwo ma mieć udaną konferencję prasową.

ANNA GRODZKA

Mniejsze zło, edycja 2026

A ja tam kibicuję sędziemu Kapińskiemu

Nie żebym była pewna, że jest on legalnym pierwszym prezesem Sądu Najwyższego – jestem raczej pewna, że tego tak do końca nikt nie wie. PiS-owi udało się zorganizować w wymiarze sprawiedliwości taki burdel, że dziś nie da się przywrócić stanu zgodnego z konstytucją bez łamania konstytucji.

Jednak akurat procedura wyboru pierwszego prezesa SN – przez prezydenta, spośród kandydatów przedstawionych przez Zgromadzenie Ogólne Sędziów – nie jest elementem pisowskiej „reformy"; jest zapisana tyleż w konstytucji, co w ustawie o Sądzie Najwyższym. Jedyna zmiana, którą PiS wprowadziło w tym zakresie, dotyczyła zmniejszenia wymaganego quorum na Zgromadzeniu Ogólnym i rozszerzenia listy, którą zgromadzenie przedstawia prezydentowi – z trzech do pięciu. W 2018 r. zmiana ta miała, z punktu widzenia PiS-u, taktyczny sens, bo przeważali sędziowie „starzy" i gdyby kandydatów była tylko trójka, to Duda nie dostałby nikogo, kogo prezes pozwoliłby mu nominować. W tej chwili sytuacja jest oczywiście inna. Po pierwsze dlatego, że nowi sędziowie mają przewagę liczebną nad starymi, więc mogą wybierać tylko spośród siebie, czy to trójkę, czy piątkę. I to właśnie zrobili: wszyscy kandydaci przedstawieni prezydentowi należeli do grona neosędziów.

A po drugie – obecny prezydent nie zapytał Jarosława Kaczyńskiego o to, kogo wolno mu nominować. I to jest, w mojej opinii, zmiana, nad którą warto się pochylić.

Jarosław Kaczyński dostał wprost ataku histerii, jeszcze zanim Karol Nawrocki podjął decyzję. Sama obecność Kapińskiego na liście kandydatów wprawiła prezesa w poruszenie tej mocy, że uznał za stosowne dać mu wyraz na Iksie: „26 lat, jakie dzielą nas od pseudoprocesu lustracyjnego Lecha Wałęsy, i 18 lat od wydania książki IPN, która opisała nie tylko sprawę agenturalnej przeszłości L. Wałęsy, ale również sądową lustrację z 2000 r., nie wyobrażam sobie, aby sędzia, który brał w tym udział, został I prezesem Sądu Najwyższego"…

Plotka głosi, że prezesa do iksowego wybuchu podjudził Sławomir Cenckiewicz, którego przyjaźń z prezydentem nie przetrwała utraty stanowiska szefa BBN. Oficjalnie Cenckiewicz zrezygnował sam, „w odpowiedzialności za państwo" i „wobec bezprawnych działań rządu" – ale bądźmy poważni: ostatnim facetem w polskiej polityce, który zrezygnował ze stanowiska w poczuciu odpowiedzialności za państwo, był Józef Oleksy w 1996 r.

Zresztą nawet jeśli przyjaźń kolegów z IPN przetrzymałaby utratę stołka przez Cenckiewicza – to


Ilustr. PAWEŁ FERENC

publicznego opierdolu, na jaki sobie pozwolił on pod adresem prezydenta, nie przetrzyma na pewno.

„Karolu, popełniłeś straszny błąd i nawet to, kto i w jaki sposób Cię do tego namówił, nie tłumaczy tego błędu" – ogłosił były urzędnik kancelarii, zwracając się do głowy państwa. Potem było jeszcze coś o „piramidalnym kłamstwie", „strasznym kłamstwie sądowym", „kłamliwej bredni" i „pogwałceniu wszelkich zasad rzetelności" – to wszystko o wyroku z 2000 r., że Wałęsa nie był „Bolkiem" – a na końcu Cenckiewicz zaatakował Nawrockiego wprost: „Tłumaczyć dziś, że wówczas nic się nie stało, a Polska w 2026 r. musi mieć za »pierwszego sędziego« Rzeczpospolitej kogoś, kto dopuścił się takiego kłamstwa jak Kapiński – jest zwyczajnie niegodne i dla Polski bardzo złe".

No i właśnie to, że Cenckiewicz i Kaczyński tak myślą, jest dla Polski bardzo dobre.

Na kilku poziomach.

Po pierwsze i może nie najważniejsze:

naprawdę radosną wiadomością jest to, że w środowisku szeroko pojętego pisizmu coraz więcej do powiedzenia mają faceci, którzy to, czy Wałęsa był, czy nie był Bolkiem, mają po prostu w dupie.

eprasa.pl dedb5134a1

Liberalna wizja praw człowieka jako uniwersalnego systemu ochrony jednostki zaczyna się rozjeżdżać

Europejski kocioł



Ilustr. KROKODYL

Szczelność granic Rzeczypospolitej była tematem konferencji prasowej, która odbyła się 15 maja w Ośrodku Konferencyjno-Szkoleniowym Straży Granicznej „Strażnica" w Otwocku z udziałem premiera Donalda Tuska, ministra spraw wewnętrznych i administracji Marcina Kierwińskiego oraz komendanta głównego Straży Granicznej gen. dyw. SG Roberta Bagana.

„Pierwszym zadaniem mojego rządu było przywrócenie bezpiecznych granic państwa polskiego. W ostatnim roku władzy PiS granicę z Białorusią nielegalnie przekroczyło 12 tys. osób. W pierwszym kwartale tego roku zero! Brawa dla Straży Granicznej, Wojska Polskiego i Policji!!" – zanotował radośnie w swoich social mediach Donald Tusk. Tego samego dnia na jednym z portali zbiórkowych udało się zebrać pieniądze na bilet powrotny dla młodej, niepełnosprawnej dziewczyny z Somalii, którą kilka razy wyrzucono z polskich regularnych przejść granicznych do Białorusi, gdzie ostatecznie została aresztowana na poczet deportacji. Również 15 maja 46 państw Rady Europy przyjęło i podpisało deklarację kiszyniowską, która być może przypieczętuje niewesoły los Somalijki oraz wszystkich, którzy w Europie spodziewali się znaleźć prawa człowieka.

Odbyt Europy

Około 20-letnia obywatelka Somalii spierdoliła od piekła przymusowego małżeństwa z kilkadziesiąt lat starszym mężczyzną z kraju objętego wewnętrznymi konfliktami. Uciekła przed znęcaniem się i torturami. Można powiedzieć, że wpadła z deszczu w gówno. Została oszukana i pozostawiona przez handlarza ludźmi w Białorusi, skąd próbowała uciec do Polski. Po push-backach i pieszczotach, jakich doświadczyła w lesie na granicy, straciła część palców u stóp. Funkcjonariusze rodzimej SG wysłuchali jej historii i widzieli, w jakim jest stanie. Byli również świadomi, że na Białorusi może być deportowana do swojego kraju, gdzie grozi jej śmierć. Nie zrobiło to na nich większego wrażenia. Gnijące stopy kobiety zostały opatrzone w placówce medycznej i zgodnie z obowiązującą od marca 2025 r. ustawą azylową ich właścicielkę wypchnięto w objęcia reżimu Łukaszenki. W pierdlu oczekuje na deportację, która dojdzie do skutku, kiedy tylko polscy wolontariusze dzięki wpłatom darczyńców kupią jej bilet lotniczy do Somalii.

Co prawda zgodnie z ustawą azylową straż graniczna na granicy polsko-białoruskiej może przyjąć wniosek o ochronę międzynarodową od nieszczęśników należących do tzw. grup wrażliwych, ale korzysta z tej łaski od święta. Katalog tych grup jest zaś niezwykle wąski. Wśród wytycznych ujętych w dokumencie znajdują się m.in. osoby, „które mogą wymagać szczególnego traktowania ze względu na swój wiek lub stan zdrowia", oraz takie, które w ocenie SG „jednoznacznie świadczą, że są one zagrożone rzeczywistym ryzykiem doznania poważnej krzywdy w państwie, z którego przybyły bezpośrednio na terytorium RP". Somalijska migrantka łapała się na oba punkty, ale promocji nie uzyskała. Otwarte, niegojące się od pół roku rany, które uniemożliwiają poruszanie się, ale mogą zafundować gangrenę, to za mało, żeby przekroczyć polską granicę. Jak wynika z danych humanitarnej organizacji społecznej Hope & Humanity Poland, od lata ubiegłego roku na luksus ochrony międzynarodowej według funkcjonariuszy SG nie zasłużyli również m.in. trzymiesięczne dziecko z mamą i tatą z Komorów, ciężko chora 16-latka z Etiopii oraz jej rodaczka z martwą ciążą. Lista jest długa i odbiera wiarę w ludzkość.

Do grudnia 2025 r. jakąś nadzieją dla osób zawracanych na Białoruś przez SG był Europejski Trybunał Praw Człowieka. Wydane przez niego czasowe zabezpieczenie umożliwiało wpuszczenie do kraju nad Wisłą ludzi po torturach, samotnych matek z małymi dziećmi i ludzi ciężko chorych. Niestety, ETPCz zmienił sposób rozpatrywania wniosków o udzielenie środka zabezpieczającego poprzez zobowiązanie rządu RP niejako z góry do niezawracania takich przypadków na Białoruś. Środek jest bardziej systemowy – nie wymaga już za każdym razem szczegółowego udowadniania indywidualnej podatności. Co za tym idzie, jest skutecznie obchodzony. Grupy wrażliwe są traktowane według uznania SG i polityki rządu. Np. pojawia się argument, że środek obowiązuje tylko po formalnym wpuszczeniu na terytorium Polski, a nie na linii granicy i dupa przybysza zimna. Właśnie w tym kontekście pojawia się tzw. deklaracja kiszyniowska przyjęta przez 46 państw Rady Europy podczas posiedzenia Komitetu Ministrów w stolicy Mołdawii. W zasadzie formalizuje międzynarodowo to, co w Polsce odwala się od dawna.

Mowa trawa

Dokument dotyczy przede wszystkim migracji i relacji pomiędzy państwami narodowymi a Europejskim Trybunałem Praw Człowieka w Strasburgu. Ministrowie spraw zagranicznych domagają się w nim zmiany linii orzeczniczej trybunału w kwestii praw migrantów, bo „niewystarczająco reaguje" na nowe wyzwania.

Finalizacja glejtu była poprzedzona głośnym listem dziewięciu europejskich przywódców, w tym premiera Tuska, z maja 2025 r., a następnie wspólnym oświadczeniem ministrów sprawiedliwości 27 europejskich państw, z grudnia 2025 r. Wynikało z nich, że Europejski Trybunał Praw Człowieka w niektórych przypadkach zbyt szeroko interpretuje konwencję, co ogranicza suwerenność państw w sprawach: wydalania cudzoziemców skazanych za przestępstwa, kontroli nielegalnej migracji i ochrony granic zewnętrznych. Głównym postulatem było „przywrócenie równowagi między prawami człowieka a interesem publicznym". Państwa domagały się większej swobody decyzyjnej na poziomie krajowym, bez naruszania „ducha" konwencji. Już te zakusy były krytykowane przez organizacje praw człowieka jako próba wywierania politycznej presji na niezależność trybunału. Sama deklaracja formalnie nie zmienia jeszcze prawa ani samej Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, ale buduje niebezpieczny precedens. Pod hasłem dostosowania prawa do współczesności może rozpocząć się proces stopniowego osłabiania całego systemu ochrony praw jednostki w Europie.

W dokumencie kilkukrotnie podkreślany jest szacunek dla dorobku orzeczniczego ETPCz i rzekome przywiązanie do przestrzegania wartości i przepisów konwencji, jednak w poszczególnych artykułach już tego nie widać. Sam język bumagi sugeruje, że zbyt silna ochrona przybyszy spoza Europy może osłabiać społeczne zaufanie do systemu praw człowieka.

Zdawałoby się, że przeciwdziałaniu i zwalczaniu przestępczości powinno służyć prawo karne, a nie migracyjne. Deklaracja kiszyniowska ma inną wykładnię.

Tortura interpretacji

Zakaz zbiorowych wydaleń, tortur, prawo do życia rodzinnego czy zasada non refoulement zakładająca, że człowieka nie można wykurwić do miejsca, gdzie grozi mu prześladowanie, miały być ponadczasowe i przede wszystkim odporne na presję polityczną. Pozmieniało się. Sygnatariusze deklaracji stwierdzają, że mają prawo do wydalenia cudzoziemca, „nawet jeśli środek ten ingeruje w jego prawo do poszanowania życia prywatnego i rodzinnego, o ile ingerencja ta jest zgodna z prawem i konieczna w społeczeństwie demokratycznym do realizacji uzasadnionego celu". Takimi celami są: bezpieczeństwo narodowe, publiczne lub dobrobyt gospodarczy kraju, zapobieganie zakłóceniom porządku lub przestępczości, ochrona zdrowia lub moralności albo ochrona praw i wolności innych osób. Interpretując na szybko: niezagrażająca Polsce i Polakom Somalijka mogłaby zostać wywalona jako ewentualne ryzyko dla dobrobytu gospodarczego. Wszak inwalidkę trzeba leczyć, a przynajmniej wypadałoby…

Np. art. 23 deklaracji mówi o tym, że zakaz tortur oraz nieludzkich i poniżających praktyk powinien być stosowany w sposób jasny, niezmienny i odnosić się „do najpoważniejszych form złego traktowania", tak by „nie tworzyć niepotrzebnych ograniczeń dla decyzji o ekstradycji lub wydaleniu cudzoziemców". Państwa stwierdzają, że to, czy w poszczególnych przypadkach traktowanie spełnia definicję nieludzkiego, „ma charakter względny i zależy od wszystkich okoliczności danej sprawy". W deklaracji podkreślono również, że sam system konwencji ma charakter uzupełniający (subsydiarny) wobec ochrony praw człowieka na poziomie krajowym, a „organy krajowe są co do zasady lepiej przygotowane niż sąd międzynarodowy do oceny lokalnych potrzeb i warunków". Takie postawienie sprawy robi z konwencji wydmuszkę. Państwa, które przed laty do niej przystąpiły, wzięły na siebie odpowiedzialność nie tylko za lokalsów, ale też za tych, których prawa i wolności tępiono w krajach pochodzenia i którzy w poszukiwaniu ludzkiej godności i bezpieczeństwa dotarli do ich granic. Próba redefinicji ustalonych europejskich proporcji pomiędzy prawami jednostki a kompetencjami danego kraju pokazuje, że państwa członkowskie będą próbowały wpływać na klimat polityczny wokół przyszłych wyroków Strasburga. To śliski parkiet do tańca. Prawa człowieka mają być żelaznym zobowiązaniem państwa wobec obywateli, nawet jeśli to dla państwa niewygodne. To gwarancja, która ogranicza państwo w jego autorytarnych zapędach. Alain Berset, sekretarz generalny Rady Europy, w 2025 r. w reakcji na list pierwszej dziewiątki stwierdził, że „instytucje, które chronią prawa podstawowe, nie mogą ulegać cyklom politycznym. W obliczu dzisiejszych złożonych wyzwań naszym zadaniem nie jest osłabianie konwencji, ale utrzymanie jej siły i znaczenia – aby chronić równowagę między wolnością i bezpieczeństwem, sprawiedliwością i odpowiedzialnością". Zobaczymy, jak długo.

IDALIA DUBICKA

Dla porządku: był, i w „NIE" pisaliśmy o tym, zanim ktokolwiek inny się odważył – ale dziś jest to absolutnie i całkowicie bez znaczenia. Kuriozalność przywiązania do tego antycznego problemu Cenckiewicz sam najlepiej wyraził w swoim histerycznym wpisie: „Piszę o tym publicznie, bo decyzja prezydenta RP jest publiczna, kłamstwo, które jej towarzyszy, jest publiczne i musi być napiętnowane, a sprawa Wałęsy i jego sądowych pomagierów jest tyleż publiczna, co »moja«!". Za „swoją" uważa ją też Jarosław Kaczyński – ale już naprawdę mało kto więcej.

Jerzy Giedroyć ubolewał swego czasu, że Polską rządzą trumny Piłsudskiego i Dmowskiego – ale fakt, że rządzą nią teczki nieistniejącej od 35 lat tajnej policji, jest jeszcze bardziej groteskowy. Toteż dobrze, gdy okazuje się, że rządzą coraz mniej: że ta starcza obsesja zanurzonego w przeszłości paranoika młodszym politykom jego formacji zwisa nacią od pietruszki.

Po drugie – i nieco ważniejsze – Karol Nawrocki nawet nie udaje, że zdanie Kaczyńskiego się dla niego liczy. „Prezydent nie miał żadnych wątpliwości, że sędzia Kapiński powinien pełnić funkcję I prezesa SN" – oznajmił arogancko rzecznik prezydenta Rafał Leśkiewicz. Ani słowa o trudnej decyzji i głębokim namyśle.

Co nie mniej ważne, po stronie prezydenta – a więc przeciw prezesowi – ustawiła się jasno frakcja harcerzy. Mateusz Morawiecki ogłosił, że prezydent podjął „decyzję najlepszą z możliwych" – co jest wszak aktem wyraźnej niesubordynacji. Kolejnym, po tym, jak Morawiecki nie dał się zastraszyć uwagami Kaczyńskiego o pasożytnictwie i podtrzymał plan stworzenia stowarzyszenia Rozwój Plus. To osłabia władzę prezesa, ale także – jak ujął to anonimowy informator WP z kręgów PiS – stanowi „porażkę partyjnego betonu" . Wziąwszy pod uwagę, że w przyszłym roku Polską może rządzić premier z Prawa i Sprawiedliwości – zdecydowanie wolałabym, żeby był to Morawiecki, a nie Czarnek. Jak mam do wyboru egzemę i gorączkę krwotoczną – to jednak wybieram egzemę.

I wreszcie po trzecie: sędzia Kapiński oczywiście jest neosędzią ze znacznymi zasługami dla PiS-u: orzekł, że ziobrysta Dariusz Barski nadal jest prokuratorem krajowym; próbował (nieskutecznie) przenieść sprawę mandatu poselskiego Mariusza Kamińskiego do pisowskiej Izby Kontroli Nadzwyczajnej; blokował wnioski o wyłączenie neosędziów. Mimo tego – z piątki przedstawionej prezydentowi przez Zgromadzenie Ogólne Sędziów SN – Kapiński może naprawdę być najlepszym wyborem. Przyznał to, acz z pewnymi oporami, sędzia SN Michał Laskowski, którego naprawdę trudno podejrzewać o flirt z pisizmem.

„Na pewno doświadczenie sędziowskie pana Kapińskiego to jest jego zaleta – bo przypomnę, że pozostali kandydaci na to stanowisko to były notariusz, były komornik, były adwokat ze stosunkowo krótkim stażem sędziowskim" – nieco ironicznie zauważył Laskowski w TOK FM. I powiedział coś jeszcze: że wydaje mu się, „że sędzia Kapiński nie jest typem jakiegoś radykała" – przynajmniej w zestawieniu z pozostałymi kandydatami, którzy zapowiadali karanie niezgadzających się z nimi sędziów i postępowania dyscyplinarne.

Dodatkowo – czego Laskowski już nie powiedział – inni kandydaci są nawet bardziej nieprzyjemni. Aleksander Stępkowski był wiceministrem w pisowskim rządzie i współtwórcą Ordo Iuris, z którym związany jest także Paweł Czubik, który ponadto był recenzentem pracy doktorskiej wyjątkowo ponurej postaci, jaką jest Łukasz Piebiak, której to pracy Tomasz Demendecki był promotorem. Jeden Mariusz Załucki nie ma w swoim życiorysie jakichś wyraźnych pisowskich zasług, z tym że jest on nauczycielem akademickim ze specjalizacją prawo własności intelektualnej, a jego doświadczenie orzecznicze to cztery lata w SN z pisowskiego nadania. W sumie – z pięciorga złego wybór sędziego Kapińskiego naprawdę był najlepszy.

Z Karolem Nawrockim w pałacu prezydenckim wizja wielkiej systemowej naprawy wymiaru sprawiedliwości przeszła do sfery baśni. Jedyne, na co możemy liczyć, to powolne dłubanie, krok po kroku, nominacja po nominacji – a pierwszym krokiem będzie uruchomienie nowej, zgodnej z konstytucją Krajowej Rady Sądownictwa. Którą zwołuje pierwszy prezes Sądu Najwyższego. Sędzia Kapiński ma na to czas do 14 czerwca.

Może spróbujmy go nie obrzucać błotem do tego czasu?

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

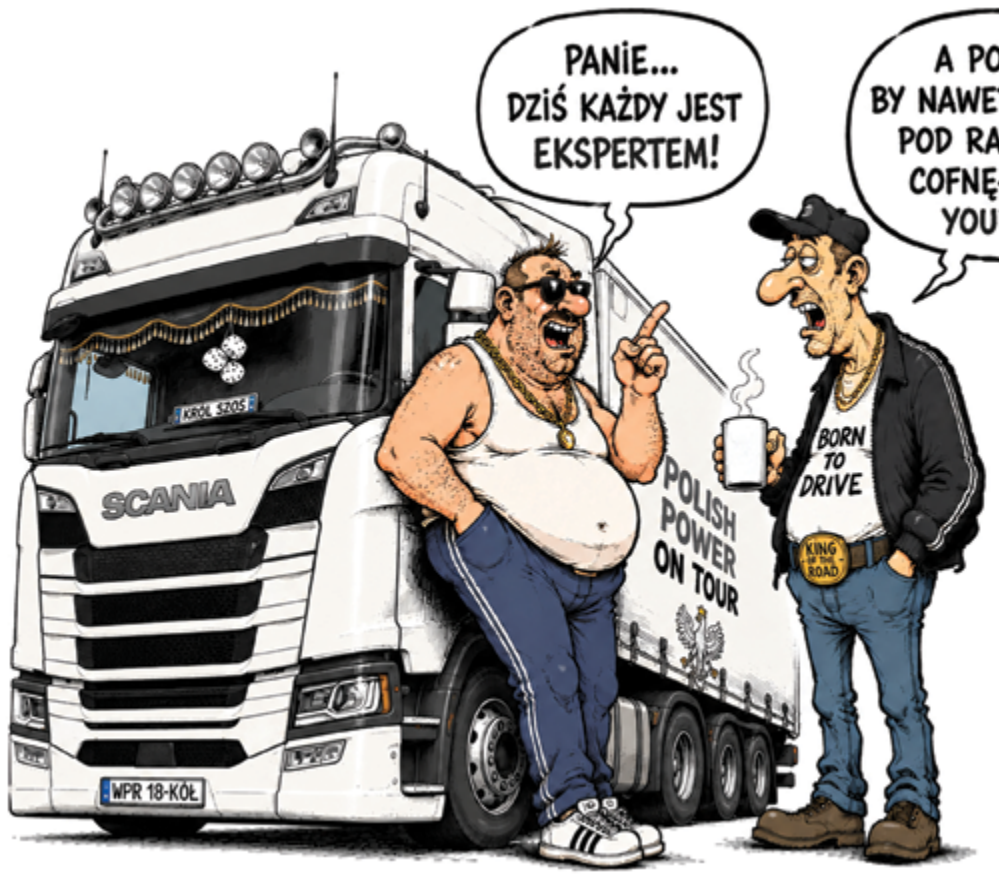
eprasa.pl dedb5134a1

Mądrość do trumny

Jak popłynąłem promem do Szwecji i co z tego wynikło

Płynąłem ostatnio do Ystad nowym polskim promem „Varsovia”, który prezentuje się jak Hotel Victoria w dniu otwarcia. Szczyt marzeń prowincjonalnego dyrektora o luksusie z czasów, gdy szczytem techniki był syfon z nabojami. Ten pływający gmach, wart ponad pół miliarda złotych, powstał jednak we Włoszech, bo polskie stocznie, zamiast budować statki, zajęte są dogorywaniem w oparach państwowych subwencji. Żeby było zabawniej, „Varsovia” dumnie powiewa flagą Cypru, bo tamtejsze prawo pracy i ubezpieczenia są dla naszego narodowego przewoźnika* bardziej atrakcyjne niż polska rzeczywistość, którą sam współtworzy. Ci, którzy to wymyślili, będą bełkotać o „pragmatyzmie ekonomicznym”, strojąc miny mężów stanu. Ja powiem prościej: to jedyny znany ludzkości sposób na skuteczne obejście własnej narodowej głupoty.

Prom o tej porze roku to w gruncie rzeczy pływający hotel robotniczy, tyle że z ambicjami i lepszą wentylacją. Współpasażerami byli głównie kierowcy tirów – nowa, sprywatyzowana klasa robotnicza, która zamiast kilofów dzierży kierownice Mercedesów i Scanii. W cenie zaokrętowania mają kajutę i michę, więc konsumują swój status społeczny we wspólnej stołówce. To już nie są umorusani robole w dziurawych podkoszulkach, ale dostojni rycerze szos. Każdy z nich dzierży smartfona, a na szyi dynda mu srebrny łańcuch. Ponieważ mój strój nie krzyczał „redaktor”, brali mnie za swojego. Brakowało mi tylko srebrnego żelastwa na klacie, żeby w pełni zintegrować się z elitą transportu międzynarodowego i wspólnie z nimi budować nową świecką tradycję pogardy dla wszystkiego, co nie ma 18 kół i klimatyzacji.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Debile teoretyczni i praktyczni

Przy okazji dokonałem odkrycia: moje IQ musi wynosić co najmniej 150 punktów. Nie, żebym kiedykolwiek zniżył się do rozwiązywania jakichś testów. One są dla ludzi, którzy potrzebują certyfikatu na to, że nie są kompletnymi idiotami. Ja opieram się na opinii fachowców, którzy twierdzą, że powyżej tej granicy zaczynają się poważne trudności w porozumiewaniu się z otoczeniem. I rzeczywiście – siedząc wśród tytanów transportu, czułem, jak między mną a resztą ludzkości wyrasta mur nie do przebicia. Trwałem w nabożnym milczeniu, z brwiami uniesionymi wysoko.

Wokół mnie wrzało. To nie była dyskusja, to była egzekucja wykonana na resztkach polskiego życia publicznego:

– Ty, patrz na tego Hołownię. Przecież to jest debil certyfikowany. On myśli, że jak popłacze do kamery, to mu się tacho wyzeruje? Państwo to nie jest „Mam talent”. Tu jak nie dociśniesz, to cię konkurencja z Litwy zje razem z oponami. On jest idiotą, bo wierzy, że konstytucja ma jakąś wagę. Waga to jest na przejściu w Świecku, a nie w tej jego książeczce.

– A Kaczyński? Panie, to jest debil nad debile. Od 30 lat rządzi krajem, a nie potrafi tyłem z naczepą wjechać pod rampę, bo nawet prawa jazdy nie ma. Jak ktoś nie wie, co to jest martwe pole w lusterku, to jak on ma widzieć, co się w narodzie dzieje?

On myśli, że Polska to jest jego Żoliborz, gdzie mu policja drogę do kuwety kota toruje.

– Słuchajcie, a ten Mentzen?! Niby mądry, piwo warzy, podatki liczy, a to jest debil teoretyczny. On myśli, że jak zlikwiduje urzędy, to drogi się same odśnieżą. To jest idiota, bo on uważa, że wolność jest wtedy, kiedy nie ma przepisów. Niech wyjedzie na autostradę bez przepisów, to go pierwszy lepszy Rumun zepchnie do rowu w imię wolnego rynku.

– Ty, patrz na nich wszystkich. Przecież ten cały sejm to jest jeden wielki zakład pracy chronionej dla ludzi, którzy w normalnym życiu nie potrafiliby nawet taczek prosto poprowadzić. Biorą diety za to, że się nawzajem wyzywają, a jak przychodzi co do czego, to jedyne, co potrafią ukraść, to czas antenowy i pieniądze na te ich kilometrówki. Złodzieje? Panie, złodziej to musi mieć fach w ręku, a to są zwykłe pasożyty. Oni po prostu wysysają nas jak kleszcze. Potem plotą te swoje androny o dobru narodu, od których się rzygać chce.

Słuchałem tego ze zdziwieniem. Choć ich oceny były chybione, mówili szczerze. Widzą świat według prostej zasady: idiotą jest każdy, kto ma inne poglądy niż oni. Świat według nich jest po prostu głupi.

Bóg jako alibi dla ignorantów

Skąd bierze się ten triumf infantylizmu? Dziś liczą się szybkość reakcji, agresja i zdolność darcia mordy głośniej od sąsiada. W efekcie to, co nazywamy opinią publiczną, jest w rzeczywistości tylko starannie uformowanym klocem zbiorowej bezmyślności. Głupota jest bardzo fotogeniczna. Mądrość wymaga czasu i namysłu, na które nikt już nie ma ochoty.

Ale tu pojawia się problem: co to właściwie jest ta mądrość? Wpisanie tego słowa w Google daje wyniki żałosne. Termin ten występuje głównie w opracowaniach słownikowych, rzadko niczym cnota w domu publicznym. Każdy o niej słyszał, ale nikt jej dawno nie widział w użyciu. Jeśli szukasz mądrego człowieka, wyszukiwarka podsunie ci reżysera krótkometrażówek, który dostał Oscara za to, że przez dziesięć minut filmował schnącą farbę.

Najczęściej jednak słowo to anektuje Kościół pod szyldem mądrości bożej. To ich ulubiony eufemizm na brak argumentów. Gdy zawodowy katolik nie potrafi wyjaśnić, dlaczego świat przypomina kiepsko wyreżyserowaną farsę, zwala wszystko na niezbadane wyroki mądrości bożej. Genialne! Im coś bardziej nielogiczne i durne, tym bardziej „bożomądrościowe”.

W świecie świeckim mędrcy wyginęli jak inteligenci – ich miejsce zajęli eksperci od wszystkiego, czyli specjaliści od niczego, za to z bardzo białymi zębami.

Lista obecności wymierającego gatunku

Rzec by można, że świat dziś prowadzony jest przez głupców. Ale czy kiedykolwiek było inaczej? Władza i mądrość nie chodzą pod rękę – nie pamiętam, czy tak to ujął Einstein, ale sens trafny jak cep. Mędrcy? Zawsze chowają się w przypisach podręczników historii.

Spróbuję być zatem antymainstreamowy. W ramach promocji ginącej sztuki myślenia sporządziłem więc krótką listę ludzi, którzy próbują wmówić ludzkości, że rozum nie jest jeszcze całkowicie zbędny. Przedstawiciele wymierającego gatunku próbujący zrozumieć świat zamiast jedynie go komentować? Bardzo proszę:

1. Daniel Kahneman – izraelski noblista, który zrujnował ekonomistom wygodną bajkę o człowieku racjonalnym. Udowodnił, że homo sapiens nie jest chłodnym komputerem do podejmowania decyzji, lecz chodzącym magazynem błędów poznawczych, złudzeń i irracjonalnych odruchów. W swojej książce „Pułapki myślenia” spokojnie wyjaśniał ludzkości rzecz bardzo nieprzyjemną: nasz własny mózg regularnie robi nas w konia.

2. Amartya Sen – hinduski laureat ekonomicznego Nobla, niemal niewidoczny w kulturze masowej. Sen pokazywał, że głód bardzo często nie wynika z braku jedzenia, lecz z braku dostępu do niego. Człowiek może umrzeć z głodu w kraju pełnym żywności, jeśli nie stać go na zakup chleba albo państwo ma go za statystyczny odpad. Był to potężny cios wymierzony w uproszczone myślenie ekonomiczne. Sen twierdził również, że rozwój państwa powinno mierzyć się nie tylko PKB, ale tym, czy ludzie mają możliwość godnego życia, edukacji, uczestnictwa w społeczeństwie i zwykłej ludzkiej wolności („Rozwój i wolność”).

3. Timothy Snyder i Anne Applebaum – dyżurne straszaki rodzimej prawicy. Uparcie przypominają, że historia nie jest magazynem rekwizytów do narodowych mitów, gdzie nasi zawsze byli święci, a obcy zawsze kanaliami. Historia jest raczej składem ostrzeżeń i niewybuchów. Kto traktuje ją jak bajkę patriotyczną, ten zazwyczaj budzi się bardzo zdziwiony, gdy przeszłość wraca pod postacią kolejnej katastrofy.

3. Václav Havel – choć od dawna nie żyje, pozostaje dowodem na to, że przyzwoitość w polityce bywa możliwa pod warunkiem, że polityka nie zdąży jej wcześniej pożreć i wydalić. Jego eseje („Siła bezsilnych”) starzeją się wolniej niż kolejne konstytucje Europy Środkowej, co sugeruje, że prawda bywa trwalsza od papieru, na którym drukuje się urzędowe kłamstwa.

4. Yuval Noah Harari – momentami efekciarski, ale posiadający rzadką zdolność patrzenia na ludzkość z perspektywy tysiącleci. W epoce, gdy horyzont intelektualny wielu ludzi kończy się na długości posta w mediach społecznościowych, Harari przypomina, że człowiek jest jedynie chwilowym produktem ewolucji, który właśnie zaczął majstrować przy własnym kodzie biologicznym („Sapiens. Od zwierząt do bogów”).

5. Elinor Ostrom – pierwsza kobieta nagrodzona ekonomicznym Noblem. Całe życie badała coś, co współczesny świat uważa niemal za niemożliwe: czy ludzie potrafią rozsądnie współpracować bez permanentnego nadzoru państwa albo wielkich korporacji. Ku rozpaczy ideologów odkryła, że czasami potrafią. Ostrom pokazywała, że lokalne wspólnoty często rozsądniej zarządzają wspólnymi zasobami niż urzędnicy czy wielki biznes. Była to herezja wobec dogmatu, według którego człowiek bez bata nad głową natychmiast zamienia się w barbarzyńcę („Dysponowanie wspólnymi zasobami”).

6. Mary Beard – specjalistka od przypominania, że nasze „bezprecedensowe czasy” są często tylko starą ludzką głupotą w nowym opakowaniu technologicznym. Beard wyciąga trupy z antycznych szaf i pokazuje, że starożytni byli równie genialni i równie absurdalni jak my, tylko mieli gorszą kanalizację i mniej aplikacji mobilnych („SPQR. Historia starożytnego Rzymu”).

7. Michael Sandel – człowiek psujący humor wszystkim wyznawcom religii sukcesu. Rozbiera na części mit mówiący, że bogaci i zwycięzcy zawdzięczają wszystko wyłącznie własnemu geniuszowi. Sandel przypomina rzecz wyjątkowo niepopularną: ogromna część sukcesu wynika ze szczęścia, miejsca urodzenia, systemu społecznego i zwykłego przypadku. Innymi słowy: wielu ludzi sukcesu myli talent z fartem („Tyrania postępu”).

Oto mędrcy naszych czasów. Czytanie ich boli, bo zmusza do przyznania się, że świat nie jest prostą bajką, lecz skomplikowanym mechanizmem, który i tak nieuchronnie zmierza ku awarii.

Mądrość na odchodne

Ta cała nasza zabawa w istnienie ma zresztą jeden zasadniczy ontologiczny bubel, którego nie naprawi żaden Bóg ani żaden noblista: ludzie rodzą się kompletnymi głupcami, a kiedy wreszcie po dekadach błądzenia po omacku i obijania się o ściany zaczynają ocierać się o mądrość, to akurat przychodzi czas, by złożyć kości do grobu.

To tragikomiczna złośliwość natury. Mądrość jest nam dawana jako bagaż podręczny dokładnie w momencie, gdy nasz lot zostaje odwołany na zawsze. Ziemia to jedyna szkoła, w której dyplom wręczają ci prosto do trumny, żebyś miał co czytać, gdy będą cię żreć robaki.

ROBERT JARUGA

*) Polferries, czyli Polska Żegluga Bałtycka (PŻB), od marca 2026 r. funkcjonuje w strukturze POLSCA S.A. – państwowej spółki mającej integrować trzech polskich armatorów promowych: Polferries, Unity Line oraz Euroafrica.

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Mężczyzna nazwiskiem Mulawa jest posłem. Posłem na sejm.

Mężczyzna nazwiskiem Mulawa jest członkiem. Członkiem Ruchu Narodowego.

Ruch Narodowy jest częścią Konfederacji Wolność i Niepodległość znanej szerzej jako Konfederacja.

Konfederacja złożyła w sejmie projekt ustawy. Projekt ten zakłada zakaz m.in.: 1) adopcji dzieci parom homoseksualnym; 2) przysposobienia przez drugą osobę w takiej parze biologicznego dziecka partnera lub partnerki.

Mężczyzna nazwiskiem Mulawa został zaproszony do studia telewizyjnego i zapytany przez panią redaktor Agnieszkę Gozdyrę o to, jakie służby państwowe będą sprawdzać, kto pozostaje w pożyciu z osobą tej samej płci, gdyby sejm jakimś cudem przyjął ustawę projektowaną przez Konfederację.

Mężczyzna nazwiskiem Mulawa odpowiedział: „Odpowiednie, pani redaktor”.

Ciągnięty za język przez dziennikarkę mężczyzna nazwiskiem Mulawa dodał: „Każde przestępstwo w Polsce jest weryfikowane czy to przez policję, czy przez ABW, CBŚP, czy jakiekolwiek inne…

ABW to akronim oznaczający Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

CBŚP to akronim oznaczający Centralne Biuro Śledcze Policji.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ABW i CBŚP to służby powołane do strzeżenia porządku i bezpieczeństwa państwa i obywateli, a nie do spełniania obłąkanych marzeń takich głąbów jak Mulawa, takich porąbanych partii jak Ruch Narodowy i takich stukniętych związków politycznych jak Konfederacja.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

eprasa.pl dedb5134a1

Komu władza, komu renta

Dzielenie skóry na parlamencie

Warszawa znów patrzy na Budapeszt. Premier Doland Tusk przyjął na odprawie właśnie powołany sztab wyborczy jego Koalicji Obywatelskiej. Szef sztabu eurodeputowany Krzysztof Brejza uroczyście zapewnił, że jego drużyna złożona jest ze specjalistów od zwycięstw. Poza tym to ludzie przepełnieni fachowością, determinacją i odwagą, ale przede wszystkim głęboką pokorą. „Ciężka praca, słuchanie obywateli i wyciąganie wniosków. To gwarantujemy" – obiecał premierowi. Były oklaski.

W skład sztabu wchodzą też: znający system mediów eurodeputowany Bartosz Arłukowicz oraz poseł i rzecznik prasowy rządu Adam Szłapka, który będzie pełnił funkcję koordynatora kampanii w regionach. Problemami kultury i organizacji pozarządowych zajmie się marszałek senatu Małgorzata Kidawa-Błońska, a o kwestie kobiet, polityki społecznej i zdrowia zatroszczy się posłanka ministerka Barbara Nowacka. Za sprawy samorządu i edukacji odpowiedzialny jest poseł minister Jacek Karnowski, a prezydenta miasta Łodzi Hanna Zdanowska ogarniać ma obszary rewitalizacji, samorządu i ekologii.

Taki zespół fachowców to atut. Jednak każdy z nich pełni na co dzień inne ważne kierownicze funkcje – to już obciążenie. Nie ma pewności, czy wszyscy potrafią zgodnie pracować w zespole, czy pogodzą liczne dotychczasowe obowiązki z robotą wyborczą. Chyba że oddelegują zastępców. Też zdolnych i mniej funkcjami obciążonych.

To ważne, bo premier Tusk zapowiedział, że podczas najbliższych wyborów parlamentarnych on i jego drużyna pójdą węgierską drogą. Zwycięskiego tam Pétera Magyara, który w czasie niedawnej kampanii wyborczej objechał kraj cały. Nawet miejsca, gdzie psy dupami szczekały. Wszędzie mówił przede wszystkim o lokalnych problemach najbardziej lokalsów interesujących. Mówił, jakby stamtąd pochodził, bo tak dobrze mu sztab tematy znajdował i fachowo spotkania organizował.

W przeciwieństwie do węgierskiego Magyara polski Tusk walczyć będzie o utrzymanie władzy. To oznacza, że będzie miał więcej środków na kampanię wyborczą, ale też więcej obciążeń czteroletnimi rządami.

Duży bierze więcej

Obowiązująca w Polsce ordynacja wyborcza do sejmu przy przyznawaniu zdobytych mandatów poselskich preferuje partie, które osiągają wysoki procent poparcia. Mają popularnych liderów, którzy w swych okręgach zdobywają liczne głosy wyznawców ich partii, a często też swych osobistych fanów. Dlatego każda dobrze skonstruowana lista wyborcza powinna mieć na pierwszej pozycji takiego lidera. Zwanego jedynką lub lokomotywą wyborczą. W dalszej kolejności powinny być tam kandydatury liderów partyjnych mniejszej wagi, liderów środowisk lokalnych, zawodowych, hobbystycznych. Ostatnie miejsce na liście zwyczajowo przeznaczone jest dla osoby drugorzędnej politycznie, ale mającej liczne grono wiernych fanów.

Układacze list muszą pamiętać, że w pierwszej trójce kandydatów musi być przynajmniej jedna kobieta. Zdarzają się już listy, na których liczba kandydujących kobiet równa jest męskiej reprezentacji.

Muszą oni też pamiętać, że głosy oddawane na listę przyciągają wpisani tam znani kiedyś sportowcy, nawet ci nienajmądrzejsi, czasem dziennikarze, zwłaszcza sportowi i ci najgłupsi. Czasem też piosenkarze i aktorki serialowe. Zwłaszcza te o wyjątkowo małym rozumku. Muszą pamiętać, że sportowcy zwykle nie głosują na sportowców. Geje na gejów. Są okręgi wyborcze, gdzie kobiety solidarnie głosują na kobiety, a są też takie, gdzie kobiety preferują męskich kandydatów.

To ważne, bo w Polsce jednocześnie głosuje się na listę wyborczą, czyli partię lub koalicję partii, i na konkretnego kandydata. Zwykle około 30 proc. wyborców głosuje automatycznie na pierwszego na liście, a reszta kieruje się indywidualnymi preferencjami. To sprawia, że kandydat umieszczony na czwartym miejscu czasem osiąga drugi wynik na liście, przeskakując wyżej wpisanych kandydatów. Zdarzało się, że popularny kandydat umieszczony na ostatnim miejscu miał lepszy wynik niż jedynka na tej samej liście.

Mamy w Polsce 41 okręgów wyborczych. Wybiera się w nich, w zależności od liczby mieszkańców przypisanej do okręgu, od siedmiu do 20 posłów. O tym trzeba pamiętać, bo jeśli kandydat nie ma zagwarantowanej jedynki na swojej liście, to łatwiej zdobyć mandat poselski, tam gdzie jest jak najwięcej mandatów do wzięcia. Licząc na mandat drugi, trzeci...W Warszawie lista PO zdobywała ich i osiem, dzięki wielkiej popularności Donalda Tuska. Niewiele gorsze wyniki miał tam prezes Kaczyński.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Taki system też sprawia, że do sejmu mogą wejść kandydaci uważani za kontrowersyjnych. Nienawidzeni przez jednych, ale kochani przez drugich. Pod warunkiem, że wystartują w okręgu wielomandatowym na liście z popularnym liderem.

Kwestia koalicji

Inaczej jest w wyborach do senatu. Tu są jednomandatowe okręgi wyborcze. Wygrywa zwykle kandydat, który budzi najmniejsze obrzydzenie potencjalnych wyborców.

Obecna większość koalicji Tuska w senacie to efekt paktu senackiego zawartego przez jego koalicjantów. Dzięki porozumieniu centrolewicowemu znaleźli się tam tak różni kandydaci jak Magda Biejat i Michał Kamiński. Dlatego najbardziej znany piewca jednomandatowych okręgów wyborczych pan poseł Paweł Kukiz nie startuje do senatu, bo by przegrał. Tylko podpina się pod silniejszych partnerów i wchodzi z nimi do sejmu.

Gdyby wybory parlamentarne odbyły się dzisiaj, to według sondaży wygrałaby je lista KO. Ale potem, nawet odnawiając koalicję z Nową Lewicą, KO nie utrzymałaby rządów. Bo dzisiejsi koalicjanci z PSL i rozpadłej Polski 2050 nie przekraczają w sondażach pięcioprocentowego progu wyborczego.

Na powrót do władzy nie ma też sondażowych szans prezes Kaczyński. Chyba że wjedzie w koalicję z wszystkimi Konfederacjami. Droga ku temu roi się od politycznych min. Najszybciej prezes zaakceptowałby narodową Konfę Krzysztofa Bosaka. Choć ten postawiłby twarde warunki, bo on był już – wtedy w Lidze Polskich Rodzin – koalicjantem Kaczyńskiego. Wie, że prezes to kanibal polityczny. Trudniej prezesowi byłoby stanąć razem z bitcoinowym liberałem Sławomirem Mentzenem. To inny świat polityczny. Ale w 2005 r. dla zastopowania PO prezes miział się nawet z Andrzejem Lepperem. Do uzyskania większości w sejmie potrzeba prezesowi też przyszłych sejmowych szabel zdobytych przez koroniarzy Grzegorza Brauna. Ale koalicji z Braunem nigdy Bóg, czyli Waszyngton, nie pobłogosławi.

Dwa pakty

Dlatego na prawicy wykluwa się plan, jak mieć poparcie Brauna, nie zawierając z nim oficjalnej koalicji. Służyć temu ma prawicowy pakt senacki – odpowiedź na istniejący już centrolewicowy, dzięki któremu koalicja Tuska ma w obecnym senacie większość. Ten prawicowy pakt skupiłby wszystkie prawicowe partie, związki zawodowe i organizacje społeczne. Wśród nich także Koronę Grzegorza Brauna. Tak opakowani braunowcy nie budziliby większych irytacji starszych w wierze i politycznie braci z Waszyngtonu.

Plotki parlamentarne głoszą, że sztabowcy Kaczyńskiego proponują prezydentowi Nawrockiemu patronat polityczny nad takim paktem. Na zasadzie twój senat, nasz sejm. Bo prezes Kaczyński jeszcze raz chce patronować sejmowym listom wyborczym Zjednoczonej Prawicy, czyli decydować o ich kształcie.

W optymistycznym wariancie prezesa prawica wygrywa w senacie. W sejmie jego listy zyskają drugi wynik. Wtedy wraz z Bosakiem i Mentzenem, przy pomocy prezydenta Nawrockiego, stworzą rząd bez formalnego udziału braunowskiej Korony.

Rząd zapewne mniejszościowy, ale popierany w sejmie przez formalnie opozycyjny klub Korony Polskiej. Rychło potem premier takiego rządu – nie Czarnek, tylko ktoś nowy – podpisze pakt stabilizacyjny z klubem parlamentarnym Korony. Jego liderzy dostaną udziały w korzystaniu z uroków posiadania władzy bez ponoszenia odpowiedzialności za bieżące rządzenie. Stary prezes wie, że nic tak polityków nie skleja jak wspólne spożywanie owoców władzy. Liczy, że przyszły klub parlamentarny Korony Polskiej, stworzony na zasadzie pospolitego ruszenia różnorodnych elektronów krążących wokół Brauna, rychło się podzieli na twarde, mniejsze opozycyjne jądro i resztę gotową do popierania rządu. Dla dobra Polski, rzecz jasna.

Podobny pakt senacki powstanie też po koalicyjnej stronie. Tworząc go, premier Tusk pozna zdolności koalicyjne swego ugrupowania. Bój między obu paktami może być wyrównany. O władzy w senacie zadecyduje kilka senatorskich krzeseł. Do wyborów sejmowych KO pójdzie z listami wzbogaconymi o aktyw byłej Polski 2050. Wtedy ma szanse zdobyć nawet ponad 200 mandatów.

Z kim tym razem sparuje się PSL, dziś pozostaje zagadką. Szoł „Rolnik szuka żony" czeka na szczęśliwy finał.

Nowa Lewica też będzie zapraszać chętnych na swe listy. Nawet swych niedawnych krytyków. Dla niej każdy dodatkowy mandat to większy zakres władzy. Pierwszy test przejdzie partia Razem przy tworzeniu centrolewicowego paktu senackiego. Jeśli zbojkotuje go i zagra va banque na przekroczenie progu wyborczego w sejmie, jej los zawiśnie na procentowych ułamkach poparcia. Jeśli znajdzie się pod progiem, ale przekroczy 3 proc., to dostanie budżetową subwencję na egzystencję partii i grona liderów. Rentę od swego politycznego kapitału. Dobra renta to też pointa.

PIOTR GADZINOWSKI

Jak skończy Cenckiewicz

Przed publikacją aneksu do raportu WSI

Wspomnijmy, żeby nam nie umknęło w czasie: po kilku miesiącach przepychanek między Ministerstwem Obrony Narodowej i koordynatorem ds. spraw służb specjalnych Tomaszem Siemoniakiem a Kancelarią Prezydenta RP Karol Nawrocki 14 kwietnia podpisał w końcu 96 nominacji oficerskich na pierwszy stopień w ABW oraz nadał odznaczenia i medale w specsłużbach wojskowych.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Przypadek? Mało jest przypadków w polityce, są za to znaki. 14 kwietnia prezydent mógł już wiedzieć, że dzień później Naczelny Sąd Administracyjny oddali skargę kasacyjną kancelarii premiera od wyroków Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego, który uchylił cofnięcie poświadczenia bezpieczeństwa, wtedy jeszcze szefowi BBN Sławomirowi Cenckiewiczowi.

Nawrocki przy tym naiwnie założył, że „demokratyczna większość" uzna wyrok NSA, więc przepychanka z nominacjami dla tajniaków jest już kontrproduktywna. I okazał w końcu dobrą wolę w tym ciągnącym się jak gluty z nosa sporze. I tu nastąpiło małe zdziwko. Okazało, że Cenckiewicz nie dostał jednak poświadczenia bezpieczeństwa. Bo jak powiedział Interii Prezes Naczelnej Rady Adwokackiej Przemysław Rosati, Cenckiewicz nie wygrał w tym procesie automatycznie dostępu do największych tajemnic państwa, wygrał tylko uchylenie decyzji w sprawie cofnięcia tego dostępu (sic!).

Jak rzekł temu samemu portalowi Jacek Dobrzyński, rzecznik prasowy koordynatora Tomasza Siemoniaka: – Ustawa wprost mówi, że osoba, wobec której toczy się takie postępowanie, nie ma dostępu do informacji niejawnych. W okresie od wydania wyroków NSA do dnia zakończenia kontrolnego postępowania sprawdzającego szef BBN nie posiada dostępu do informacji niejawnych i nie ma prawa posługiwać się wydanymi mu poświadczeniami bezpieczeństwa. Warto zauważyć, że w wyroku WSA jest jasno zapisane, że „ponownie rozpoznając sprawę, organ uwzględni ocenę prawną i wnioski przedstawione w uzasadnieniu".

Coś Państwo, kurwa, z tego zrozumieli?

Wobec niemożności ograna w tym względzie Uśmiechniętej Koalicji 23 kwietnia Cenckiewicz zrezygnował z szefowania Biuru Bezpieczeństwa Narodowego. A swoje żale i pretensje do reżimu Tuska wylał obfitym potokiem na X. Część komentariatu uznała to za wyraz ideowości, niezłomności i siły charakteru. Niech im będzie. Nie ulega jednak wątpliwości, że dojeżdżanie go przez służby i sądy w zakresie dostępu do tajemnic państwa nadwyrężyło mu nerwy. Przegrał bitwę, ale nie zrezygnował z wojny.

Prezydent zaraz potem zapowiedział odtajnienie aneksu do raportu o WSI, którego publikację skutecznie blokowali prezydenci Bronisław Komorowski i Lech Kaczyński. Łączmy więc dalej kropki i nie wierzmy w przypadki.

Następcy Cenckiewicza, niejakiemu Bartoszowi Grodeckiemu, nawet nie drgnie powieka. A brak kontrasygnaty premiera pożądanej przy jego publikacji może niewiele zmienić. Cenckiewicz na bank zna aneks, może nawet ma kopię, więc będzie do wyborów wybierał co ciekawsze jego fragmenty i puszczał chociażby w zawoalowanej formie w prawicowych mediach. Potem zastanie posłem większości parlamentarnej i gówno mu zrobicie.

JMP

eprasa.pl dedb5134a1

Permanentna inwigilacja

Manifest korporacji Palantir

Jeśli komuś faszyzm lub neofaszyzm kojarzy się z ogolonymi na pałę debilami w ciężkich butach, ponurymi typami o zakazanych i nieskażonych myślą gębach, to najwyższy czas zweryfikować negatywnie to przekonanie. Wydany niedawno manifest potężnej amerykańskiej korporacji Palantir dowodzi ponad wszelką wątpliwość, że faszyści czasów obecnych i przyszłości to na pozór szacowni panowie w skrojonych na miarę garniturach. Osoby niezwykle biegłe w monetyzowaniu reżimu coraz bardziej wszechobecnej inwigilacji, która ma na celu kontrolowanie ludzi w sposób historycznie bezprecedensowy.

Klasyczni niemieccy czy włoscy faszyści w czarnych lub brunatnych koszulach z pałkami w ręku przedzierzgnęli się w technofaszystów z Doliny Krzemowej z algorytmami sztucznej inteligencji na podorędziu.

Kult siły

Na oficjalnym profilu w serwisie X jedna z najważniejszych firm technologicznych na świecie, amerykański Palantir, napisała: „Często nas o to pytają", umieszczając liczący 22 punkty manifest stanowiący podsumowanie książki „Technological Republic" (Republika technologiczna) autorstwa prezesa i współzałożyciela firmy Alexa Karpa i dyrektora ds. korporacyjnych Nicholasa Zamiski.

Palantir podkreśla, iż Dolina Krzemowa ma moralny dług wobec Stanów Zjednoczonych, które umożliwiły jej rozwój: „Elita inżynierów z Doliny Krzemowej ma wyraźny obowiązek uczestniczyć w obronie narodu" (wszystkie cytaty za tłumaczeniem serwisu internetowego Meduza). A jak to uczynić, mówi punkt czwarty: „Ograniczenia miękkiej siły, samej tylko górnolotnej retoryki, zostały obnażone. Aby wolne i demokratyczne społeczeństwa mogły zwyciężyć, potrzeba czegoś więcej niż tylko moralnych apeli. Potrzebna jest twarda siła, a w tym stuleciu twarda siła będzie opierać się na oprogramowaniu". Owo umiłowanie twardej siły – mówiąc wprost: nagiej przemocy – jest charakterystyczne dla faszyzmu.

Amerykańska korporacja twierdzi: „Pytanie nie brzmi, czy powstanie broń oparta na sztucznej inteligencji; chodzi o to, kto ją stworzy i w jakim celu. Nasi przeciwnicy nie będą się zatrzymywać, by oddawać się teatralnym debatom na temat zalet rozwijania technologii o kluczowym znaczeniu dla wojska i bezpieczeństwa narodowego. Będą działać dalej". Oczywiście już dzisiaj Palantir jest korporacją, która zarabia krocie na uczynieniu sztucznej inteligencji bronią w ręku agend rządowych na całym świecie, zwłaszcza policji i różnorakich instytucji państwa bezpieczeństwa narodowego.

W manifeście czytamy: „Jeśli żołnierz piechoty morskiej USA prosi o lepszy karabin, powinniśmy go zbudować; to samo dotyczy oprogramowania". Bo koniec końców idzie o siłę w jej rozmaitych przejawach, zarówno tradycyjnych (broń palna, rakiety, drony itd.), jak i najnowocześniejszych – żeby kogoś zabić, trzeba użyć algorytmów, które najpierw ustalą, gdzie dana osoba w określonym czasie dokładnie się znajduje.

Szefowie Palantiru nie zapomnieli, że największym ich fanem wśród polityków jest nikt inny jak Donald J. Trump, co pokazuje punkt dziewiąty manifestu: „Powinniśmy okazywać znacznie więcej wyrozumiałości tym, którzy poświęcili się życiu publicznemu. Wyeliminowanie jakiejkolwiek przestrzeni na przebaczenie – odrzucenie wszelkiej tolerancji dla złożoności i sprzeczności ludzkiej psychiki – może sprawić, że u steru znajdą się osoby, których obecności z czasem będziemy żałować". Innymi słowy, kanalia jako prezydent, dopóki pilnuje właściwych interesów, nie powinna nikomu przeszkadzać, co tłumaczy faryzejsko rzekoma „tolerancja dla złożoności i sprzeczności ludzkiej psychiki".

Niewykluczone, że mając obecnego prezydenta USA na myśli, manifest sprzeciwia się również ujawnianiu „życia prywatnego osób publicznych", co jest domeną „nieefektywnych, pustych osób", których ataki są „płytkie i małostkowe".

Palantir podkreśla, że minęła era odstraszania atomowego, „a wkrótce rozpocznie się nowa era odstraszania oparta na sztucznej inteligencji". A kiedy ona nadejdzie, korporacja będzie silna, zwarta i gotowa.

Pochwała potęgi Ameryki

Manifest zawiera przekonanie, że żadne inne państwo w dziejach świata nie promowało bardziej wartości postępowych niż Stany Zjednoczone. Oczywiście USA to kraj daleki od ideału, „łatwo jednak zapomnieć, jak wiele więcej możliwości istnieje w tym kraju dla tych, którzy nie należą do dziedzicznych elit, niż w jakimkolwiek innym państwie na świecie". Nie żebym się czepiała, ale biorąc pod uwagę, iż coraz więcej superbogaczy dziedziczy w Ameryce swoje majątki, więc owe możliwości coraz częściej są w sferze dywagacji, a nie rzeczywistości.

Nie zabrakło też peanu na cześć USA: „Potęga Ameryki umożliwiła niezwykle długi okres pokoju. Zbyt wielu zapomniało lub może uważa za oczywiste, że na świecie panował prawie sto lat jakiegoś rodzaju pokój bez konfliktu zbrojnego między wielkimi mocarstwami. Co najmniej trzy pokolenia – miliardy ludzi, ich dzieci, a teraz wnuki – nigdy nie zaznały wojny światowej".

Szefowie Palantiru nie wahają się również przed stawianiem śmiałych tez geopolitycznych, żądając cofnięcia osłabienia powojennego Niemiec i Japonii. Między słowami można odczytać zachętę do tworzenia nowego koncertu mocarstw wymierzonego w próbujących rzucić wyzwanie Ameryce, zwłaszcza Chiny i w mniejszej mierze Rosję.

Geopolityka geopolityką, lecz korporacja technologiczna nie zapomina, z której strony chleb dla niej jest smarowany masłem: „Dolina Krzemowa musi odegrać rolę w walce z przestępczością z użyciem przemocy. Wielu polityków w Stanach Zjednoczonych w zasadzie wzrusza ramionami, gdy mowa o przestępczości z użyciem przemocy, rezygnując z jakichkolwiek poważnych wysiłków, by rozwiązać ten problem czy podjąć jakiekolwiek ryzyko wobec swoich wyborców lub darczyńców, proponując rozwiązania i eksperymenty w ramach desperackiej próby ratowania życia".

Tak się jakoś złożyło przez zupełny przypadek, że od lat Palantir oferuje bardzo złożone narzędzia informatyczne umożliwiające namierzanie ludzi, których służby pragną odnaleźć, czy to kryminalistów, czy to imigrantów. Algorytmom jest obojętne, czy mają pomóc w poszukiwaniach ogarniętego szałem zabijania seryjnego mordercy, czy nieszczęsnej ciężarnej kobiety z trójką małych dzieci wygnanej z Salwadoru przez biedę i przemoc. Skądinąd oprogramowanie Palantiru – używane też w polskim wojsku, z czego minister Kosiniak-Kamysz jest dumny – niekoniecznie służy „desperackim próbom ratowania życia"; w wielu wypadkach ma ułatwiać zabijanie ludzi.

Nie od dziś wiadomo, że Amerykę – mordując ludność rdzenną i sprowadzając niewolników z Afryki – stworzyły świrusy religijne, które uznały, że Bóg jej pobłogosławił. Manifest upomina zatem: „Trzeba przeciwstawiać się wszechobecnej nietolerancji wobec przekonań religijnych w niektórych kręgach. Nietolerancja elit wobec przekonań religijnych jest chyba jednym z najbardziej wymownych znaków, że ich projekt polityczny stanowi ruch intelektualny mniej otwarty, niż twierdzi wielu z nich".

Na koniec swych wynurzeń amerykańscy technoimperialiści podkreślają, że różne kultury i subkultury nie są – wbrew twierdzeniom postmodernistów – równe, gdyż jedne są wartościowe, inne bez znaczenia, a nawet i regresywne. Wisienką na torcie jest ostatni punkt, który brzmi: „Musimy oprzeć się płytkiej pokusie pustego i bezsensownego pluralizmu. My, w Ameryce i szerzej na Zachodzie, przez ostatnie półwiecze opieraliśmy się definiowaniu kultur narodowych w imię inkluzywności. Ale inkluzywności w czym?".

Oczywiście wielość opinii i światopoglądów to problem dla technologicznych korporacji. Człowiek z ich punktu widzenia jest agregatem swych zachowań, które można zliczyć, znaleźć relacje między nimi i koniec końców – co jawi się jako kluczowe – przewidywać.

Im więcej danych wchłonie stworzony na wzór biblijnego potwora Lewiatana Palantir i jemu podobne korporacje, tym łatwiej będzie mu prognozować, a nawet i ukierunkowywać zachowania przedmiotów jego oddziaływań.

W idealnej, dystopijnej rzeczywistości firmy z Doliny Krzemowej umożliwią stłumienie wszelkiego oporu wobec rządzących Ameryką, zarówno w samych Stanach Zjednoczonych, jak i na całym świecie.

Stara śpiewka

Generalnie zgadzam się z falą krytyki akademików zarzucających manifestowi, że promuje technofaszyzm czy amerykański imperializm. Niemniej jednak nie dziwi mnie on w ogóle. Co najwyżej to stare wino w nowych – a przynajmniej poddanych recyklingowi – butelkach.

Wybitny historyk David F. Noble w książce o społecznych dziejach technologii z 1984 r. zauważa, że związany z wojną rozwój elektroniki, serwomechanizmy i komputery zespoliły się po II wojnie światowej w nową i potężną technologię i teorię kontroli. Jego zdaniem większe znaczenie miało, że uczeni i inżynierowie wskazali nowy sposób myślenia, niż dostarczenie przez nich konkretnych urządzeń.

Zimna wojna ukształtowała technologię komputerową. Noble podkreśla, że siły kulturowe i polityczne kształtowały technologię, lecz logika maszynowa wpłynęła następnie na sferę kultury i polityki. Ma to daleko idące skutki. Patrząc historycznie, matką Doliny Krzemowej jest Dolina Mekongu – gęste ostępy leśne i maziste bagna Wietnamu, a także stary jak wojsko problem widzenia w nocy przyczyniły się do rozwijania technologii inwigilacji.

Jak stwierdził gen. Westmoreland w słynnym przemówieniu o „elektronicznym polu walki", uznawanym za parodię przemówienia o amerykańskim marzeniu (American dream) Martina Luthera Kinga, wroga trzeba namierzyć w konkretnej czasoprzestrzeni. Amerykański wojskowy był wizjonerem: trafnie prognozował, iż na przyszłym polu walki siły wroga będą lokalizowane, śledzone i namierzane niemal natychmiast za pośrednictwem łańcuchów danych, wspomaganej komputerowo oceny informacji wywiadu i zautomatyzowanej kontroli ognia. Dziś spełnia się to w całej rozciągłości w wojnie rosyjsko-ukraińskiej.

Jeżeli jeszcze podczas II wojny światowej informację traktowano jako broń, to od czasów wojny wietnamskiej jest ona bronią. Wbrew temu, co twierdzą biegli w technikach inwigilacji, lecz marni w społecznej historii technologii ideolodzy Palantiru, sztuczna inteligencja – a wcześniej mikroprocesory, technologie komputerowe i internet – nie są nowymi siłami, z którymi musi mierzyć się nieprzygotowane społeczeństwo, lecz ostatnim akordem procesu, który James R. Beniger jeszcze w latach 80. XX w. określił mianem rewolucji kontroli. Tzw. społeczeństwo informacyjne stworzyło tak naprawdę już półtora wieku temu przyspieszenie przetwarzania materiałów.

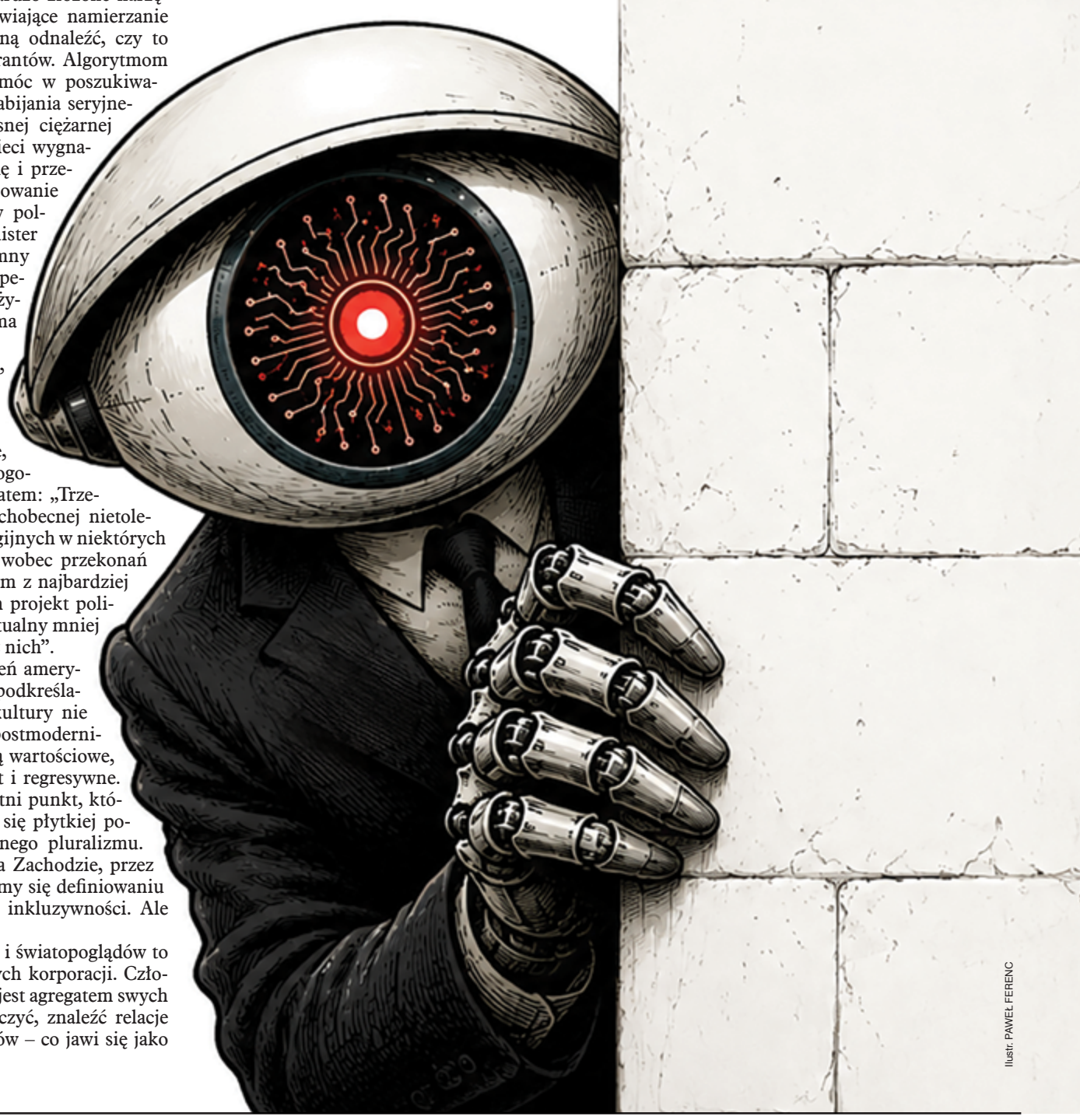
Rzecz jasna, manifest Palantiru swą bezwzględnością i stawianiem spraw w modnym od czasów Trumpa brutalnym realizmie pozbawionym osłonek ideologicznych typu prawa człowieka przypomina nieco manifest włoskich futurystów ogłoszony przez Filippa Tommasa Marinettiego w 1909 r. Tak jak ten drugi antycypował faszyzm wieku XX, tak ten pierwszy zwiastuje technofaszyzm naszego stulecia, który zmieni oblicze ziemi, tej ziemi.

Chciałabym jednak, nawiązując do JP2, zakończyć jego dwoma apelami: nie lękajcie się i ducha nie gaście. Cała ta technofaszystowska banda jest bardzo cwana, ale bynajmniej nie mądra. Zrobienie z miliardów ludzi niewolników reżimu totalnej inwigilacji i twardego nadzoru państwowo-korporacyjnego nie będzie takie łatwe, a zredukowanie ludzi do ciągów zer i jedynek, poprzez próbę uczynienia ich zachowania przewidywalnym, jest skazane na niepowodzenie. Nie bierze bowiem pod uwagę, że człowiek jest istotą posiadającą głębię duchową (nawet uczestnicy i widzowie freak fightów oraz Grzegorz Braun – uwierzcie mi na słowo).

Celem socjalizmu jako urzeczywistnienia królestwa wolności jest coś dokładnie odwrotnego od kreowania masy tępych robotów – danie ludziom absolutnej swobody, aby sami tworzyli swój świat, nie szkodząc innym istotom i przyrodzie.

Czas na technologiczny antyfaszyzm!

KATARZYNA KOENIG

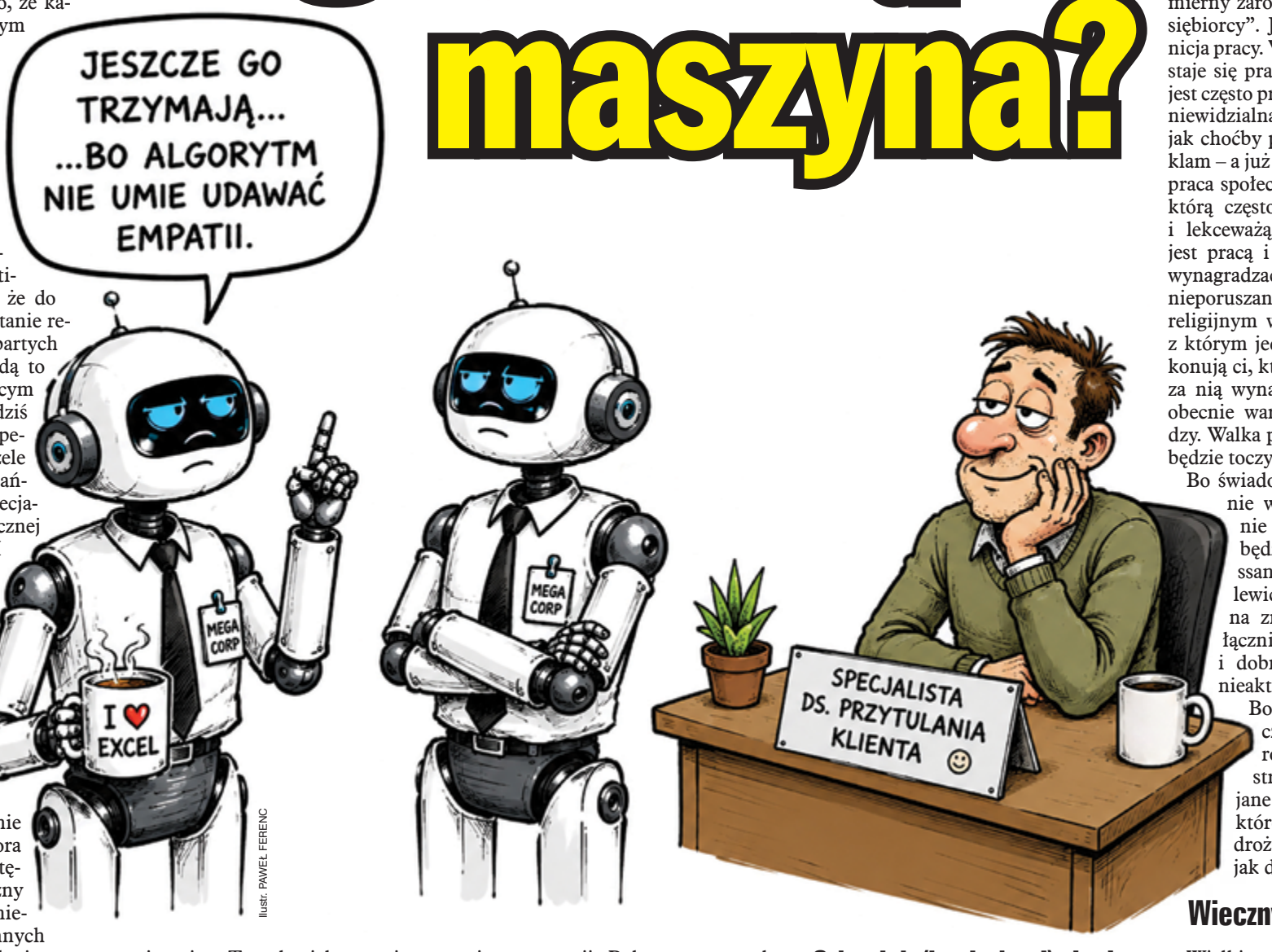


Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl dedb5134a1

Walka klasowa może stać się walką o to, za kogo będą pracować roboty

Kogo zastąpi maszyna?



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Apokaliptyczne zapowiedzi masowych zwolnień spowodowane szybkim wzrostem zastosowań sztucznej inteligencji stały się codziennością. I nie są to zapowiedzi bez pokrycia – np. z tego powodu na bruk wkrótce pójdzie 10 proc. pracowników zarządzającej Facebookiem korporacji Meta. Wszystko więc wskazuje na to, że kapitalizm w swym schyłkowym okresie, obok coraz bardziej dzikiego imperializmu, charakteryzować się będzie stopniową budową postludzkiej gospodarki. Chociaż bardzo dobrze wiemy, że zastąpieni nie mają przecież zostać prezesi czy akcjonariusze.

W jednym z najnowszych badań grupa naukowców z prestiżowego Massachusetts Institute of Technology dowodzi, że do 2029 r. algorytmy SI będą w stanie realizować 80–95 proc. zadań opartych na pracy z tekstem, choć będą to robiły jedynie na zadowalającym poziomie – tak na trójkę. Już dziś oligarchowie z dyrektorem OpenAI Samem Altmanem na czele (OpenAI to wiodąca amerykańska spółka i laboratorium specjalizujące się w dziedzinie sztucznej inteligencji) twierdzą, że SI jest w stanie wykonywać zadania dotąd wykonywane przez najmłodszych stażem badaczy, urzędników czy prawników. Prezes Verizon przewiduje zaś, że w kilka lat wygenerowane przez rozwój SI bezrobocie może sięgać 20–30 proc. Jest to sytuacja absolutnie bez precedensu, bo blady strach pada już nie tylko na pracowników sektora przemysłowego, którym postępujący rozwój technologiczny zagraża od dawna – choć od niedawna także pod postacią ciemnych fabryk: pozbawionych oświetlenia zakładów wytwórczych obsługiwanych wyłącznie przez maszyny. Dziś automatyzacja wkroczyła tam, gdzie praca miała być pewna, gdzie człowiek miał być niezastąpiony.

Elity kapitalizmu po raz pierwszy mają więc przed sobą realną szansę na stopniowe uwalnianie się od tzw. pracowników umysłowych, to znaczy organizatorów i zarządców zasobów ludzkich, a nawet nauczycieli i naukowców. Ci pracownicy zawsze byli politycznie ryzykowni i kosztowni w utrzymaniu, choć zazwyczaj udawało się ich skutecznie zwasalizować. Od teraz ich funkcje skutecznie mogą przejmować kontrolowane już prosto z tronu boty i rozwijające się algorytmy. W tej sytuacji trudno mówić o jakichkolwiek zawodach, w których praca byłaby pewna i gwarantowana. Zmienia się bowiem cała architektura systemowego zapotrzebowania na człowieka.

Komu jestem potrzebny?

Nietrudno dojść do wniosku, że zorganizowanie całej gospodarki i całego świata na zasadzie powiększania zysków bardzo wąskiej grupy ludzi było działaniem raczej ryzykownym i kiedyś się zemści. Na razie jednak światowa gospodarka to pochwała „dobroczynnej" chciwości, egoizmu rynkowego, brutalnego upłynniania zasobów i kapitałów ludzkich oraz innych działań, które bez systemowego lukru i skutecznej propagandy społecznej zachwalają i praktykują raczej dewianci i kanalie. Jako że charakter i ideologia systemu zawsze decydują o tym, jak wykorzystane zostaną wszelkie technologiczne zdobycze, taki właśnie system wdroży i wykorzysta sztuczną inteligencję. Zmiany, które przyniesie rozwój SI, będą stopniowe. Ale będą to zmiany pod dyktando zastanych elit. Jedno jest pewne: systematycznie wykruszać będzie się grupa pracowników rzeczywiście potrzebnych w globalnej kapitalistycznej machinie. Bo pragnieniem właścicieli jest jak najmniej płacić, jak najmniej zatrudniać i jak najwięcej zarabiać – i nie jest to żadna tajemnica. Tu człowiek pracujący wydaje się tylko opcjonalny. Nie to co człowiek-właściciel, fundament kapitalistycznego świata.

Część zawodów ulegnie modyfikacji, wiele jednak stanowisk zostanie zredukowanych, wielu pracowników zostanie uznanych za zbędnych. Ostatnią linią obrony naszej niezbędności – jak twierdzi wielu – jest nasze istnienie w świętej wręcz roli kapitalistycznych konsumentów.

Zastana logika podpowiada, że rzeczywiście tak właśnie jest – ktoś musi przecież kupować te wszystkie produkty, tę masę zalewających świat towarów. Bez kupujących wszystko się zawali, bo panujące elity muszą nam to wszystko sprzedawać, aby zarabiać. Problem w tym, że jest to fałszywa nadzieja.

Taka sytuacja nie jest ani konieczna, ani historycznie niezmienna.

Dla samego istnienia elit kapitalistycznych pracownicy w roli konsumentów nie są przecież wcale niezbędni. Tylko część kapitału uzależniona jest od istnienia konsumujących mas. W początkowej fazie istnienia kapitalizmu pracownik był głównie mięsem fabrycznym, a warunki jego życia były straszliwe. Opisuje je wielka literatura tamtego czasu, od „Ziemi obiecanej" Reymonta po „Granicę" Nałkowskiej. Nie było masowych konsumentów Lidlów i Biedronek, masowej turystyki ani motoryzacji. Były masowa nędza i głód. Jeśli więc łudzimy się, że po usunięciu naszego stanowiska pracy dalej będziemy potrzebni kapitalizmowi jako konsumenci, to czas przestać to robić. Nie jesteśmy w ich planie, choć bardzo byśmy chcieli. Tak jak nie ma nas w „Tańcu z gwiazdami".

Wynalazek, jakim jest kapitalizm konsumpcyjny z masowym konsumentem dysponującym środkami niezbędnymi do konsumowania, podtrzymującym kapitalistyczną produkcję, to efekt wielu przemian i rewolucji społecznych i technologicznych, w tym fordowskiego sposobu produkcji. W szerszej praktyce to wynalazek z drugiej połowy XX w. Wynalazek istniejący zresztą tylko na uprzywilejowanej części Ziemi po to, by kapitał miał tam szerokie poparcie dla swych działań. I dziś to, czy popierasz kapitalizm w Sudanie, nie ma dla systemu znaczenia – jak zazwyczaj na peryferiach i poza ścisłym centrum systemu.

I ten wynalazek może mieć jednak swoją datę ważności. Tak jak swą datę ważności miał kapitalizm wolnego rynku czy gospodarka bez globalnych korpomonopoli. Wchodzą tu w rachubę dwa główne czynniki. Po pierwsze: stopniowo kurczą się zasoby Ziemi, a więc kończy się sam surowiec niezbędny do podtrzymania masowej konsumpcji. Już dziś swój ślad węglowy redukować mają głównie tragarze butelek, a nie właściciele samolotów odrzutowych. Po drugie, kapitał właśnie dzięki SI nie będzie potrzebował już tak wielkich rzesz pracowników. I uniezależni się od konieczności utrzymywania tak dużej grupy uprzywilejowanych podwykonawców. W tym miejscu warto powtórzyć, że kapitalizm nigdy nie był projektem realizowanym z myślą o ludziach pracy. Pełnym człowiekiem i podmiotem jest w nim właśnie posiadacz. Nie pracownik, który istnieje tylko pod warunkiem udzielania pracy. Ten swoisty pakt niewolników i panów – jak można określić istnienie względnego kapitalistycznego dobrobytu na Globalnej Północy – to wykalkulowana wymiana, która władcom właśnie przestaje się opłacać.

Człowiek (kapitałowi) zbędny

Niezwykle trafną i aktualną kategorią jest tu kategoria tzw. ludzi zbędnych. W myśli wybitnego polskiego socjologa Stefana Czarnowskiego człowiekiem zbędnym był człowiek wyrzucony przez system na margines, człowiek, który głównie z desperacji stawał się podporą najbardziej zbrodniczych ruchów i autorytarnych ideologii. Zygmunt Bauman z kolei widział w ludziach-odpadach jednostki nadprogramowe i dla systemu po prostu niepotrzebne. Dążąca do minimalizacji kosztów uzyskiwania zysków oligarchia marzy o pozbyciu się ludzi i zastąpieniu ich maszynami. A ludzie zbędni dla kapitału stają się zbędni dla całej gospodarki i systemu. Dziś myśląc o takich ludziach, myślmy nie tylko o osobach bezrobotnych i wykluczonych, ale o uchodźcach i ofiarach ludobójstwa, a także – a może przede wszystkim – o skrzętnie skrywanych 8–10 mln osób, które wedle danych ONZ i Światowej Organizacji Zdrowia co roku umierają na Ziemi z głodu i pragnienia.

W związku z rozwojem SI w najbliższych latach liczba ludzi systemowi zbędnych będzie rosła. I nie jest pocieszającą myśl, że ten system ma już dla nich ostateczne rozwiązania.

Istnieją miękkie i twarde scenariusze. Zazwyczaj takie problemy kapitalizm próbuje rozwiązać ucieczką do przodu. Pracującym stopniowo obniża się płace, co skrywa magiczne zjawisko inflacji. Bezrobotnych albo pacyfikuje się zasiłkami i jakoś przechowuje do emerytury, albo tworzy się armie i zmierza do wojny – tu otwiera się szerokie pole do popisu, gdzież bowiem eksterminacja jest szybsza i łatwiejsza do ideologicznego opracowania, jak na wojnie? W dodatku w imię zwycięstwa czy też obrony łatwo można uzasadnić wszelkie ograniczenia, także konsumpcyjne. Oczywiście nie za wszystko odpowiada tu sam kapitał. Warunki gry określa też uzależnienie globalnej gospodarki od ropy i petrodolara, którego wiarygodność zależy od imperialnych sukcesów Stanów Zjednoczonych. Ostatnie miesiące trumpizmu dowodzą tylko, jak błyskawicznie mogą eskalować tego typu procesy, w których spadająca stopa zysku od kapitału i narastająca rywalizacja o surowce decydować mogą o przetrwaniu bądź zniszczeniu „całych cywilizacji".

Rodzi się też filozoficzne, ale zarazem i praktyczne pytanie: jaka praca pozostanie rzeczywiście dostępna? W realiach kapitalistycznych występują głównie te zawody, które są potrzebne kapitalizmowi i jego reprodukcji. Jesteśmy zatem przyzwyczajeni nazywać pracą tylko to, co przynosi wymierny zarobek, pieniądze od „przedsiębiorcy". Jest to bardzo wąska definicja pracy. W ten sposób niewidzialna staje się praca przyrody, niewidzialna jest często praca domowa i opiekuńcza, niewidzialna jest praca konsumpcyjna, jak choćby przymusowe oglądanie reklam – a już zupełnie niewidzialna jest praca społeczna czy samorealizacyjna, którą często określa się dziecinnym i lekceważącym mianem hobby. Co jest pracą i jaki rodzaj pracy należy wynagradzać? To temat praktycznie nieporuszany, temat tabu ukryty za religijnym wręcz dogmatem, zgodnie z którym jedyną potrzebną pracę wykonują ci, którzy są w stanie otrzymać za nią wynagrodzenie w istniejących obecnie warunkach własności i władzy. Walka polityczna i walka klasowa będzie toczyć się właśnie tutaj.

Bo świadomość tego, że kapitalizm nie wyczerpuje pracy społecznie użytecznej i potrzebnej, będzie jednak rosnąć. Przyssana obecnie do systemu lewica jako pierwsza powinna zrozumieć, że obrona wyłącznie pracy kapitalistycznej i dobrej płacy za nią jest już nieaktualna i niewystarczająca. Bo też właśnie tę pracę coraz częściej wykonywały będą roboty. A na horyzoncie straszą już nawet stale rozwijane maszyny humanoidalne, które wciąż jeszcze pozostają droższe od człowieka. Ale na jak długo?

Wieczny tron

Wielki paradoks polega na tym, że rozwoju sztucznej inteligencji nie musielibyśmy się wcale obawiać, gdyby system, w którym żyjemy, sprawiedliwie rozdzielał owoce jej rozwoju i zastosowań. System, w którym SI pomaga człowiekowi, odciąża go, zastępuje w najbardziej męczących zawodach – kto będzie tęsknił za pracą w magazynach Amazona albo w uciążliwym call center? – i pomaga na każdym kroku, może stać się urzeczywistnioną utopią. Taką, w której praca wpierw staje się coraz krótsza i mniej dokuczliwa oraz społecznie szkodliwa, następnie zaś staje się coraz bardziej wolnym i autorskim wyborem oraz działaniem – po marksowsku pisząc – będącym swobodnym rozwojem samej jednostki.

Maszyna nie jest więc sama z siebie zła, tak samo jak złe nie były fabryki, które dawno temu na cel brali słynni niszczyciele maszyn. Dopóki jednak maszyna pozostaje we władaniu kapitalistycznej oligarchii, dopóty pozostaje nam tylko liczyć na miękkie serce i dobrą wolę tych najbogatszych chodzących po Ziemi stworzeń. Istoty te, wchodząc w posiadanie narzędzi sztucznej inteligencji, w coraz mniejszym stopniu zależeć będą jednak od mas społecznych i mniej też cenić sobie będą swój demokratyczny mandat. Już teraz prezydent USA praktycznie jednoosobowo decyduje o wojnach na całym świecie i o planach likwidacji narodów. Z narzędziami SI, z kontrolą nad siecią, algorytmami, mediami społecznościowymi, zautomatyzowanym uzbrojeniem, gdzie żołnierz-człowiek to już powoli skansen władcy, wymykają się społecznej kontroli, a to rodzi realne ryzyko, że ich tymczasowy tron staje się wiecznym tronem, z którego wkrótce nie sposób już będzie ich usunąć. A czy systemowo będziemy uczyć krytycznego myślenia i samodzielności, czy raczej ślepej wiary w to, co podsuwa nam załadowany przez elity algorytm? Tego z perspektywy półperyferyjnej i pokornie posłusznej w duchu Polski nie musimy się nawet domyślać.

TYMOTEUSZ KOCHAN

eprasa.pl dedb5134a1

Na smyczy big techu

Cyfrowy folwark Europa

Wieczorem rozmawiam z maszyną. Brzmi to jak początek kiepskiego science fiction, ale prawda jest dużo mniej widowiskowa, a przez to bardziej niepokojąca. Siedzę przy stole, kot śpi na rachunku za prąd, czajnik rzęzi jak polska służba zdrowia po kolejnym „pakiecie naprawczym", a ja pytam sztuczną inteligencję o dane do tekstu. Czasem pomaga. Czasem halucynuje. Czasem odpowiada mądrzej niż połowa panelistów telewizji śniadaniowych. A czasem gada takim korporacyjnym bełkotem, że człowiek zaczyna tęsknić za zwykłym, uczciwym idiotą.

I właśnie wtedy przypomniałam sobie, że Unia Europejska postanowiła „uprościć" przepisy dotyczące sztucznej inteligencji. Uprościć. W neoliberalnym słowniku to słowo działa jak „restrukturyzacja" albo „uelastycznienie rynku pracy". Najpierw słyszysz o nowoczesności i efektywności, a potem okazuje się, że ludzi wywalono, zasady etyczne pominięto, a właściciele kapitału wypłacili sobie astronomiczne premie za odwagę w cięciu kosztów.

Tak właśnie wygląda dziś historia AI Act – pierwszej na świecie dużej próby uregulowania sztucznej inteligencji. Jeszcze chwilę temu Europa przedstawiała się jako cywilizacyjna opiekunka rozsądku. Miała być dorosłym na imprezie chłopców z Doliny Krzemowej. Miała powiedzieć Google'owi, Mecie i Apple'owi: „Dobrze dzieci, już wystarczy tego eksperymentowania na społeczeństwach". Ale kiedy przyszło do konkretów, okazało się, że biznes potrzebuje „więcej czasu na dostosowanie". Wielki kapitał jest wiecznie spóźniony z odpowiedzialnością, ale punktualny przy odbieraniu zysków.

Piaskownica dla korporacji

AI Act opierał się na prostym pomyśle: im większy wpływ systemów AI na ludzkie życie, tym większa kontrola. Jeśli algorytm robi ci mema z papieżem jako DJ-em grającym techno – trudno. Ale jeśli AI w służbie korporacji decyduje o przyjęciu do pracy, przyznaniu kredytu, ocenie ucznia albo pomaga służbom typować „podejrzanych", to może jednak warto sprawdzić, czy nie działa jak rasistowski ochroniarz po kursie Excela. Bo przecież ktoś wcześniej wpisał mu te uprzedzenia do elektronicznej mózgownicy.

Dlatego systemy wysokiego ryzyka miały podlegać rygorom: kontroli jakości danych, monitorowaniu uprzedzeń, obowiązkowi dokumentacji, ludzkiemu nadzorowi, ocenom zgodności i monitoringowi po wdrożeniu. Minimum ostrożności wobec technologii, która może komuś złamać życie szybciej niż parabank i komornik razem wzięci.

Tymczasem co zrobiła UE? Uzgodniła tzw. Digital Omnibus on AI. Nazwa brzmi jak specjalny autobus na zaduszkowy cmentarz, ale skutki są poważniejsze. Część najważniejszych obowiązków dla systemów wysokiego ryzyka odroczono – z 2026 na koniec 2027 r. Ponad rok dodatkowego luzu dla korporacji. Dodatkowy czas na testowanie technologii na społeczeństwie i zmiękczanie eurodygnitarzy.

A wszystko oczywiście pod hasłem „musimy sprostać konkurencyjności Europy". Uwielbiam to słowo. „Konkurencyjność" oznacza dziś mniej więcej tyle: prawa człowieka są ważne, ale nie aż tak ważne jak dochody akcjonariuszy.

Najbardziej groteskowe są jednak słynne „piaskownice regulacyjne". Komisja Europejska opowiada o nich jak o triumfie innowacji – specjalnych środowiskach, w których firmy będą mogły testować AI w warunkach zbliżonych do rzeczywistych. Piaskownice dla korporacji.

Człowiek niemal widzi Muska, Altmana i Zuckerberga lepiących z foremek nowe algorytmy nadzoru społecznego. Postęp pełną gębą.

Listek figowy z aplikacją do rozbierania

Oczywiście politycy UE musieli sprzedać obywatelom jakiś moralny sukces. Dlatego Omnibus głośno chwali się zakazem tzw. *nudifier apps* – aplikacji tworzących nagie wizerunki ludzi bez ich zgody. I dobrze, że będą zakazane. Takie technologie są wykorzystywane głównie wobec kobiet i nastolatków. Problem istnieje naprawdę.

Ale sposób, w jaki liberalne centrum macha tym zakazem przed kamerami, przypomina dewelopera przecinającego wstęgę przy „ekoosiedlu", które powstało po wycięciu ostatnich drzew w dzielnicy.

„Patrzcie, bronimy godności!" – mówią politycy, którzy równocześnie rozwadniają przepisy dotyczące AI w pracy, edukacji czy administracji.

Bo prawdziwy problem nie polega dziś tylko na tym, że jakiś piwniczny socjopata wygeneruje komuś fałszywy akt. Prawdziwy problem polega na tym, że AI coraz częściej decyduje, kto dostanie pracę, kredyt albo policyjny nadzór. Amazon kilka lat temu musiał wycofać system rekrutacyjny dyskryminujący kobiety. Algorytmy rozpoznawania twarzy regularnie gorzej identyfikują osoby o ciemniejszym kolorze skóry. Osoby trans od dawna alarmują, że automatyczne systemy „rozpoznawania płci" mają z ludzką różnorodnością taki problem, jak poseł Sawicki z tęczą na przejściu dla pieszych.

I właśnie wobec takich systemowych zagrożeń Europa postanawia być „elastyczna".

Lobbyści piszą prawo

Tu na scenę wchodzi dziwnie kojarzący się skrótowiec: CCIA.

CCIA Europe to organizacja reprezentująca gigantów takich jak Google, Apple czy Meta. Ludzi, którzy mówią o „łączeniu świata", a zarabiają głównie na handlu naszym życiem. CCIA od miesięcy naciska na złagodzenie AI Act. W ich dokumentach aż kipi od fraz typu „obciążenia regulacyjne", „konieczność uproszczeń" czy „zagrożenie dla konkurencyjności". Ten sam stary szantaż ekonomiczny: albo pozwolicie nam robić, co chcemy, albo gospodarka zakotwiczy, innowacja wyparuje, a Europa cofnie się do epoki świecy łojowej.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Lobbyści domagali się wręcz stop-the-clock, czyli zatrzymania wdrażania AI Act do czasu przygotowania wszystkich standardów technicznych. Brzmi rozsądnie. W praktyce oznacza: dajcie nam kilka dodatkowych lat działania bez realnej kontroli.

A Bruksela coraz częściej odpowiada: dobrze, kochanie.

Najzabawniejsze jest to, że Unia jeszcze niedawno przedstawiała się jako „regulacyjna potęga". RODO, DSA (Digital Services Act – Akt o usługach cyfrowych) i DMA (Digital Markets Act – Akt o rynkach cyfrowych) miały pokazywać, że Europa potrafi stawiać granice big techowi. Ale gdy pojawiła się sztuczna inteligencja, zamiast narzucić jej własne reguły, eurokraci odegrali znajomą melodię: „musimy uważać, bo przegramy wyścig z USA i Chinami".

A więc znowu. Prawa człowieka są świetne, dopóki nie przeszkadzają akcjonariuszom z Kalifornii.

Cyfrowy folwark

Trudno nie zauważyć, że Europa zachowuje się dziś jak przestraszone dziecko. Infrastrukturę cyfrową kontrolują amerykańskie firmy. Chmury – amerykańskie. Największe modele AI – amerykańskie. Platformy komunikacyjne – amerykańskie. Dane Europejczyków płyną szerokim strumieniem do kilku prywatnych imperiów większych niż większość państw. To miękka kolonizacja cyfrowa.

A przecież technologia sama w sobie mogłaby służyć ludziom. AI mogłaby skracać czas pracy zamiast zwiększać wycisk. Mogłaby wspierać lekarzy, nauczycieli i osoby z niepełnosprawnościami. Mogłaby być częścią usług publicznych pod demokratycznym nadzorem, a nie prywatnym folwarkiem kilku miliarderów.

Ale w kapitalizmie każda technologia trafia najpierw w ręce tych, którzy nie pytają: „czy to dobre dla społeczeństwa?", tylko: „czy da się to monetyzować?".

Dlatego demokracja bez kontroli nad infrastrukturą cyfrową staje się dekoracją, ładnym interfejsem użytkownika. Bo jeśli decyzje o komunikacji, nadzorze, informacji i algorytmach zapadają w siedzibach korporacji i brukselskich gabinetach pełnych lobbystów, obywatel przestaje być podmiotem polityki. Staje się materiałem i narzędziem.

Pewnie tak jak ty znowu odpalę AI, sięgając do jej zasobów. Nadal będę uważała, że to technologia fascynująca. Ale im bardziej fascynująca się staje, tym bardziej potrzebuje demokratycznej kontroli. Inaczej obudzimy się w cyfrowym feudalizmie, w którym jedyną wolnością obywatela będzie wybór między regulaminem Apple'a a regulaminem Google'a.

ANNA GRODZKA

Twórczy syf

Prawdziwe kochanie i sztuczna zawiść

Nie sposób nie odnieść się do tego, co już się nie odstanie – do wypowiedzi Olgi Tokarczuk w Poznaniu, że korzysta ze sztucznej inteligencji, a nawet zwraca się do niej per „kochana". Wtrącę więc swoje trzy grosze, choć to, czym sam się zajmuję, to raczej paraliteratura, pisarstwo podrzędnego gatunku.

Przez ostatnie 20 lat ja i wielu moich kolegów po fachu żyliśmy w przekonaniu, iż sam fakt składania poprawnych zdań w edytorze tekstu oraz posiadania legitymacji prasowej nadaje człowiekowi status półboga. Człowiekowi wydawało się, że skoro potrafi opisać skandal w ministerstwie albo dramat egzystencjalny emeryta spod Radomia, to uczestniczy w czymś metafizycznym. I nagle pojawiła się maszyna, która również potrafi składać zdania.

W gruncie rzeczy to niewiele zmienia z naszego punktu widzenia, ale zmieniło z punktu widzenia Czytelników. Ogromna większość ludzi nie ma pojęcia, jak wygląda warsztat pisarski. Wyobraża sobie pisarza jako romantycznego samotnika nawiedzanego przez Boga. To nie tak.

Prawdziwa literatura od zawsze była montażem cudzych wpływów, konsultacji, researchu, rozmów, lektur, podsłuchanych zdań, encyklopedii, redaktorów, kochanków, alkoholu, bibliotekarek i przypadkowych ludzi spotkanych w pociągu. Co bardziej naiwni zapewne uważali, że literat to istota całkowicie autonomiczna, oryginalna i wewnętrznie „autorska".

Nie, w gruncie rzeczy wykonujemy żmudną, często mało satysfakcjonującą pracę. Efekt, który widzi Czytelnik, jest rezultatem kolejnych wersji, dziesiątek poprawek, nieustannych modyfikacji oraz sięgania do książek, które w gabinetach ludzi piszących wręcz zastępują ściany. Literatura i publicystyka to nie mistyczne natchnienie, lecz mozolne składanie fragmentów rzeczywistości w całość. Godziny sprawdzania dat, nazwisk, cytatów, realiów epoki, rodzaju guzików przy płaszczu i tego, jakie piosenki leciały w remizie na Dolnym Śląsku w 1955 r.

No i teraz grafomani z Facebooka, którzy od lat piszą maile, listy miłosne i pisma urzędowe metodą kopiuj–wklej, są święcie oburzeni, że Olga Tokarczuk pyta model językowy o muzykę z remizy. To ci sami studenci, którzy przez całe studia produkowali prace semestralne według techniki „Wikipedia plus parafraza". Nagle odkryli świętość procesu twórczego. Jeszcze wczoraj plagiatowali, co popadnie, a dziś przemawiają tonem obrońców cywilizacji łacińskiej stojących pod murami Konstantynopola. A być może naprawdę przeraziło ich nie to, że Tokarczuk korzysta ze sztucznej inteligencji, lecz to, że nazwała ją „kochana"?! No bo kochać to można samochód – nieraz bardziej niż własną żonę. Ongiś przedmiotem miłości mogła być szabla, lokomotywa albo motocykl WSK stojący pod blokiem na cegłach. Można być miłośnikiem radzieckich zegarków, wędkarstwa muchowego albo starego Mercedesa z dieslem, który odpala tylko przy pełni księżyca. Ale sztuczną inteligencję? Tego już wielu ludzi psychicznie nie wytrzymuje.

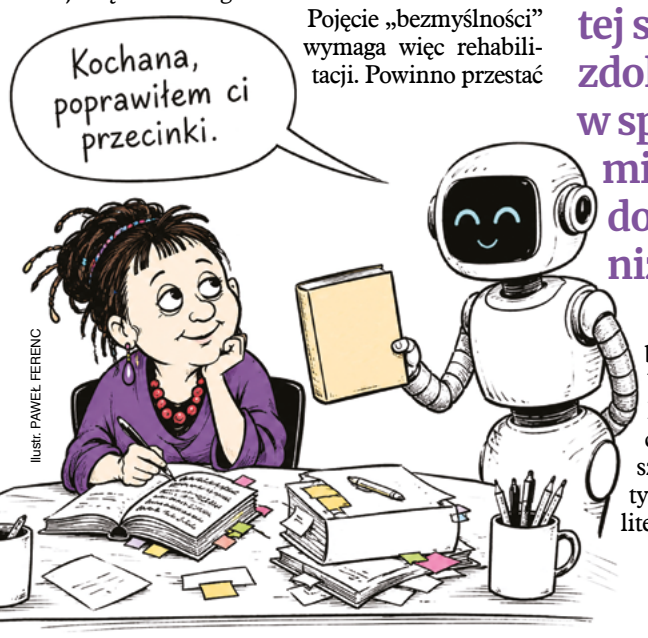
Sztuczną inteligencję można wyłącznie nienawidzić, na co całkowicie sobie zasłużyła, podobnie jak godni pogardy są wszyscy ci, którzy ją użytkują. Najgorsza jest Tokarczuk, bo ona po prostu zdradziła Literaturę – przeczytałem u niejakiego Wojciecha Szota w „Gazecie Wyborczej".

Sprawa jest śmiertelnie poważna, zwłaszcza dla tych, którzy dotychczas wierzyli, że ich mózg to świątynia ducha. Przez wieki wmawialiśmy sobie, że nasze myślenie to iskra boża, a tymczasem okazało się, że to tylko proces chemiczny, który krzemowa puszka potrafi skopiować. Nasza „wyjątkowość" była niestety produktem marketingowym, który sprzedawali nam filozofowie i biskupi. Psychologia i socjologia już dawno obnażyły prawdę: jesteśmy biologicznymi automatami, które mielą w kółko te same trzy historyjki, pięć stereotypów i zestaw memów, które ktoś nam wgrał do głów. Nasze „uczucia" to przewidywalne reakcje stadne, którymi specjaliści od sprzedaży sterują sprawniej niż semafory ruchem na skrzyżowaniu.

Trzeba o tym pisać, bo właśnie tracimy ostatni atut w naszej gatunkowej licytacji o wyjątkowość. Przez wieki „myślenie" było naszą koroną, a teraz okazało się, że to tylko proces, który da się oddelegować.

Musimy zrewidować hierarchię wartości. Sosna w lesie czy mrówka w kopcu nie piszą traktatów, a jednak ich trwanie jest dla nich absolutem, śmiertelnie poważnym i autonomicznym. My, uwięzieni w kulcie intelektu, zapomnieliśmy o czystym bycie, który nie potrzebuje uzasadnienia w postaci logicznych wywodów.

Kartezjusz nas oszukał. „Myślę, więc jestem" to błąd logiczny, który zrównał egzystencję z mieleniem danych. Można przecież być, nie myśląc – i to jest nasza prawdziwa odrębność. Maszyna, gdy przestaje przetwarzać, staje się martwym przedmiotem. Człowiek bezmyślny wciąż trwa, oddycha, czuje ciężar własnego ciała i świata.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Pojęcie „bezmyślności" wymaga więc rehabilitacji. Powinno przestać być obelgą, a stać się postulatem. Musimy nauczyć się ciszy w głowie, by sprawdzić, co zostaje, gdy wyłączymy ten jazgot rzekomo własnych myśli. Bo przecież większość tego, co nazywamy własnym poglądem, to cudze narracje, społeczne wirusy i memy, które w nas pasożytują bez naszej woli. Być może dopiero nie myśląc, stajemy się naprawdę sobą, a nie tylko odbiornikami cudzych sygnałów.

Cała ta hucpa wywołała u wielu radosne przekonanie, że skoro maszyna potrafi składać zdania, to Nobel Olgi stracił na wartości, bo każdy tak może. Otóż nie może. Tu kryje się tajemnica, której rzesze zazdrośników nie pojmują: sztuczna sieć neuronowa jest jak lustro – oddaje dokładnie to, co się w niej przejrzy. Aby za pomocą cyfrowych splotów skojarzeń stworzyć arcydzieło, potrzeba człowieka, którego umysł sam w sobie jest arcydziełem. Maszyna bez unikalnej biologicznej gęstości doświadczenia, bez tego neurotycznego splotu lęków, pamięci i zachwytów, który nazywamy osobowością, pozostaje jedynie generatorem statystycznego prawdopodobieństwa. Produkuje literacką watę.

Czy AI napisałaby dziś „Księgi Jakubowe"? Nie, bo maszynie brakuje jeszcze tej specyficznej ludzkiej zdolności do błądzenia w sposób genialny. Ale nie miejmy złudzeń – krzem dogoni białko szybciej, niż zdążymy to opłakać.

Rola człowieka sprowadzi się wtedy aż do bycia jedynym dysponentem tego całego biologicznego chaosu, lęków i brudu, bez których każde arcydzieło pozostaje tylko ciągiem zer i jedynek. Maszyna może i myśli szybciej, ale to my mamy monopol na autentyczny twórczy syf, z którego powstaje wielka literatura.

ROBERT JARUGA

eprasa.pl dedb5134a1

Ekonomiczna teoria stolca

Gównowacenie

Choć myśliciele jak markiz de Sade i reżyserzy jak Luis Buñuel usiłowali nadać ekskrementom wymiar emancypacyjny, erotyczny, awangardowy, to jednak od zawsze kupa była kupą. W najnowszej historii zyskała zupełnie nowe życie – za sprawą pewnego kanadyjskiego pisarza.

Cory Doctorow mianem gównowacenia (ang. *enshittification*) określił systematyczny spadek jakości produktów oraz usług wywołany pogonią producentów za zyskiem. „Gówno" ma w tym wypadku charakter wybitnie systemowy i jego źródłem jest chciwość właścicieli i akcjonariuszy. Z zasady w systemie kapitalistycznym świadczenie dobrej i taniej usługi po prostu nie jest opłacalne. Znacznie lepiej jest osiągnąć monopol, wykupić lub wybić konkurencję, a następnie zacząć świadczyć gówniane usługi, od których nie ma już ucieczki i które stają się narkotykiem.

Gównozjady

Taka jest choćby historia YouTube'a, wyszukiwarki Google i wielu internetowych serwisów, które jeszcze niedawno zaczynały jako proste i skuteczne usługi. Obecnie są to molochy zmuszające nas do oglądania reklam i zasypujące zbędnymi, sponsorowanymi informacjami. Większość serwisów uruchomiła też subskrypcje i usługi premium, które często sprowadzają się do pobierania opłat za coś, co jeszcze niedawno było bezpłatne.

Dalsze przykłady spotykamy na każdym kroku. Netflix i platformy streamingowe, które przez lata robiły furorę jako tania i pozbawiona reklam alternatywa dla klasycznej telewizji, dziś kosztują więcej od niej i straszą takimi samymi reklamami. Aplikacje randkowe projektowane są z myślą o zarabianiu na użytkownikach i celowo ograniczają im opcje partnerów, by pozostając singlami, pozostali także klientami. Gównowacenie dotknęło nawet portale akademickie, gdzie samorządne pisanie naukowe zamieniono w gówniany system zdobywania gównopunktów, na którym zarabiają wydawcy i sprywatyzowane czasopisma.

Gównowacą się więc absolutnie wszystkie usługi znajdujące się w prywatnych rękach, ponieważ gównowacenie jest istotą kapitalizmu. Z perspektywy systemu tylko niemyślący jak kapitalista idiota zrezygnowałby z wprowadzenia kolejnej usługi premium, kolejnej reklamy i prób przyspawania użytkownika na jak najdłużej do swego produktu. Karta lojalnościowa, platynowe członkostwo, zbieranie punktów za ogórki, inne ceny dla subskrybujących, aplikacje od spożywczaka, aplikacje od kina, aplikacje od odkurzacza i zabawki dla psa… Wszystko po to, by każde najmniejsze gówno wydrenowało nas do dna z czasu, uwagi i pieniędzy.

Szamboliberałowie

Choć przywykliśmy do myślenia o Polsce jak o zaścianku, to jednak w przypadku gówna mamy czym się pochwalić. Można wręcz dumnie zaryzykować tezę, że triumfalny pochód gównowacenia zaczął się właśnie w Polsce, gdzie miało ono znacznie szerszy wymiar i znaczenie.

Na polskim podwórku wielkim gównowaceniem była transformacja ustrojowa, którą zarządzał Leszek B. wraz ze swymi pomagierami. To podczas niej zainaugurowano w Polsce masową, ślepą prywatyzację i praktykę celowego niszczenia państwa poprzez systematyczne okrawanie jego funkcji opiekuńczych. Z jednej strony na gruzach prywatyzowanego państwa tworzono nowe elity. Z drugiej, szokowa transformacja była początkiem wielkiej tresury społeczeństwa. Masy tresowano okrutnie, by zaakceptowały zwijanie państwa opiekuńczego. I tak liberalne gównowacenie usług publicznych stało się uświęconą metodą niszczenia oczekiwań wobec państwa, a nawet sposobem nastawiania mas przeciwko niemu.

W ten sposób stworzono działającą aż do dziś pętlę zgównowacenia. Wpierw dokonuje się prywatyzacji, a potem systematycznie okraja budżetowanie. W efekcie mnożą się gówniane i celowo niewydolne usługi publiczne. Każdy kolejny gówniany szpital, gówniana szkoła czy likwidowane połączenie autobusowe rodzi społeczną frustrację. Proces ten przebiega stopniowo.

Równolegle do każdej gównianej szkoły pojawia się szkoła prywatna premium, równolegle do poradni z wieloletnimi kolejkami do specjalisty pojawiają się ekskluzywne prywatne poradnie z wizytą lekarską w ciągu tygodnia za jedyne 500 zł. Obywatel jest tresowany.

Po pierwsze, przekonuje się go, że wszystko, co państwowe, z góry musi być gówniane. Po drugie od razu pokazuje mu się alternatywę – prywatną usługę, która ma być odtrutką i remedium na państwowe gówno zaaranżowane przez sterujących gównem liberałów.

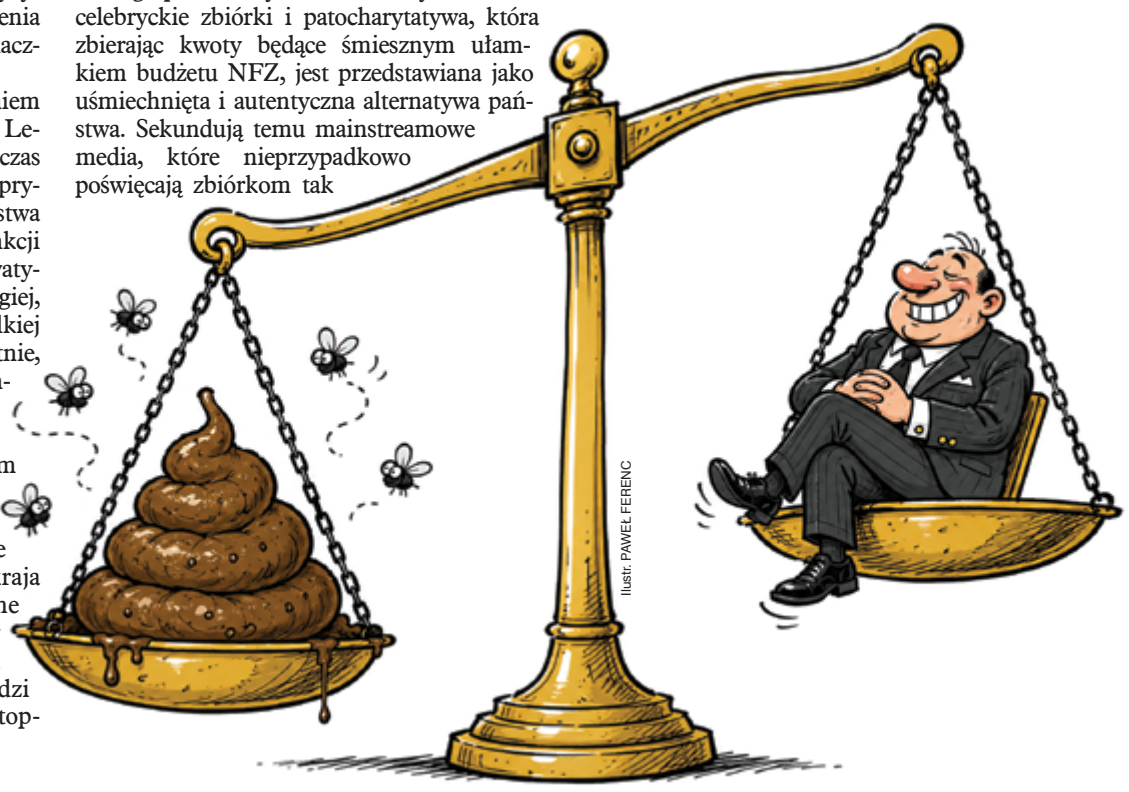
Ruch wolnych kup

Stąd jest też liberalna odpowiedź na kryzys niszczonego przez samych liberałów systemu zdrowia: celebryckie zbiórki i patocharytatywa, która zbierając kwoty będące śmiesznym ułamkiem budżetu NFZ, jest przedstawiana jako uśmiechnięta i autentyczna alternatywa państwa. Sekundują temu mainstreamowe media, które nieprzypadkowo poświęcają zbiórkom tak wiele uwagi. Te same, które prawie nigdy nie wyciągają na światło dzienne problemu rajów podatkowych, fundacji rodzinnych czy antypaństwowych praktyk najbogatszych. Tu system, który każe wierzyć, że prywata i dobrowolna zrzutka uratują potrzebujących, chore dzieci i naprawią świat, nakłada bielutkie rękawiczki. Ale wszystko to stoi na śmierdzącym fundamencie zgównowacenia państwa, które liberał zamienił w jego własną karykaturę.

Majstersztyk liberalnego gównowacenia usług publicznych polega więc na tym, że na końcu adwokatami i wyznawcami prywatyzacji stają się sami nieposiadający. Ci, dla których przejście na usługi premium będzie oznaczało brak leczenia i śmierć, brak przyzwoitej edukacji i brak możliwości wyjazdu z gminy. Wystarczyło rozłożyć gównowacenie w czasie i dodać do tego na deser pustą obietnicę szybkiego awansu mas w poczet co najmniej wyższej klasy średniej. I to działa.

A przynajmniej działało. Gówno bowiem czasami wymyka się swoim twórcom spod kontroli. W oparach gówna i przy stale rosnących wydatkach słabnie wiara w społeczny awans – a zatem coraz trudniej przekonać wszystkich do pozbycia się nawet tych gównianych resztek tego, co mają…

TYMOTEUSZ KOCHAN



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Życie w dobrobycie

● Po raz nie wiadomo który rolnicy znów dostali więcej czasu na pozbycie się śmiercionośnych dachów z azbestu. Pierwotny termin składania dokumentów miał upłynąć 31 marca. Ale jak wiadomo, w Polsce terminy są po to, żeby je przesuwać. Dlatego nową datą graniczną został 1 czerwca. Ukłon jest o tyle sympatyczny, że wykonywany jest już mniej więcej od 30 lat, a azbest wciąż ma się całkiem dobrze. Według resortowych danych usunięto już 16,4 mln mkw. dachów i zutylizowano 246 tys. ton materiałów zawierających włókna azbestowe. Ale chwilę temu podano, że na dachach zalegało ponad 8 mln ton materiałów zawierających azbest. Inne źródła mówiły nawet o ponad 14,5 mln ton. Przy takim punkcie wyjścia usunięcie 246 tys. ton wygląda trochę jak próba osuszenia Bałtyku wiaderkiem. Gdyby utrzymać obecne tempo, specjaliści szacują, że pełna likwidacja problemu nie nastąpi ani w 2032 r., ani w 2042 r., ale może dopiero gdzieś około połowy obecnego stulecia. Bo w Polsce nawet śmiertelnie niebezpieczny materiał potrafi przegrać z pogodą, brakiem ekip i formularzem elektronicznym. Wnioski o wsparcie trzeba bowiem składać przez państwową platformę elektroniczną, czyli machinę administracyjną, która wszak nieustannie wspiera rolnictwo. Tym razem wsparcie pochodzi z pieniędzy KPO, ale tylko do 1 czerwca 2026 r., bo później pieniędzy już nie będzie. Co brzmi trochę tak, jakby przez ostatnie ćwierć wieku było ich aż nadto. Azbest przeżył już kilka ekip rządzących, kilka reform administracyjnych, wejście do Unii, pandemię, cyfryzację urzędów i zmianę pokoleniową na wsi. Wygląda więc na to, że dachy z eternitu mają w Polsce większą stabilność niż większość programów gospodarczych i jeśli obecne tempo usuwania go się utrzyma, to zanim zniknie ostatnia płyta eternitowa, umrą ostatni ludzie pamiętający, kto ten azbest na dachach kładł.

● Żeby na transformacji energetycznej zarabiali nie tylko zagraniczni dostawcy technologii, ale także polskie firmy, ukuto ostatnio hasło *local content*. Brzmi pięknie, a potem człowiek otwiera komunikat prasowy i czyta, że w Dzięgielewie pod Płockiem powstanie największy bateryjny magazyn energii w Polsce – 300 MW mocy, 1200 MWh pojemności. Infrastruktura zdolna przez około cztery godziny oddawać do sieci tyle energii, ile w tym samym czasie potrafiłoby dostarczyć kilkaset tysięcy dachowych instalacji fotowoltaicznych w słoneczne popołudnie. Potem jednak człowiek dowiaduje się, że ten cały wielki symbol polskiej transformacji nie powstaje za pieniądze PGE, Tauronu, Enei czy Energi, tylko za kapitał Axpo oraz R.Power. Bo widać państwowe koncerny najwyraźniej zajęte są czymś ważniejszym. Nowy magazyn energii w Dzięgielewie ma być nie tylko największym pojedynczym projektem tego typu w Polsce, ale również „jednym z największych w Europie". Umowa ma obowiązywać do końca 2038 r. i zakłada, że model współpracy opiera się na „podziale zysków" oraz „gwarancji minimalnych przychodów", jak też „maksymalizacji wartości aktywów partnerów". Kilka miesięcy temu ci sami partnerzy podpisali umowę dotyczącą magazynu w Jedwabnie. Tam parametry są już znacznie skromniejsze, bo mówimy o 150 MW mocy i 300 MWh pojemności. Gdyby przeliczyć to na energię możliwą do oddania do sieci, to mówimy już o ilości prądu wystarczającej na krótkoterminowe zasilenie setek tysięcy gospodarstw domowych. Ale nie chodzi tu o ludzi, a o handel energią. Bo R.Power działa od 2010 r., a jej portfel magazynów energii w Polsce urósł już do 1,7 GW mocy oraz 6,3 GWh pojemności. W 2025 r. R.Power wygrał kolejne aukcje rynku mocy. Najbardziej urocze jest jednak to, że cały ten projekt przedstawiany jest jako wielki sukces polskiego rynku. A że zyski z nowej infrastruktury nie będą przecież spływać do polskiego budżetu...

● Jeszcze kilka lat temu Europa miała się elektryzować. Miasta miały zapełnić się ładowarkami, a przemysł związany z elektromobilnością miał stać się nowym złotem XXI w. Wyszło jak zwykle, bo oto Szczecin właśnie dowiedział się, że po blisko 30 latach działalności z Polski wynosi się firma Garo, czyli producent urządzeń do ładowania samochodów elektrycznych. Szwedzka firma działała w Polsce od 1996 r. Przez niemal trzy dekady rozwijała produkcję, jeszcze niedawno przedsiębiorstwo uchodziło za przykład tego, jak Polska może korzystać na zielonej transformacji, a lokalne władze chwaliły się inwestorem z branży przyszłości. Bo przecież samochody elektryczne miały wyprzeć spalinowe, stacje ładowania miały rosnąć jak grzyby po deszczu, a firmy produkujące wallboxy i ładowarki miały zarabiać krocie. Tymczasem działalność Garo w Polsce będzie wygaszana do końca 2026 r. Firma oficjalnie ogłosiła zakończenie produkcji, a prezes polskiego oddziału przyznał, że decyzję podjęto „z ciężkim sercem". W korporacyjnym komunikacie dodano jeszcze, że proces ma przebiegać w sposób „odpowiedzialny" i pozwolić „wywiązać się ze wszystkich zobowiązań". W 2023 r. firma zatrudniała około 160 osób. Po uruchomieniu nowej fabryki planowano zwiększenie zatrudnienia nawet do ponad 300 pracowników. Miały być nowe miejsca pracy, rozwój technologiczny i zielona przyszłość regionu. Dziś zamiast nowych etatów mamy wygaszanie działalności, choć Unia nieustannie opowiada o konieczności przyśpieszenia transformacji energetycznej, a Szczecin dostał lekcję tego, jak wygląda zderzenie politycznych marzeń z ekonomiczną rzeczywistością.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

● Chwilę temu przeciwnicy energetyki wiatrowej z prawicowych mediów, lokalnych komitetów protestacyjnych i politycznych wieców przekonywali Polaków, że jak tylko na horyzoncie pojawi się wiatrak, to spadnie wartość ziemi, a mieszkańcy okolicznych domów będą już tylko słuchać nieustannego buczenia łopat. Straszenie było emocjonalne i chwytliwe – „wiatraki zaśmiecają krajobraz", „wiatraki zagłuszają otoczenie", „wiatraki zabijają wartość gruntów". Raport przygotowany przez Cenatorium oraz InPlus Energetyka rozebrał tę narrację na czynniki pierwsze, na bazie realnego rynku nieruchomości. Przeanalizowano blisko 46 tys. transakcji sprzedaży gruntów. Badaniem objęto 26 gmin z różnych części Polski, materiał był wystarczająco szeroki, aby nie można było mówić o przypadku czy lokalnej anomalii. Porównano ceny gruntów z okresu pięciu lat przed uruchomieniem farm wiatrowych oraz pięciu lat po ich uruchomieniu. Wyniki okazały się dla przeciwników wiatraków nader niewygodne. W przypadku gruntów rolnych ceny działek położonych w sąsiedztwie farm wiatrowych rosły średnio o 7 proc. rocznie. Na terenach, gdzie wiatraków nie było, wzrost wynosił 6,7 proc. rocznie. 0,3 punktu procentowego na korzyść terenów z energetyką wiatrową. Jeszcze ciekawiej zrobiło się przy działkach budowlanych przeznaczonych pod zabudowę jednorodzinną. Tam średni wzrost cen w pobliżu farm wiatrowych wyniósł 8,1 proc. rocznie, podczas gdy na terenach bez takich inwestycji było to 8 proc. Różnica niby kosmetyczna, ale politycznie zabójcza, bo pokazuje, że przez lata opowiadano ludziom historie o spadkach wartości nieruchomości, których życie nie potwierdziło. Przez lata budowano mit, który zderzył się z twardymi danymi i tego zderzenia nie wytrzymał.

● 14 czerwca polski konsument znów obudzi się w lepszym świecie. Wynika tak z pomysłu Brukseli, która w ramach tzw. dyrektywy śniadaniowej postanowiła zadbać o zdrowie obywateli w kilku kategoriach jedzenia. Najbardziej w przypadku miodu, bo oto kończy się era „miodowych oszustw". Polskie Ministerstwo Rolnictwa poinformowało, że celem zmian jest ułatwienie konsumentom podejmowania świadomych i zdrowszych decyzji". Część produktów, które do tej pory stały na sklepowych półkach z napisem „miód", może nagle przestać być miodem. Nie dlatego, że przestały pochodzić od pszczół, ale dlatego, że zostały poddane filtracji. Bruksela uznała bowiem, że produkt, z którego usunięto pyłek kwiatowy oraz część enzymów, tylko udaje pełnowartościowy produkt. Jeśli natomiast ten sam pyłek i te same enzymy rozwali się przez podgrzanie miodu do temperatur, przy których większość rynku robi dziś rozlew do słoików, to wszystko jest w porządku, zdrowie kwitnie, pszczoły biją brawo, a etykieta świeci dumą. Obok walki z filtrowaniem Unia postanowiła przy okazji rozebrać etykiety z tajemniczości. Mają się na niej znaleźć kraje pochodzenia oraz procentowy udział miodu z każdego. Czyli klient będzie mógł z zachwytem studiować, że w jego słoiku znajduje się 37 proc. surowca z Ukrainy, 24 proc. z Rumunii, 18 proc. z Hiszpanii, 11 proc. z Węgier i 10 proc. z państwa, którego nazwy i tak nie umie wymówić. Ale Bruksela nie zatrzymała się na miodzie. Dyrektywa obejmuje też dżemy, galaretki owocowe, marmolady, soki owocowe oraz mleko konserwowane. W dżemach ma wzrosnąć minimalna zawartość owoców, w sokach rozszerzono możliwości technologicznego obniżania zawartości cukru, a niektóre rodzaje mleka będzie można produkować z obniżoną zawartością laktozy. Najbardziej rozczulające jest to, że Unia przedstawia to przeregulowanie i mniejszą zawartość mleka w mleku jako akt troski.

TTJ

eprasa.pl dedb5134a1

Czy naprawdę jak coś nie ma własnego monumentu, to nigdy tego nie było?

Nieustające zapomnicznie

Jeśli ktoś sądził, że z nastaniem nowej koalicji w narodzie zdechł niezdrowy pęd do zaśmiecania przestrzeni publicznej potworkami zwanymi pomnikami, to się myli. Tylko w ciągu kilku miesięcy od Warszawy przez Kraków aż po Smołdzino, Nowy Dwór i Rycerkę Górną odsłaniano kolejne monumenty. Każdy z nich miał być „gestem pamięci", „wyrazem wdzięczności", „lekcją historii".

Rower przyzwoitości

Zacznijmy od stolicy. Na Woli, przy skwerze nazwanym imieniem Władysława Bartoszewskiego, młody Bartoszewski jedzie rowerem. 19-letni chłopak z „Żegoty", jeszcze zanim zdążył zostać ministrem, ambasadorem, moralnym autorytetem i cytatem na każdą okazję, że warto być przyzwoitym. Efekt jest taki, że Bartoszewski wygląda, jakby właśnie jechał po mleko, a nie ratował ludzi z getta.

Kilkaset kilometrów dalej, w Krakowie, odsłonięto Pomnik Tajnej Organizacji Nauczycielskiej. Drugi taki w Polsce, co samo w sobie brzmi jak wyrzut sumienia. Bo skoro była organizacja, która objęła konspiracyjnym nauczaniem miliony uczniów, to dlaczego trzeba było aż tylu dekad, żeby postawić jej drugi pomnik. Na AGH zebrały się delegacje, sztandary, przemówienia i wojskowa asysta. Padały słowa o „niemieckim planie wynarodowienia" i o tym, że „nie powiódł się m.in. dzięki TON". Ale pomnik stoi i milczy, a obok przechodzą studenci, którzy częściej uczą się z YouTube'a niż z historii własnego kraju.

Na północy kraju, w Smołdzinie, historia ma bardziej przyziemny wymiar. Tam pomnik postawiono osadnikom. Tym, którzy po wojnie przyjechali z centralnej Polski albo z Kresów. „Łączyła ich bieda, trauma wojenna i konieczność rozpoczęcia życia od nowa" – mówił inicjator przedsięwzięcia. I rzeczywiście, to jeden z niewielu przypadków, gdy pomnik nie upamiętnia bohatera z nazwiskiem, lecz zbiorowość bez twarzy. Problem polega na tym, że zbiorowości słabo się rzeźbią. Trudno wyrzeźbić biedę, jeszcze trudniej traumę. Zostaje więc kamień i tablica. I nader płonna nadzieja, że ktoś ją przeczyta.

W Suchym Lesie pod Poznaniem poszli w zupełnie inną stronę. Tam postawiono miniaturowego Wojciecha Bogusławskiego. Ojciec polskiego teatru został zredukowany do formatu ogrodowej figurki, którą można by równie dobrze postawić obok krasnala. To dopiero początek, bo takich „Wojtków" ma być więcej. Pomysł jest rozbrajający, bo zamiast jednego dużego pomnika – wiele małych. Historia w wersji kieszonkowej. Do tego koncerty, tańce, śpiewy a'capella i kultura na poziomie lokalnym, czyli takim, który nie przeszkadza.

W Izbach w powiecie gorlickim wrócono do klasyki. Konfederaci barscy, XVIII w., walka o katolickość i wolność, rosyjskie wojska i generał Drewicz, który – jak przypomniano – słynął z okrucieństwa. Pomnik stoi i przypomina, że „wolność nie jest dana raz na zawsze". To zdanie powtarza się dziś częściej niż prognoza pogody. Problem w tym, że im częściej się je powtarza, tym bardziej traci sens, zamieniając się w obowiązkowy element każdej uroczystości.

W Zagórzu natomiast postawiono Pomnik Nieznanego Konfederaty Barskiego. Nieznany bohater ma tę przewagę, że nikt nie zakwestionuje jego życiorysu. Można mu przypisać wszystko. Pomnik wpisano w rewitalizację ruin klasztoru, obok „Wirtualnego Mnicha", który brzmi jak aplikacja mobilna. Finansowanie zapewniły ministerstwa, programy transgraniczne i inne instytucje, które lubią bezpiecznie inwestować w przeszłość, bo przyszłość bywa ryzykowna.

Komu by tu jeszcze?

W Braniewie poszli jeszcze dalej. Pomnik Kresowych Żołnierzy Niezłomnych Wyklętych wygląda jak scenografia do filmu historycznego. Granitowe przedramię wynurzające się spod ziemi, ryngraf z Matką Boską Ostrobramską, sześć figur dowódców, z czego część z ranami postrzałowymi – realizm cierpienia w kamieniu. Symbolika tak gęsta, że można by ją kroić nożem, ale przekaz jasny – pamiętamy, czcimy, nie zapomnimy. Nawet jeśli czasem nie do końca wiemy, co dokładnie pamiętamy.

W Jaszowicach przypomniano Teresę Grodzińską, sanitariuszkę, która przenosiła rannych przez płonący most i zginęła z rąk bolszewików. Pierwsza kobieta odznaczona Virtuti Militari. Historia gotowa na film. Były msze, list prezydenta, rekonstrukcje bitewne, orkiestra wojskowa. Wszystko jak trzeba. Pomnik stoi, a wraz z nim przekonanie, że heroizm najlepiej wygląda, gdy stanowi toaletę dla gołębi.

W Wołczkowie pojawił się pies ratownik – Wołczek. Symbol bezpieczeństwa, troski i – co ciekawe – profilaktyki zaginięć, bo pomnik ma kod QR. Wystarczy zeskanować i można się dowiedzieć, jak nie zginąć. To już nie tylko pamięć, to funkcjonalność. Pomnik 2.0.

W Zduńskiej Woli uczczono Stefana Złotnickiego, którego jedyną zasługą było to, że założył miasto. Był tort, był akt erekcyjny sprzed 200 lat, był koncert Chopina i pokaz laserowy. Pomnik ma 2,75 m wysokości i kosztował 139,5 tys. zł. Kolejna nikomu niepotrzebna historia w wersji jubileuszowej, z dodatkiem cukru i światła.

W Nowym Dworze upamiętniono operację niemeńską, czyli epizod wojny polsko-bolszewickiej w 1920 r., skądinąd przez nas wygranej. Były nabożeństwa dwóch wyznań, bieg pamięci, apel, salwa honorowa i cytat z Piłsudskiego: „Prawy żołnierz nie tylko umrzeć za ojczyznę, lecz i żyć dla niej potrafi". Pomnik stanął przy szkole, co wydawać się może rozwiązaniem praktycznym, bo teoretycznie dzieci mogą patrzeć i zapamiętywać. Albo przynajmniej wiedzieć, że coś było.

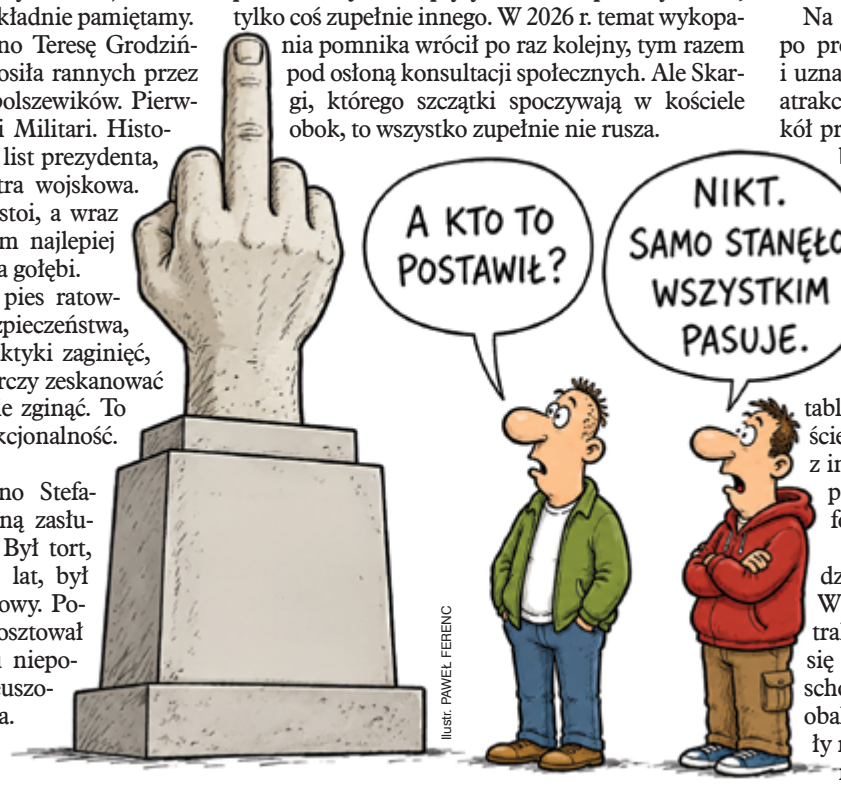
W Rycerce Górnej odsłonięto pomnik 10 zamordowanych mieszkańców przysiółka Czanieckich. Były msza, apel, poezja Wojtyły i Konopnickiej, pieśni patriotyczne. Cisza i pamięć. Nie padło natomiast kluczowe pytanie o to, czy pomnik coś zmienia, czy tylko stoi.

W tym całym kamienno-spiżowym natłoku brakuje dwóch postaci, które jeszcze niedawno wydawały się obowiązkowe.

Nie ma nowych pomników Lecha Kaczyńskiego, nie przybywa też Janów Pawłów II, choć jeszcze dekadę temu rzeźbiarze mieli w tej materii pełne ręce roboty. Być może dlatego, że jednego trudno zamknąć w formie, a drugiego już zamknięto tyle razy, że zabrakło miejsc.

Odpomniczenie

A może obaj panowie budzą obawy, że ich pomniki mogą stać się zarzewiem konfliktu. Jak w przypadku Krakowa i księdza Piotra Skargi. Pomnik stanął na Placu św. Marii Magdaleny w 2001 r. i od razu okazało się, że nawet spiżowy jezuita może uwierać, jeśli stoi nie tam, gdzie komuś pasuje. W 2008 r. pojawił się pomysł, żeby rzeźbę przenieść po sąsiedzku na dziedziniec Collegium Broscianum UJ. Oficjalnie nie wyszło, bo zabrakło pieniędzy. W 2021 r. wróciła rewitalizacja placu, czyli miejski rytuał polegający na tym, że najpierw mówi się o zieleni, funkcjonalności i komforcie, a potem okazuje się, że największym problemem placu nie są śliskie płyty ani niebezpieczny uskok, tylko coś zupełnie innego. W 2026 r. temat wykopania pomnika wrócił po raz kolejny, tym razem pod osłoną konsultacji społecznych. Ale Skargi, którego szczątki spoczywają w kościele obok, to wszystko zupełnie nie rusza.



Częstochowa z kolei pokazuje, że nawet gdy pomnika nikt nie planuje usuwać, to wcale nie oznacza, że ma on lekko. Najwyższy pomnik JP2 na świecie stoi w Parku Miniatur Sakralnych „Złota Góra". Został odsłonięty 13 kwietnia 2013 r. i mierzy 14 m wysokości. Tyle że park został zamknięty, miniatury są połamane, wszędzie zalegają śmiecie, a ktoś namalował na twarzy Karola Wojtyły jaszczurkę, dół monumentu zaś pokryło graffiti.

A przecież było takie uroczyste otwarcie. Z abepe Wacławem Depo, Jerzym Zelnikiem i prezydentem miasta Krzysztofem Matyjaszczykiem, były ogólnopolskie media i wzmianki w BBC czy w „Der Spiegel". Cóż, naród postawił najwyższy pomnik papieża Polaka, po czym najwyraźniej uznał, że resztę dopracują fauna i spray. Bo pomnik, jak każdy byt publiczny, jest w Polsce kochany głównie w chwili odsłonięcia. Później zostaje już tylko ceremonialne wzruszenie ramion.

Gdańsk jednak wybrał inny wariant polskiej troski o monumenty – linczująco-uchwałodawczy. Pomnik ks. Henryka Jankowskiego stanął na skwerze przy ul. Stolarskiej dzięki publicznej kweście. Rada Miasta Gdańska zgodziła się na jego postawienie, a uroczyście odsłonięto go 31 sierpnia 2012 r. Pokropku dokonał ówczesny metropolita gdański Sławoj Leszek Głódź.

A potem historia zrobiła to, co robić lubi – kpiła. Po prasowych zarzutach o molestowanie nieletnich przez Jankowskiego naród jął domagać się usunięcia pomnika. Wokół monumentu ułożono dziecięce buciki i maskotki, pojawiły się kartki z napisem „pedofil". Potem figurę oblano czerwoną farbą. W końcu odbyła się manifestacja „Pomnik dla ofiar – nie dla katów", podczas której były ministrant zasłonił głowę figury białym prześcieradłem. Prezydent Gdańska zapowiedział przeniesienie pomnika na teren prywatny lub do świątyni, co nie wyszło, bo trzej panowie, używając lin, przewrócili figurę na uprzednio ułożone opony, żeby jej nie uszkodzić, po czym położyli na niej strój ministranta i dziecięcą bieliznę. Zamiast skorzystać z sytuacji i Jankowskiego wywieźć, figurę ustawiono z powrotem. I dopiero gdy dwa tygodnie potem Rada Miasta przyjęła uchwałę o rozebraniu pomnika, następnego dnia już go nie było.

Jajo po wiedeńsku

Na tym tle Wiedeń wygląda jak miasto, które po prostu przeczytało instrukcję obsługi historii i uznało, że nie będzie sobie fundować podobnych atrakcji. Na Kahlenbergu od 2013 r. stoi pusty cokół przeznaczony pod konny pomnik Jana III Sobieskiego. W marcu władze stolicy Austrii po raz kolejny odmówiły zgody na ustawienie statui, mimo wieloletnich starań strony polskiej i austriackiej chadecji. Argument? Taki pomnik ma „XIX-wieczny charakter" i nie pasuje do współczesnego pojmowania pamięci historycznej.

Wiedeń twierdzi przy tym, że Sobieski jest już wystarczająco upamiętniony. Są trzy tablice pamiątkowe, jest kaplica Sobieskiego w kościele, jest duży kamienny monument z 2018 r. z inskrypcją o pokoju, współpracy i europejskiej pamięci. Zdaniem władz miasta właśnie taka forma jest współczesna i odpowiedzialna.

I właśnie tu widać najostrzej kontrast między polskim a wiedeńskim losem pomników. W Polsce stawia się je z rozmachem, a potem traktuje jak znajomych, od których pożyczyło się kasę. Jednych usiłuje się „rewitalizacyjnie" schować, drugie oddaje się wandalom, trzecie obala przy pomocy lin, opon i późniejszej uchwały rady miasta. W Wiedniu nawet do tego etapu nie chcą dopuścić. Tamtejszy magistrat najwyraźniej doszedł do wniosku, że najbezpieczniejszy pomnik to taki, którego nie ma.

Ale spokojnie. Sobieski koniec końców wylądował ze swoim pomnikiem w Kończycach Wielkich. Wiedeń go nie chciał, więc znalazł azyl na Śląsku Cieszyńskim. Były orszak historyczny, msza, wojsko. Król, który wygrał pod Wiedniem, przegrał z wiedeńską administracją i wylądował na prowincji. Historia lubi takie żarty.

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Na obwodnicy Jarosławia policja upolowała 57-letniego pirata drogowego na elektrycznym wózku inwalidzkim. Pędził w stronę Przemyśla. Funkcjonariusze eskortowali bolid poza trasę i udzielili kierowcy korepetycji z przepisów. Ofiar nie było.

▮ W Bukowcu Wielkim małżeństwo rolników znalazło pod głazem 300 monet z XVII w. Zamiast, jak na zaradnych Polaków przystało, po cichu upłynnić skarb u pasera, naiwniacy wezwali archeologów. Numizmaty Jana Kazimierza i Sobieskiego trafiły do muzeum w Działdowie, a znalazcy wrócili do zbierania kamieni. Państwo gratuluje obywatelskiej postawy, która w tym przypadku jest tylko eufemizmem na rzadko spotykany deficyt chciwości i wyobraźni.

▮ Przez otwarte ponownie pół roku temu przejścia w Kuźnicy i Bobrownikach przewaliło się pół miliona Białorusinów, zostawiwszy u nas 62 mln zł. Dzięki sankcjom UE nie mogą już kupować betoniarek ani telewizorów, więc rzucili się na kawę, herbatę i zabawki. Obalanie Łukaszenki za pomocą pluszowych misiów i czajników bezprzewodowych to nowa, genialna strategia Brukseli. Czekam, aż zakażą im jeszcze polskiego papieru toaletowego – wtedy reżim na pewno się zesra.

▮ W Wadowicach, mieście znanym głównie z produkcji świętych i kremówek, doszło do rozdawnictwa blachy. 42 pracowników firmy Maspex otrzymało odznaczenia państwowe za to, że przez lata dzielnie mieszali wodę z cukrem pod szyldem Tymbarku i Łowicza. Złote i srebrne medale nadane przez Karola Nawrockiego wręczał wojewoda, co nadaje produkcji makaronu rangę misji narodowej. Czekamy na ordery dla kasjerek z dyskontów – ich codzienna walka z klientem o świeżą bułkę jest wielce heroiczna, a jakoś nikt im piersi metalem nie dekoruje.

▮ UOKiK przyłapał największe domy aukcyjne – w tym Desę i Rempex – na prymitywnym szwindlu. Pracownicy sami licytowali obrazy, by sztucznie pompować ceny i doić snobów, To urocze: elity handlujące pięknem stosują metody drobnych rzezimieszków z bazaru Różyckiego. Teraz domy aukcyjne obiecują „przejrzystość", co w ich języku oznacza zapewne, że następnym razem będą oszukiwać tak, żeby nikt ich nie złapał.

▮ Polskie ogrodnictwo szklarniowe dogorywa, a wraz z nim marzenia o narodowej samowystarczalności w dziedzinie mizerii. Ceny skupu spadły tak nisko, że ogrodnikom bardziej opłaca się ogórki zjadać samemu niż je sprzedawać. Ale ile można jeść zielonego, nie będąc krową? Pan Paweł Sikorski z Dubielna donosi o znajomym, który 100 ton towaru oddał do biogazowni. To piękny gest. Polski ogórek, zamiast chrupać w zębach, będzie teraz napędzał telewizory, w których politycy opowiedzą nam o kolejnych sukcesach rolnictwa. Winni są oczywiście obcy. Hiszpanie, Grecy i Turcy, których ogórki – pędzone słońcem, a nie drogim gazem – bezczelnie wdarły się na nasze stoły.

▮ Średnia cena transakcyjna nowego samochodu w Polsce wzrosła z ok. 95 tys. zł w 2015 r. do ok. 187 tys. zł w 2025 r. Oznacza to niemal podwojenie cen w ciągu dekady. Cena transakcyjna to rzeczywista kwota płacona za auto po rabatach i negocjacjach. Przemysł samochodowy najbardziej ugrał na pandemii, która była pretekstem do podniesienia cen aut, ponieważ wzrosły jakieś inne ceny. Inwazja chińskich marek zwiększyła konkurencję. Gdyby nie Pekin, Niemcy wyssaliby nam z portfeli ostatnią złotówkę.

▮ Na warszawskiej ul. Postępu postęp spłonął z widowiskowym hukiem. Podczas ładowania hulajnogi elektrycznej wybuchł pożar, który uwięził 17-latka na balkonie. Strażacy przez trzy godziny walczyli z nowoczesnością, ściągając chłopaka drabiną. To kolejny twardy dowód na to, że tzw. elektromobilność najskuteczniej dowozi nas na pogorzelisko. Jeśli koniecznie chcecie być nowocześni, zainwestujcie w porządną gaśnicę.

▮ Według najnowszego sondażu IBRiS aż 75 proc. bezdzietnych Polek nie planuje potomstwa z rozbrajająco szczerego powodu: po prostu nie lubią dzieci. To radosna nowina dla wszystkich, którzy cenią sobie spokój na klatkach schodowych i brak wrzasków za ścianą. Co trzeci bezdzietny respondent deklaruje wręcz całkowitą niechęć do prokreacji, co w kraju rządzonym przez kult macicy i pieluchy zakrawa na akt heroicznego sabotażu.

▮ PiS wykazało 32 mln zł przychodu, z czego ponad jedna trzecia to darowizny od wiernych. PKW ucięła im subwencję za wyborcze szwindle, więc Kaczyński ruszył w teren z puszką, a emeryci i renciści karnie wyskakują z kasy, by wyrównać stratę. Prezes twierdzi, że miliony są mu potrzebne na „działalność młodzieżową".

▮ Sąd w Gliwicach orzekł, że do wyrejestrowania telewizora wystarczy zwykłe pismo, a nie wizyta u pocztowego spowiednika. Poczta Polska próbowała wycisnąć z obywatela 2 tys. zł za luksus nieposiadania odbiornika. Kiedyś, by uwolnić się od tego diabelstwa, wystarczyło wyrzucić pudło przez okno. Dziś trzeba angażować rzecznika praw obywatelskich, by udowodnić, że nie ma się obowiązku finansowania narodowego ogłupiania. Postęp, po prostu postęp.

▮ Skarb państwa ogłosił nowy rekord świata w pożyczaniu od przyszłości. Na koniec kwietnia 2026 r. nasze wspólne zadłużenie spuchło o kolejne 38 mld zł, przebijając psychologiczną barierę dwóch bilionów. W prak-



eprasa.pl dedb5134a1

Łódzki głupek stawia słupek

Dramatyczna historia z Piotrkowskiej

Na Piotrkowskiej przewrócił się słupek i przez chwilę Łódź zobaczyła swoje zarządzanie miastem w najczystszej postaci. Miało być nowocześnie: z systemem, który rozpoznaje uprawnione pojazdy, opuszcza się wtedy, kiedy trzeba, pilnuje reprezentacyjnej ulicy i wreszcie kończy wieloletni kabaret z wjazdem na Piotrkowską. Przyjechał jednak zwykły samochód dostawczy, zrobił swoje, a słupek, zamiast stać na straży miejskiego porządku, położył się na ziemi jak zmęczona Zdanowska po naradzie.

Ta historia jest śmieszna, ale śmieszna w sposób bardzo łódzki, bo im dłużej się jej przyglądać, tym mniej przypomina wpadkę techniczną, a bardziej streszczenie całej metody zarządzania. Najpierw pojawia się obietnica przełomu, potem system okazuje się droższy, trudniejszy, opóźniony i bardziej skomplikowany niż w zapowiedziach, następnie wychodzą na jaw absurdy, a na końcu mieszkańcy dostają komunikat, że sprawa jest analizowana, wykonawca wyjaśni, odbiory trwają, więc nie można mówić, że nie działa!

Zanim słupek się przewrócił, zdążył się jeszcze spóźnić. Cały system przez miesiące dojrzewał w dobrze znanej łódzkiej atmosferze przesuwanych terminów. W Łodzi opóźnienie jest naturalnym etapem inwestycji.

Do tego wszystkiego słupek miał mieć aurę niemal antyterrorystyczną. Wyobrażenie, że jakiś terrorysta siedzi nad mapą Europy, omija Londyn, Paryż, Berlin, Madryt, lotniska, stadiony, ambasady i w końcu wbija palec w to upadłe pod prawie każdym względem miasteczko, żeby zaatakować akurat Piotrkowską między kebabem, lombardem a pustym lokalem po kolejnym interesie, ma w sobie pewien rozmach komediowy.

Najtrafniej klimat tej sprawy oddał chyba radny Marcin Hencz z PO, który 15 kwietnia napisał na Facebooku: „Gdy pół świata żyje cieśniną Ormuz i wyborami na Węgrzech, nasze łódzkie dyskusje rozpala temat montowanych słupków na Piotrkowskiej". Niby miało być światowo, z lekkim pobłażaniem dla lokalnych emocji, jakby Łodzianie znowu niepotrzebnie zajmowali się swoim chodnikiem i swoim prawem do przejścia przez centrum bez udziału w eksperymencie drogowym.

Tyle że mieszkańcy miast żyją właśnie takimi rzeczami, bo cieśnina Ormuz nie rozjedzie im dziecka na deptaku, a źle działający słupek będzie im codziennie przypominał wątpliwość, czy urząd w ogóle rozumie miejsce, którym zarządza.

Z tym rozumieniem bywa różnie, skoro nowy porządek na Piotrkowskiej zaczął produkować własne absurdy szybciej, niż zdążył wejść w życie. Najbardziej malowniczy jest wątek riksz, bo trudno o lepszy symbol urzędniczego planowania niż sytuacja, w której po ustawieniu słupków okazuje się, że jeden z najbardziej rozpoznawalnych pojazdów tej ulicy może mieć problem z przejazdem. Riksze nie spadły na Piotrkowską z nieba w przeddzień odbioru inwestycji. Stoją tam od lat, wożą turystów, denerwują jednych, bawią drugich i należą do tego samego miejskiego folkloru, którym Łódź chętnie się chwali, gdy trzeba sprzedać opowieść o ulicy z klimatem.

Niezła jest też historia z gwiazdą Bożeny Dykiel. Łódź ma Aleję Gwiazd, a teraz dorobiła się jeszcze gwiazd przechodnich, przesuwanych w zależności od tego, gdzie akurat urzędnikom wypadnie postawić urządzenie do ratowania cywilizacji na Piotrkowskiej. Symbol miasta, pamięć o ludziach filmu, cały ten starannie pielęgnowany mit ulicy wyjątkowej i „klimatycznej", nagle musi zrobić krok w bok, bo nadciągnęła epopeja słupkowa.

Najbardziej męczące jest to, że sama potrzeba ograniczenia wjazdów na Piotrkowską jest oczywista dla każdego, kto codziennie przepycha się między pieszymi a kolejnymi wyjątkami od reguły. Problem polega na tym, że w Łodzi nawet słuszny pomysł potrafi zostać przeprowadzony tak, aby po drodze zgubił sens i zamienił się w osobną aferę. Władza zaczyna od opowieści o bezpieczeństwie, potem mieszkańcy dowiadują się, że jedne pojazdy mają problem, inne nadal będą jakoś obsługiwane, coś jest niedokończone, a na końcu przewraca się słupek i przez chwilę cała misterna konstrukcja języka urzędowego leży razem z nim.

Piotrkowska jest sceną szczególnie niewdzięczną, bo wszystko na niej widać szybciej niż gdzie indziej. Gdy niedoróbka wydarzy się na bocznej ulicy, można liczyć na to, że zauważy ją kilku mieszkańców i lokalny społecznik. Gdy słupek pada na Piotrkowskiej, pada w samym środku miejskiej opowieści o salonie Łodzi. Ten nieszczęsny kawałek metalu nie położył się po prostu na bruku. On położył się na miejskim samozadowoleniu.

Oczywiście zaraz usłyszymy, że wszystko zostanie poprawione i doprowadzone do stanu, w którym słupek będzie już słupkiem naprawdę, a nie słupkiem w wersji próbnej. Być może tak będzie. Może za jakiś czas system zacznie działać, riksze znajdą trasę, dostawcy nauczą się nowych zasad, kamery będą czytać tablice, a gwiazdy zostaną przesunięte w sposób godny europejskiej stolicy słupka. Tyle że niesmak zostanie.

DAMIAN DUSZCZENKO



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Z zupy Żurka

Cimoszewicz, pijany prokurator i gość z Ukrainy

Włodzimierz Cimoszewicz, były premier, minister i europoseł w jednym, jest winny. Nie „winny" trwale, ale „winny" czasowo przez to, że Sąd Okręgowy w Białymstoku uchylił mu uniewinnienie z sądu rejonowego za potrącenie rowerzystki na przejściu dla pieszych w 2019 r. Jednocześnie zawieszono warunkowo postępowanie sądowe w tej sprawie na rok i jeśli Cimoszewicz nikogo w tym czasie nie przejedzie na pasach, będzie już prawomocnie niewinny.

Ta skomplikowana ekwilibrystyka prawna wkurwiła prokuraturę okręgową w osobie prokuratora Andrzeja Stelmaszuka, który chciał, żeby apelacja cofnęła jednak tę sprawę do rejonu, żeby proces odbył się raz jeszcze. Sam Stelmaszuk, który ściga Cimoszewicza w tej sprawie od lat, pełnił za PiS-u funkcję zastępcy prokuratora okręgowego w Białymstoku i nie ulega wątpliwości, iż było to wówczas śledztwo motywowane bardzo politycznie.


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Żeby było ciekawiej, kierowca świetnie zna potrąconą rowerzystkę, bo to wdowa po lekarzu, który dyrektorował szpitalowi powiatowemu w Hajnówce w latach 90. I to Cimoszewicz, mając tu wiernych, choć wymierających zgodnie z prawami natury wyborców, błyskawicznie – jak głosi legenda – zorganizował państwowe pieniądze na budowę tej nieźle prosperującej do dziś placówki medycznej.

Jak łatwo się domyślić, kobieta nigdy nie złożyła pozwu przeciw byłemu premierowi, unikała przez lata wścibskich tabloidów, chociaż teraz, chcąc nie chcąc, będzie musiała przyjąć 1000 zł, jakie sąd nakazał jej wypłacić z konta Cimoszewicza.

Stelmaszuk to ciekawy przypadek. W grudniu 2016 r. umorzył sprawę podpalenia swastyki w lesie przez Nacjonalistyczne Stowarzyszenie Zadruga.

Uznał, że to symbol kultury słowiańskiej, bo tak mu powiedzieli na przesłuchaniu chłopcy z zapałkami. Teraz kilka osób z tego towarzystwa, w tym jeden emerytowany policjant, zostało zatrzymanych przez ABW za szpiegowanie na rzecz Rosji.

• • •

Prokuratura Okręgowa w Łomży też ma kłopot. Jeden z podległych jej prokuratorów po pijaku i w czasie wolnym od pracy wtargnął na podwórko sąsiada, żeby go obić po twarzy. Sąsiad jest strażakiem, a więc tak jak prokurator – funkcjonariuszem publicznym. Strażak dał sobie radę z agresorem, ale przy okazji też złożył zawiadomienie na policję.

Śledczy był w tym czasie na urlopie zdrowotnym, z którego nie zdążył jak widać wrócić do pracy, a teraz dodatkowo ma postępowanie służbowe w tej sprawie. Podobno doszły mu też zarzuty jazdy na podwójnym gazie.

• • •

I na koniec tej wycieczki w podlaską domenę ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego warto zajrzeć do jednego z ostatnich ustnych uzasadnień sądowych w procesie o pomoc w nielegalnym przekraczaniu granicy polsko-białoruskiej.

W procesie apelacyjnym, w którym sąd 27-letniej Ukraince przyklepał prawomocnie wyrok roku więzienia z pierwszej instancji, sędzia mówił wprost Braunem. „Gdy część rówieśników oskarżonej walczy na froncie, oskarżona podejmuje się działań, które w przypadku Rzeczypospolitej Polskiej cechują się znaczną społeczną szkodliwością" – rzekł sędzia Jacek Dunikowski. A następnie dał jej lekcję patriotycznego savoir-vivre'u: „Jeżeli idziemy w gości do kogoś, zachowujemy się tak, żeby nie popełnić żadnego błędu. Jeżeli przyjeżdżamy do innego kraju, który ma problem z tymi imigrantami na granicy, to nie popełniamy tego przestępstwa. Oskarżona korzystała z gościnności Polski, nie powinna tego popełnić".

Trudno w tym wypadku oprzeć się wrażeniu, że mimowolnie lub cynicznie jakaś część wymiaru sprawiedliwości zaczyna demonstracyjnie orientować się na nacjonalistyczną prawicę. Boli nas to jak chuj.

JMP

tyce oznacza to, że każdy mieszkaniec Polski – od niemowlęcia w beciku po staruszka w kolejce do geriatry – jest winien wierzycielom ok. 55 tys. zł. Gratulujemy rodzicom: wasze dziecko, zanim jeszcze nauczyło się ssać pierś, już wisi bankierom równowartość przyzwoitego samochodu używanego.

▮ Od 2027 r. państwo każe sobie płacić jeszcze więcej za luksus oglądania gadających głów i słuchania radiowego bełkotu. Abonament RTV puchnie do 34,50 zł miesięcznie, co daje ponad 400 zł rocznie. Kary za brak rejestracji odbiornika wzrosną do ponad 1000 zł.

▮ Pod Glinojeckiem kierowca Forda postanowił przenieść się na tamten świat, wybierając jako środek transportu czołowe zderzenie z cysterną. Samobójca dopiął swego i zginął na miejscu, zabierając jednak ze sobą pasażera na gapę – 35-letniego kierowcę ciężarówki. Ten drugi, choć do grobu mu się nie śpieszyło, zmarł w szpitalu po tym, jak strażacy wypruli go z wraku.

RJ

PS Depesze pochodzą z prasy regionalnej rozsianej po terytorium całego kraju. Zaleca się traktować je z uprzejmą, lecz kontrolowaną powagą. Za zgodność meldunków ze stanem faktycznym nie ponosimy odpowiedzialności cywilnej, karnej, honorowej ani towarzyskiej.

eprasa.pl dedb5134a1

Moralność czynszojadów

SŁOWO CZERWONE

Najbardziej potępiany dług

Większość Polaków ma na własność mieszkania. Lokator to dla nich postać podejrzana. Podejrzana o niepłacenie w terminie czynszów. W ramach powszechnego uwłaszczenia (trwającego głównie w latach 90. i na początku XXI w.) prawo własności do swoich mieszkań uzyskało w Polsce łącznie ponad 2,6 mln osób. Lokatorzy spółdzielczych mieszkań własnościowych oraz mieszkań komunalnych wykupowali lokale za ułamek ich wartości rynkowej, korzystając z bonifikat sięgających nawet 95–99 proc. Ci nowi właściciele, którym III Rzeczpospolita podarowała dach nad głową, ze szczególnym poczuciem wyższości odnoszą się do lokatorów komunalnych i socjalnych. Bardzo często protestują przeciwko budowaniu w pobliżu ich własności domów komunalnych. Te rozdane mieszkania po wejściu do Unii Europejskiej bardzo podrożały, a jeszcze bardziej podrożały, kiedy mieszkania stały się lokatami, które zaczęto masowo kupować w celach spekulacyjnych.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Mieszkania rozdawano tak biednym, jak i zamożnym. Ludzie o niskich dochodach stali się biednymi milionerami. Mają coś, co nierzadko jest warte milion złotych i więcej, a jednocześnie zarabiają lub pobierają emeryturę, co ledwo wystarcza na życie. Wokół nich krążą sępy. Polują na starszych ludzi, którzy nie mają na życie. Lichwiarze chętnie im pożyczają, bo mają drogi zastaw – mieszkanie. Chodzi oczywiście o takie wpędzenie właścicieli mieszkań w długi, żeby można je było korzystnie zlicytować.

My w Kancelarii Sprawiedliwości Społecznej nigdy nie pomagamy tym, którzy chcą swe mieszkania komunalne wykupić. Po pierwsze dlatego, że po upływie pięciu lat mogą oni te mieszkania sprzedać z olbrzymim zyskiem, co nie jest sprawiedliwe. Po drugie dlatego, że mieszkań komunalnych się prawie nie buduje, o co dba lobby deweloperskie, więc wykup powoduje ubywanie liczby mieszkań, które można przydzielić potrzebującym. Wreszcie mieszkanie własnościowe mnożna zlicytować, a najbardziej nawet zadłużony człowiek, jeżeli tylko płaci regularnie czynsz, nie może być zlicytowany. Bo nie da się zlicytować najmu.

Jakieś 10 lat temu zgłosiliśmy za pośrednictwem posłanki Anny Grodzkiej projekt tzw. ustawy o ostatniej koszuli, który zakładał, że nie będzie można licytować jedynego dachu nad głową – mieszkania do ściśle określonej wielkości (metrażu). Oczywiście sejm, który twardo stoi na straży tych, którzy zarabiają na ludzkiej biedzie, projekt odrzucił.

Od tego czasu prowadzimy akcję „mieszkanie dla zakochanych”, bo miliony młodych ludzi nie mogą wyprowadzić się od rodziców i założyć rodziny z powodu drożyzny na rynku mieszkaniowym. Jednak również pod wpływem deweloperów rząd nie przeznacza na budownictwo społeczne odpowiednich pieniędzy. Nie tylko mieszkanie w dużym mieście kosztuje powyżej miliona złotych, ale i czynsze najmu wolnorynkowego sięgają całego miesięcznego wynagrodzenia. Dzieje się więc tak, że młode małżeństwa, ciężko pracując, wzbogacają czynszojadów, którzy leżąc i pachnąc, mają spłacane przez lokatorów kredyty hipoteczne.

A kiedy po kilku latach takiego wyzysku lokator popadnie w kłopoty i zacznie zalegać z czynszem, człowiek, którego majątek kosztem lokatora powiększył się niepomiernie, natychmiast o tym zapomina i ogłasza, że dłużnik zalegający z czynszem jest złodziejem i że on, właściciel, go utrzymuje. Właściciel jest tak oburzony, że nagle lokator przestał spłacać jego kredyt, że nierzadko, aby przyśpieszyć pozbycie się dłużnika, sięga po przemoc, którą stosują bandyci z firm eksmisyjnych.

Stało się więc tak, że najbardziej potępianym długiem jest dług czynszowy.

Nie ma szczególnego oburzenia, kiedy pracodawca nie wypłaca wynagrodzenia. Nikt nie ogłasza, że jest złodziejem, choć kradnie pracę i okrada rodzinę z dochodu. Nie powstają firmy, które wchodziłyby do mieszkania pracodawcy i pobierały coś o wartości niewypłaconych pensji.

Za to byłaby od razu kara więzienia. Choć za bezprawne usunięcie rodziny z mieszkania, bez sądu, bez wyroku, bez komornika, są teoretycznie jakieś kary, ale nikt nikogo nie karze. Bo właścicielowi wolno wszystko. Podobnie jak pracodawcy. Jest to system stworzony dla oszustów i złodziei, byle tylko byli bogaci.

Dług to dług. I jeżeli dłużnik nie chce lub nie może go spłacić, należy iść do sądu z pozwem o zapłatę. Potem iść do komornika, który na podstawie tego wyroku ściągnie należną sumę. Fetyszyzowanie długu czynszowego ma na celu powszechne społeczne potępienie dłużników lokatorów. A przecież bywa i tak, że dług powstaje, bo pracodawca lokatora nie płaci mu wcale albo z opóźnieniem wypłaca wynagrodzenie. Bywa też tak, że w rodzinie dłużnika ktoś poważnie zachoruje i trzeba wydawać wielkie kwoty na jego ratowanie.

Organizacje czynszojadów alarmują, że większość lokatorów zalega z czynszami. Trudno sobie wyobrazić, że to zaleganie w takiej skali wynika ze złej woli. Po prostu czynsze są za wysokie.

Rozwiązaniem byłoby wybudowanie kilku milionów mieszkań społecznych. Wtedy popyt na wynajmowanie absurdalnie drogich mieszkań by spadł i ceny by spadły. Ale przecież wyzysk czynszowy to źródło wielkich fortun, także poselskich.

PIOTR IKONOWICZ

Nowotwór jak okiem sięgnąć

Jak nas straszą

Cukier nie krzepi. Cukier destabilizuje cały organizm – od poziomu glukozy we krwi po układ odpornościowy – i jest jednym z głównych dostarczycieli paliwa dla komórek nowotworowych. Nie wywołuje raka sam z siebie, ale tworzy środowisko, w którym rak czuje się jak u siebie: insulinooporność, stan zapalny w tkankach, otyłość trzewną, a to z kolei prowadzi do nowotworów wątroby, jelita grubego, trzustki i piersi. Ergo: słodzone napoje, ciasta, batoniki to prosta droga do katastrofy.

Kiełbasa, szynka, pasztetowa – smak dzieciństwa, tradycji i powód nowotworów jelita grubego. WHO w 2015 r. umieściła przetworzone mięso w pierwszej grupie kancerogenów – obok azbestu, benzenu i promieniowania gamma. To znaczy, że świat nauki nie ma wątpliwości co do ich rakotwórczego działania. Problem w azotynach i azotanach, czyli konserwantach odpowiedzialnych za różowy kolor i trwałość. W dymie wędzarniczym, który zawiera wielopierścieniowe węglowodory aromatyczne. W procesie przetwarzania, który rodzi nitrozoaminy – substancje uszkadzające DNA. WHO wyraźnie stwierdza: spożycie 50 gramów przetworzonego mięsa dziennie zwiększa ryzyko raka jelita grubego o 18 proc. Przetworzone mięso łączone jest również z nowotworami żołądka, trzustki, przełyku i nawet płuc. Osoby jedzące najwięcej wędlin mają wyższe wskaźniki umieralności także z powodu chorób sercowo-naczyniowych.

Rzecz jasna alkohol również znalazł się w gronie bezspornych rakotwórców. WHO nie ma wątpliwości: każda ilość alkoholu zwiększa ryzyko zachorowania. Szczególnie grozi rakiem jamy ustnej, gardła, przełyku, wątroby, jelita grubego i piersi. Nawet czerwone wino – niedawno gloryfikowane – dziś nie uchodzi już za zdrowy wybór.

Etanol sam w sobie nie jest rakotwórczy, ale jego metabolit – aldehyd octowy – już tak. Działa toksycznie na komórki, wywołuje stany zapalne i mutacje. W dodatku alkohol zwiększa wchłanianie innych substancji rakotwórczych – np. z dymu papierosowego.

Do tego dochodzą przyprawy. Cynamon, oregano, chili, papryka – zawierają różne świństwa i często nie podlegają kontrolom, choć efekt kumulacji – szczególnie przy codziennym stosowaniu – winien niepokoić.

Tu wkraczamy w osobliwy krajobraz rekomendacji dietetycznych. Oto bowiem ci sami

eksperci zakazujący konsumpcji wędlin radzą, by zastąpić je warzywami, pochodzącymi głównie z wielkoobszarowych upraw regularnie poddawanych intensywnym opryskom pestycydami.

Każda ładna rzodkiewka może nosić na sobie ślady glifosatu, każdy pomidor – echa chloropiryfosu, a każda główka sałaty – całą poezję pozostałości po fungicydach, herbicydach i insektycydach.

Co więcej, te same organizacje, które biją na alarm z powodu obecności azotynów w parówce, nieco ciszej przechodzą do porządku dziennego nad faktem, że dziecko jedzące codziennie paprykę ze sklepu może być wystawione na działanie pozostałości po kilku różnych środkach chemicznych – każdy z osobna może mieści się w granicach, ale razem? Nikt nie sprawdza. Badania skumulowanego wpływu pestycydów w codziennej diecie nie są modne, a przynajmniej nie są finansowane.


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Zresztą nawet ekologiczne etykiety bywają pułapką, bo ekoprodukt wcale nie oznacza braku oprysków, a jedynie stosowanie „naturalnych” metod ochrony roślin. A natura bywa równie bezlitosna co laboratorium koncernu agrochemicznego. Preparaty na bazie miedzi dopuszczone w rolnictwie ekologicznym również mają swój toksykologiczny cień. Ale to wciąż zbyt mało, by zakwestionować nowy kanon, który każe nam zrezygnować z wiejskiej kiełbasy, by w imię zdrowia schrupać brokuła przemytego jedynie na oko.

W tym całym szaleństwie trudno oprzeć się wrażeniu, że nowotworowa panika służy czemuś więcej niż tylko ochronie zdrowia. Alkohol – objęty akcyzą. Cukier – objęty podatkiem. Chipsy – opodatkowane na Węgrzech. Papierosy – drogie jak złoto. Może więc ten cały ostrzał informacyjny nie jest aktem troski, a elementem strategii fiskalnej? Może choroby to tylko pretekst do nowych podatków i podnoszenia starych? Oczywiście po to, żebyśmy byli zdrowsi.

TOMASZ BOROWIECKI

Kamil Fejfer napisał w „Wyborczej” tekst bardzo charakterystyczny dla polskiej klasy rozsądnej. Najpierw pojawiają się dane, potem OECD, demografia, ZUS i kilka liczb o podatkach, a na końcu wniosek, że trzeba będzie pracować dłużej. Wszystko brzmi spokojnie, fachowo i odpowiedzialnie. Nie ma tu prawicowego rechotu z leniwych emerytów ani neoliberalnego zachwytu nad elastycznością człowieka po sześćdziesiątce. Jest troska o młodych, budżet, system i przyszłość – dlatego właśnie ten tekst jest groźniejszy niż zwykłe publicystyczne ględzenie, że skoro „ludzie żyją dłużej”, to niech dłużej zapierdalają.

Później...

Fejfer nie mówi, że ZUS zbankrutuje. Przeciwnie, uczciwie przyznaje, że nic takiego się nie stanie. Pisze jednak, że system będzie wymagał coraz większych dopłat z budżetu, a więc albo zadłużymy państwo, albo zabierzemy pieniądze z innych dziedzin, albo pogodzimy się z niższymi emeryturami, albo wreszcie podniesiemy wiek emerytalny.

Na pierwszy rzut oka wygląda to jak trzeźwy opis rzeczywistości. Na drugi – jak bardzo elegancki sposób powiedzenia ludziom, że skoro państwo, rynek pracy i kapitał urządziły im życie tak, że starość robi się za droga, to muszą oddać jeszcze kilka lat.

Największy problem takiego rozumowania polega na tym, że człowiek występuje w nim głównie jako pozycja w systemie. Przez lata odkłada składki, potem kapitał dzieli się przez oczekiwane dalsze trwanie życia, a im dłużej ma żyć, tym niższe świadczenie. W naszym interesie – pisze Fejfer – leży więc dłuższa praca, żeby nie zabrakło nam środków wtedy, kiedy będziemy ich naprawdę potrzebować. Brzmi rozsądnie, tylko że to jest rozsądek kalkulatora, który nie odróżnia życia od przetrwania.

Człowiek nie przechodzi na emeryturę wyłącznie po to, żeby mieć z czego kupić leki w ostatnich latach. Przechodzi też po to, żeby po czterdziestu latach pracy odzyskać kawałek życia, zanim zostanie mu już tylko zarządzanie chorobami, kolejkami do specjalistów i wysokością rachunków.

W tej opowieści emerytura przestaje być prawem do odpoczynku po pracy, a staje się instrumentem optymalizacji końcówki życia. Obywatel ma popracować dłużej, żeby później mieć trochę więcej, tylko że „później” nie jest neutralnym słowem.

Polityczna czujność twórców arkuszy egzaminacyjnych

Tegoroczna matura dała uczniom lekcję historii w bardzo polskim wydaniu. W arkuszu z historii pojawił się plan kompleksu fabrycznego, czyli łódzkiego Księżego Młyna. W legendzie były domy robotnicze, szkoła, stołówka, sklep, szpital, remiza, przędzalnia i willa dyrektora. Pytanie maturalne nie dotyczyło oceny tego układu. Polecenie dla ucznia brzmiało: „Uzasadnij, że plan zabudowy kompleksu fabryki świadczy o trosce właściciela o jego pracowników”.

To jedno słowo ustawia całe zadanie. „Troska” brzmi miękko, porządnie i niewinnie. Uczeń patrzy na mapę i ma zobaczyć dobrego pana fabrykanta, który robotnikom wybudował domy, posłał ich dzieci do szkoły, dał im sklep, stołówkę i szpital. W takim ujęciu Księży Młyn staje się niemal społeczną idyllą z kominem w tle. Willa dyrektora zostaje szczegółem topograficznym, a nie znakiem porządku, w którym jedni mieszkali przy warsztacie pracy, a drudzy nadzorowali całość z bezpiecznego dystansu.

Łódzki Księży Młyn był wielkim założeniem przemysłowym. Był też systemem organizowania życia robotników wokół fabryki. Człowiek pracował w rytmie zakładu, mieszkał w jego cieniu, korzystał z instytucji stworzonych przez jego właściciela i pozostawał od niego zależny znacznie bardziej, niż sugeruje szkolne słowo „troska”. Osiedle patronackie

eprasa.pl dedb5134a1

Tabela – pożeracz emerytów

Nie oddajmy im naszych lat



Rys. JANUARY

Później można już nie mieć siły, zdrowia ani bliskich, później można opiekować się kimś chorym albo samemu wymagać opieki, a czasem później można po prostu nie żyć. Państwo mówi więc obywatelowi: oddaj nam jeszcze kilka lat względnej sprawności, a w zamian być może dostaniesz mniej nędzne świadczenie wtedy, gdy będziesz już za słaby, żeby korzystać z wolności. To nie jest szczególnie porywająca umowa społeczna i na szczęście Polacy wciąż ją odrzucają.

Spracowani? Oj tam, oj tam…

Fejfer próbuje też rozbroić figurę spracowanego człowieka. Pisze, że według OECD tylko 9,5 proc. osób w wieku 55–64 lata wykonuje ciężką pracę rozumianą jako dźwiganie ciężkich przedmiotów lub ciężka praca manualna, z czego ma wynikać, że reszta pracuje lżej. I tu właśnie widać, jak statystyka potrafi robić za zasłonę dymną, bo praca niszczy ludzi nie tylko wtedy, gdy noszą lodówki po schodach. Niszczejemy od stania, nocnych zmian, stresu, upokorzeń, braku wpływu na grafik, odpowiedzialności za cudze zdrowie, cudze bezpieczeństwo, cudze dzieci, cudzą starość i cudzą frustrację. Niszczejemy od 30 lat pracy w szkole, szpitalu, DPS-ie, sklepie, kuchni, ochronie, za kierownicą, przy sprzątaniu, w urzędzie i usługach, gdzie ciało nie zawsze dźwiga ciężar, ale psychika i układ nerwowy od dawna jadą na rezerwie.

Kasjerka nie musi dźwigać worków cementu, żeby mieć po sześćdziesiątce zniszczone nogi, nauczycielka nie musi pracować w kopalni, żeby mieć dość ludzi, hałasu, kontroli, rodziców i ministerialnych reform, a pielęgniarka nie musi występować w tabeli jako robotnica ciężka, żeby jej ciało rozumiało słowo „dyżur” lepiej niż autorzy raportów. Kierowca autobusu może nie podnosić ciężkich przedmiotów, ale przez lata wozi odpowiedzialność, stres i własny pęcherz między przystankami. Salowa, opiekunka, pracownik socjalny, kucharka, ochroniarz i magazynier mogą wypaść z eleganckiej kategorii „ciężkiej pracy”, a jednak dojść do emerytury w stanie, którego żaden arkusz OECD nie nazwie po imieniu.

Młodzi czterdziestolatkowie

Jeszcze bardziej osobliwy jest argument o przyszłości. Dzisiejsi trzydziesto- i czterdziestolatkowie mają być zdrowsi, lepiej wykształceni, biologicznie młodsi, a gospodarka ma się przesuwać w stronę prac mniej fizycznych. Fejfer przywołuje nawet popularny obrazek, że dzisiejsi czterdziestolatkowie wyglądają młodziej niż czterdziestolatkowie sprzed dwóch czy trzech dekad, i z tego ma wynikać, że przyszli sześćdziesięcio- i siedemdziesięciolatkowie spokojnie dłużej popracują. Tyle że zdjęcia z internetu i wzrost liczby dyplomów nie rozwiązują problemu klasowego. To, że część dzisiejszych czterdziestolatków – kolegów Fejfera zapewne – biega, je hummus i ma smartwatcha, nie znaczy, że za 20 lat cała kohorta będzie z uśmiechem dorabiała do siedemdziesiątki w wygodnej pracy projektowej.

Wyższe wykształcenie też nie jest już biletem do lekkiego życia. Mamy całe roczniki ludzi po studiach, którzy pracują w niestabilnych usługach, na umowach cywilnoprawnych, w przeciążonych instytucjach publicznych, w kulturze, edukacji, pomocy społecznej, administracji, logistyce i handlu. Mają dyplom, ale niekoniecznie mają bezpieczną pracę, mają kompetencje, ale niekoniecznie mają zdrowie psychiczne, mają Excela, maila i Teamsy, ale to nie znaczy, że nie są wyciskani. Nowoczesna gospodarka nie zniosła przemocy pracy, lecz często tylko przeniosła ją z mięśni na głowę, sen, nerwy i życie prywatne.

Fejfer pisze, że opodatkowanie bogatych i korporacji nie wystarczy. Ma rację, jeśli ktoś traktuje to jak jeden magiczny przycisk do naprawy całego systemu – ale z tego, że jeden postulat nie załatwia wszystkiego, nie wynika jeszcze, że najrozsądniejszą odpowiedzią jest dołożenie wszystkim lat pracy. To bardzo wygodnie ustawiona debata: lewica ma przynieść kompletny, policzony na dekady model finansowania starości, bo inaczej usłyszy, że walczy ze zmianami klimatu zakazem plastikowych słomek, natomiast zwolennicy podnoszenia wieku emerytalnego mogą zaproponować rzecz najprostszą z możliwych, czyli późniejszą emeryturę, i nazwać ją odpowiedzialnością. W tym ujęciu każdy pomysł sięgania po pieniądze tam, gdzie przez lata uciekały z systemu, okazuje się naiwny, częściowy albo za mały, ale pomysł sięgnięcia po dodatkowe lata życia pracowników natychmiast awansuje na realizm.

Zacznijmy od początku

Tymczasem poważna reforma musiałaby zacząć się dużo wcześniej niż w wieku 60 czy 65 lat. Musiałaby zacząć się od płac, bo niskie płace dziś oznaczają niskie składki i niskie emerytury jutro; od etatów, bo fikcyjne samozatrudnienie i śmieciowe formy pracy nie są folklorem rynku, tylko dziurą w systemie zabezpieczenia społecznego; od usług publicznych, bo zdrowie pracownika po sześćdziesiątce zależy od tego, czy przez całe życie mógł się leczyć, odpoczywać i mieszkać po ludzku; wreszcie od opieki, bo kobiety przez dekady wykonują pracę, bez której państwo by się przewróciło, a potem słyszą, że ich emerytury są niskie z przyczyn matematycznych. Matematyka jest tu prawdziwa, ale polityczna bezczelność Fejferów też.

Najbardziej irytujące w tej debacie jest udawanie, że podwyższenie wieku emerytalnego to reforma techniczna. Nie, to jest reforma życia, bo dotyczy tego, ile lat człowiek musi pozostawać do dyspozycji rynku, zanim będzie mógł powiedzieć: już wystarczy. Dotyczy tego, czy ostatnie w miarę zdrowe lata ma spędzić z wnukami, książką, działką, znajomymi, w spółdzielni, na spacerze i w odpoczynku, czy jeszcze w grafiku. Dotyczy tego, czy po dekadach pracy człowiek ma mieć prawo do czasu, który nie musi się opłacać nikomu poza nim samym.

Oczywiście, starzenie się społeczeństwa jest faktem, a system emerytalny trzeba zmieniać. Oczywiście, niższy wiek emerytalny kobiet oznacza niższe świadczenia i jest problemem. Ale odpowiedź nie może polegać na tym, że państwo po raz kolejny bierze najprostsze narzędzie i wali nim po wszystkich równo, choć ludzie wcale nie żyją równo. Ktoś pracował od 19. roku życia, a ktoś od 28., ktoś miał lekką pracę, a ktoś trzy dekady harował zmianowo, ktoś miał prywatną opiekę medyczną, a ktoś czekał dwa lata do specjalisty, ktoś dożyje osiemdziesiątki w dobrym zdrowiu, a ktoś padnie chwilę po odebraniu legitymacji emeryta. Jednolity wiek emerytalny udaje równość, ale bardzo często legalizuje nierówność.

Rozsądniej – dla kogo?

Dlatego zamiast fetyszu wieku potrzebujemy rozmowy o stażu, zdrowiu i rodzaju pracy, o prawie do wcześniejszej emerytury po odpowiednio długim okresie składkowym, realnym liczeniu pracy opiekuńczej, częściowych emeryturach, krótszym czasie pracy pod koniec kariery oraz ochronie przed wypychaniem starszych pracowników na śmieciówki. Potrzebujemy też odpowiedzi na pytanie, czy gospodarka naprawdę ma dla sześćdziesięciolatków sensowne miejsca, czy tylko oczekuje, że będą jakoś trwać, byle jeszcze nie pobierać świadczenia. Można zachęcać do dłuższej pracy, ale czym innym jest zachęta, a czym innym przesunięcie mety.

Fejfer kończy wnioskiem, że wydłużenie wieku emerytalnego jest najrozsądniejszą alternatywą. Być może jest najprostsze, być może najlepiej wygląda w tabelach i najłatwiej wytłumaczyć je na konferencji. Ale rozsądek, który zaczyna się od wydłużenia pracy, a dopiero potem ewentualnie wspomina o zabezpieczeniach, jest podejrzany. W Polsce zawsze najpierw wymaga się dojrzałości od tych, którzy mają najmniej władzy nad własnym życiem. Pracownik ma zrozumieć demografię, kobieta ma zrozumieć tablice GUS, sześćdziesięciolatek ma zrozumieć budżet, tylko rynek pracy jakoś nigdy nie musi zrozumieć człowieka.

Emerytura nie jest prezentem od państwa. Jest obietnicą, że po latach pracy człowiek nie zostanie do końca życia surowcem do bilansowania systemu. Można tę obietnicę finansować lepiej, uczciwiej i mądrzej. Ale kiedy ktoś mówi, że najrozsądniej będzie pracować dłużej, warto zapytać: dla kogo najrozsądniej? Dla budżetu, tabeli, młodych roczników i ekspertów od demografii może tak, ale dla człowieka, który ma oddać kilka lat życia w imię naprawy systemu przez całe życie korzystającego z jego taniej pracy?

DAMIAN DUSZCZENKO

Matura z czapkowania

nie było prezentem dla klasy pracującej, lecz sposobem urządzenia świata tak, aby robotnik miał blisko do pracy, do sklepu, do szkoły dla dzieci i do instytucji, które utrzymywały go w tym samym porządku.

Można było z tego zrobić pytanie o to, jak działało osiedle fabryczne i jakie miejsce zajmowało w życiu robotników, bo ten sam plan pozwalał opowiedzieć zarówno o realnych udogodnieniach, jak i o zależności człowieka od zakładu, właściciela, mieszkania, sklepu, szkoły i całej codzienności zorganizowanej wokół fabryki.

Można było zapytać maturzystę, czy paternalizm przemysłowy był formą opieki społecznej, czy raczej elegancko urządzonym systemem kontroli nad pracownikami. Arkusz wybrał jednak wygodniejszą drogę i zamiast otworzyć spór, kazał uczniowi potwierdzić gotową tezę o dobrym właścicielu.

W tym samym sezonie maturalnym na języku polskim pojawił się Cezary Baryka i jego polemika z poglądem komunistów. To także jest bardzo wygodne. „Przedwiośnie” można czytać jako opowieść o kraju, który po odzyskaniu niepodległości nie potrafi odpowiedzieć na biedę, chaos, przemoc i społeczne rozczarowanie. Na maturze zostaje z tego bezpieczne ćwiczenie z rozpoznawania błędu komunistów. Baryka ma powiedzieć, że klasa wyniszczona nędzą i chorobami nie może stać się siłą odrodzenia. Uczeń ma rozpoznać pogląd, nazwać go i przejść dalej.

W połączeniu z zadaniem o Księżym Młynie układa się z tego znajoma szkolna opowieść. Fabrykant zostaje pokazany jako opiekun. Komunizm zostaje pokazany jako naiwna lub groźna pomyłka. Robotnik pojawia się jako ktoś, komu można wybudować dom, albo jako ktoś, kogo polityczne ambicje należy zakwestionować. Z takiej lekcji znika poważna rozmowa o pracy, zależności, własności i konflikcie społecznym.

Uczeń nie dostaje materiału do samodzielnego rozważenia, lecz zostaje poprowadzony w stronę interpretacji, którą ma tylko potwierdzić: przy Księżym Młynie ma zobaczyć troskę właściciela, przy Baryce ma rozpoznać błędy komunistycznej wiary w klasę robotniczą.

Najgorsze jest to, że materiał był naprawdę dobry. Księży Młyn pozwala opowiedzieć o industrializacji, urbanizacji, przemocy ekonomicznej, awansie cywilizacyjnym i narodzinach nowoczesnego miasta. „Przedwiośnie” pozwala rozmawiać o rozczarowaniu państwem, o rewolucji, o nędzy i o tym, dlaczego radykalne idee w ogóle zdobywały posłuch. Oba przykłady mogłyby służyć do uczenia myślenia. W arkuszach posłużyły raczej do porządkowania głów.

Matura ma sprawdzać dojrzałość. W tej sprawie sprawdzała raczej, czy uczeń umie rozpoznać bezpieczną interpretację. I czy przypadkiem nie jest lewakiem.

W Polsce nadal mówi się, że pracodawca „daje pracę”, jakby rozdawał jałmużnę. Nadal mieszkanie potrafi być narzędziem zależności i władzy. Prawa pracownicze traktuje się jak przeszkodę w rozwoju, a nie jak zdobycz ludzi, którzy nie chcieli żyć wyłącznie z łaski silniejszych. Dlatego Księży Młyn nie powinien być szkolną laurką dla fabrykanta, lecz lekcją o tym, jak kapitał potrafił urządzać całe życie człowieka.

W kluczu odpowiedzi zmieści się troska właściciela. W prawdziwej historii mieści się znacznie więcej. Praca, zależność, dyscyplina, bieda, awans, kontrola, bunt i pamięć o tych, którzy stali po drugiej stronie fabrycznej bramy. Matura wybrała z tego najgrzeczniejszą wersję. Pan fabrykant był dobry, komunizm był be, a uczeń miał dostać punkt za to, że zrozumiał, czego szkoła oczekuje.

DD

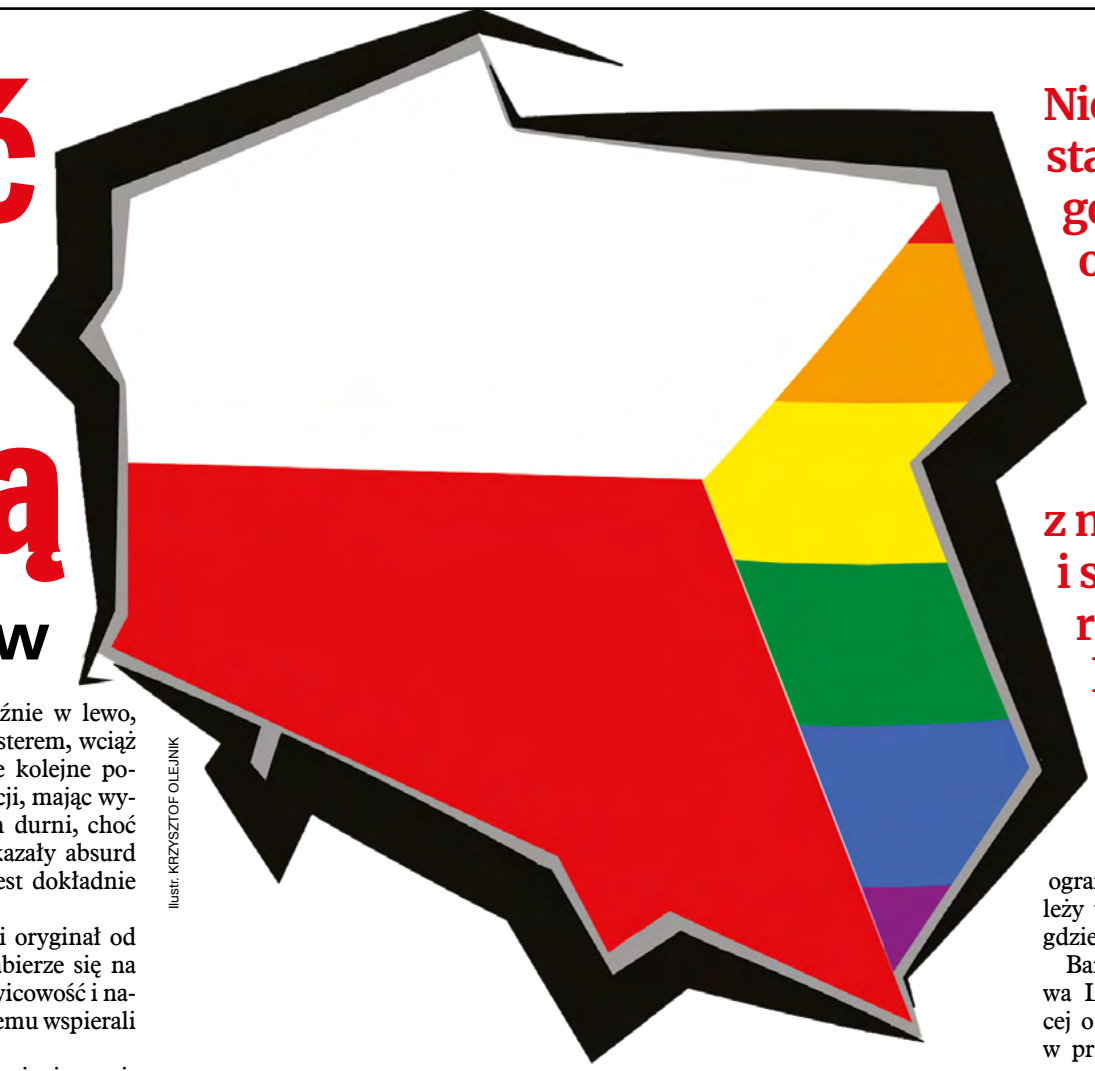


Rys. MIROSŁAW HAJNOS

eprasa.pl dedb5134a1

Utęczowić ścianę wschodnią

Strategia dla elgiebetów



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Nie można poprzestać na tym, aby geje i lesbijki ograniczali się do konsumpcyjnej orgii wielkomiejskiej, przecież nie wszyscy z nich to artyści i studenci, są też rolniczki, budowlańcy czy operatorzy wózków widłowych.

Elgiebety niech siedzą cicho jak mysz pod miotłą, bo jak zaczną domagać się jakichkolwiek praw, to społeczeństwo się wkurzy i zagłosuje na PiS oraz dwie Konfederacje: jednopłciowej pary liderów Mentzena i Bosaka oraz solisty Brauna – takie głosy nadwiślańskich liberałów pojawiają się w przestrzeni medialnej. Głosy te brzmią na wskroś fałszywie

Liberalny krzykacz

Najgłośniej krzyczy znany obrońca niezawisłych sądów Marcin Matczak, bełkocząc na łamach „Wyborczej", że kwestia transkrypcji małżeństw homoseksualnych „jest dla prawicy darem". Jakby tego było mało, przeciwstawia gejów i lesbijki samotnym matkom, których jest więcej. Wyjaśnia to w charakterystyczny dla siebie bezczelno-manipulatorski sposób: „Pary jednopłciowe mają siebie nawzajem, nawet bez transkrypcji aktu małżeństwa. Kogo mają samotne matki? Tymczasem media liberalne poświęcają tygodnie na debatę o transkrypcji, nie na temat komornika, który nie może ściągnąć alimentów od ojca pracującego w Niemczech. Nie chodzi mi o hierarchię godności, ale o hierarchię zaniedbania. I o to, czy zagadnienia promowane w debacie publicznej dają paliwo skrajnej prawicy, czy jej to paliwo odcinają".

Tak się jakoś składa, że podejście Matczaka wdraża miłościwie panująca uśmiechnięta koalicja pod światłym przewodem Donalda Tuska praktycznie od początku swych rządów. Doszło nawet do tego, że na łamach „Kultury Liberalnej" wprost napisano, że Tusk „nie walczy już z prawicową falą. Zaczyna ją współtworzyć". Premier jest jak Habsburgowie, o których mówiono, że niczego nie zapominają (patrz: zawziętość wobec Kaczyńskiego) i niczego się nie uczą.

Człowiek, który zdobył władzę, żeglując Koalicją Obywatelską (w warstwie ideologicznej) wyraźnie w lewo, jest jak okręt z zepsutym sterem, wciąż idzie w prawo. Przejmuje kolejne postulaty PiS-u i Konfederacji, mając wyborców za patentowanych durni, choć wybory prezydenckie pokazały absurd tego podejścia. Rezultat jest dokładnie odwrotny od zakładanego.

Po pierwsze, każdy woli oryginał od marnej kopii, nikt nie nabierze się na triki nawróconych na prawicowość i nacjonalizm, którzy chwilę temu wspierali Strajk Kobiet.

Po drugie, postulaty skrajnej prawicy stają się głównym nurtem polityki. Prawicowcy myślą sobie: a więc jednak mieliśmy rację, skoro druga strona przejmuje nasze hasła. To może inne hasła Bosaka czy Brauna są słuszne, nawet jeśli dotąd KO jeszcze ich nie przejęła?

Tymczasem to, czego trzeba siłom postępowym, to nie jest chodzenie na paluszkach wobec zaplutych karłów reakcji, lecz strategia oryginalna ruchów praw człowieka, która zwykła przynosić – mówiąc językiem biblijnym – stukrotny plon.

Śladem pastora Kinga

Kiedy w latach 60. XX w. pastor Martin Luther King junior walczył o pełnię praw dla Czarnych, co dziś wydawać się by mogło paradoksem, nie uznawał, że jego prawdziwymi wrogami są jawni rasiści. Wręcz przeciwnie, w jakiś pokrętny sposób obiektywnie – a zatem bez własnej woli – stali się oni jego sojusznikami.

Pastor King zżymał się na dobrotliwych białych liberałów pełnych jakoby empatii i poczucia wyższości wobec ciemniaków z Tennessee. O nich właśnie śpiewał lewacki bard Phil Ochs w piosence „Love me I'm a Liberal", że kochają Portorykańczyków i Czarnych, chyba że ci wprowadzą się do sąsiedztwa. I żeby nie mówić o rewolucji, bo to niefajne. Ich odpowiednikiem nad Wisłą są wszystkie Matczaki i im podobne persony.

King sprzeciwiał się tym wszystkim światłym i umiarkowanym liberałom, którzy do znudzenia powtarzali: bądźcie sobie Czarnymi, ale nie afiszujcie się z tym, nie dążcie do konfrontacji z rasistami, bo większość społeczeństwa tego nie zaakceptuje i dostaniecie etykietę radykałów i rozrabiaków, co zaszkodzi waszej sprawie.

Ruch praw obywatelskich postępował zdecydowanie. Na manifestacje specjalnie wybierano takie hrabstwa, które znane były z brutalności policji, aby chwycić byka za rogi. King liberałów stawiał pod ścianą: albo jesteście z nami, albo z tymi bezwzględnymi rasistami. Trzeciej opcji, łagodzącej spór, nie było, choć niejeden amerykański Matczak jej usilnie pragnął.

Wszyscy liberałowie i zwolennicy złotego środka i umiaru, tzw. kompromis stawiają ponad rozum. Dumają, że jeśli facet chce kobietę zgwałcić i pobić, a kobieta chce tego uniknąć, to rozsądnym rozwiązaniem będzie, gdy ofiara będzie „tylko" zgwałcona lub pobita.

Kiedy wiele osób pamięta byłemu abp krakowskiemu Markowi Jędraszewskiemu słowa o „tęczowej zarazie", zapomina się, że klecha wypowiedział je po białostockim Marszu Równości w 2019 r. Wtedy środowiska nacjonalistyczne i kibolskie niesprowokowane zaatakowały manifestantów i policję. Nieszczęsny PiS zobaczył wyraźne granice swojej homofobii: można gejów czy osoby niebinarne lżyć i wyśmiewać, ale nie sposób poprzeć ludzi wszczynających burdy, gdy ma się słowo „prawo" w nazwie partii. Jedna rzecz to odmawiać jakiejś grupie (to nie ludzie, to ideologia – jak rzekł były prezydent Duda) podstawowych praw, inna – pochwalać przemoc wobec niej.

Ciekawe, jak zareagowali respondenci, pytani o to, kto był winien białostockiej zadymie. Organizacje LGBT wskazał prawie co czwarty respondent, lecz więcej badanych wskazało na narodowców (34,3 proc.), rządzący PiS (28 proc.) czy Kościół katolicki (26,1 proc.).

Front wschodni

Doskonale zdaję sobie sprawę, że łatwiej być elgiebetem w stolicy czy we Wrocławiu niż w Białymstoku, nawet nie wspominając wsi pod Lublinem. Trzeba jednak wiedzieć, że nie jest najlepszą opcją, by osoby te uciekały ze ściany wschodniej, aby emigrowały w swej masie do dużych miast na zachodzie. To, co jest zrozumiałe indywidualnie, systemowo tylko powiększa problem.

W wojnie o podstawowe prawa człowieka społeczność elgiebetów i jej sojusznicy powinni czym prędzej otworzyć front wschodni.

Prawo do miłości nie może być ograniczane, a uderzać homofobów należy tam, gdzie ich najbardziej zaboli, gdzie czują się najmocniejsi.

Bardzo przemawia do mnie postawa Lu Olszewski, aktywistki walczącej o reprezentację osób niebinarnych w przestrzeni publicznej. Zwraca ona uwagę, że 60 proc. elgiebetów ma objawy depresji, co wynika w dużej mierze z braku społecznej (w tym rodzinnej) akceptacji.

Lu opowiada się za „radykalną bezpośredniością": „obnażamy świat takim, jakim on dla nas jest: opresyjnym, dyskryminującym, odzierającym nas z człowieczeństwa, pchającym w depresję, stany lękowe, a czasami popychającym do samobójstwa. W skrócie mogę to zmieścić w jednym zdaniu: jeśli my nie możemy spać spokojnie, bo otaczający nas świat jest dla nas ekstremalnie nieprzyjazny, to osoby spoza naszej grupy też nie powinny mieć luksusu lekkiego snu".

Artysta reggae Peter Tosh przed laty śpiewał, że wszyscy wołają o pokój, a nikt nie woła o sprawiedliwość. A idzie o sprawiedliwość i równe prawa. Inaczej, jak mawiał jeden z najsłynniejszych Białostoczan, niejaki Kononowicz, nie będzie niczego.

Dopóki pożądane zmiany nie zostaną osiągnięte, należy całą energię skierować na Podkarpacie i Lubelszczyznę, bastiony polskiego prawego BBC (Brauna, Bosaka i Czarnka)… Mięczaki skamlą w Warszawie o transkrypcję małżeństwa zawartego za granicą, twarde sztuki żądają natychmiastowych ślubów elgiebetów w białostockim Urzędzie Stanu Cywilnego!

KAT

Loteryjka genowa

Bodajbyś cudze dzieci...



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Karol Darwin nie znał testów DNA, laboratoriów genetycznych, adwokatów rozwodowych ani prywatnych detektywów siedzących z teleobiektywem pod blokiem na nowym osiedlu. A jednak gdyby przeszedł się po Polsce roku 2026, prawdopodobnie uznałby, że z człowiekiem przez ostatnie dwa stulecia nie wydarzyło się nic szczególnie wielkiego. Samiec nadal boi się dokładnie tego samego, czego bał się jego praprzodek biegający z włócznią po sawannie – że poświęca czas, energię i pieniądze na wychowanie cudzego potomstwa.

Tylko matka jest pewna

Biologia nie zna pojęcia miłości romantycznej. Nie obchodzi jej, kto komu kupił mieszkanie, kto wziął kredyt, kto chodził z dzieckiem do lekarza i kto płacił za korepetycje z matematyki. Biologię interesuje tylko, czy nasz własny materiał genetyczny poszedł w świat.

Z tej właśnie logiki bierze się zazdrość seksualna. Psychologowie ewolucyjni powtarzają, że u mężczyzn zazdrość seksualna jest statystycznie silniejsza niż u kobiet, bo tylko samiec przez setki tysięcy lat żył z fundamentalną niepewnością. Kobieta wiedziała, że dziecko jest jej. Mężczyzna nigdy nie miał takiego luksusu. Mógł wierzyć, kontrolować i eliminować konkurencję, ale pewności nie miał nigdy.

Dziś tę pewność sprzedaje wolny rynek i zarabia na niej więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Kiedy bowiem facet zaczyna podejrzewać, że dziecko może nie być jego, wchodzi w przestrzeń, gdzie kończy się psychologia, a zaczyna biznes. Laboratoria, detektywi, kancelarie, mediacje, rozwody, alimenty, ekspertyzy biegłych, badania prenatalne, sądowe zabezpieczenia materiału genetycznego, prywatni analitycy i firmy reklamujące się sloganami w rodzaju: „Prawda ukryta jest w DNA".

A wszystko zaczyna się od liczby, która od lat krąży niczym miejska legenda: 8 proc., czasem 10, bo internet głosi wszak, że „co dziesiąty ojciec wychowuje nie swoje dziecko". A nawet idzie jeszcze dalej i podaje 20 proc., 30 proc., a na najbardziej rozgrzanych forach nawet 60 proc.

Tyle że nauka z tym medialnym folklorem ma spory problem. Polscy genetycy, którzy przez lata byli cytowani jako źródła takich danych, wielokrotnie mówili: „Nie znam takich badań". Profesorowie genetyki przypominali, że nikt w Polsce nie przebadał reprezentatywnej próby setek tysięcy rodzin. Nie istnieje państwowy rejestr biologicznego ojcostwa. Nie istnieje żaden narodowy program badania zgodności DNA dzieci z ojcami wpisanymi do aktów urodzenia. Istnieje natomiast coś znacznie bardziej opłacalnego – lęk. A ten daje najwięcej kasy, gdy można go zamknąć w procentach.

Najbardziej znane polskie dane, o których mówią genetycy, pochodzą jeszcze z dawnych badań akademickich. Jedno z nich, prowadzone na 211 rodzinach we Wrocławiu, dało wynik około 0,5 proc. przypadków niezgodności ojcostwa. W innym badaniu przeprowadzonym na grupie 500 dzieci w Bejscach nie znaleziono ani jednego przypadku biologicznej niezgodności. Z drugiej strony laboratoria komercyjne od lat pokazują, że wśród mężczyzn, którzy sami zgłaszają się na badania, odsetek wykluczeń ojcostwa potrafi wynosić 20, 25, a nawet 30 proc.

I tu właśnie zaczyna się największa manipulacja, bo te 20–30 proc. nie oznacza, że tyle dzieci w Polsce wychowują niebiologiczni ojcowie. Oznacza jedynie, że tylu mężczyzn spośród tych, którzy już mieli silne podejrzenia, miało rację. To dokładnie ten sam mechanizm, jakby badać raka tylko wśród ludzi, którzy przyszli do onkologa z guzem wielkości jabłka, a potem

eprasa.pl dedb5134a1

Po 4 czerwca 1989 r. wszystko się zmieniło. I to jak!

Zdobycze niepodległości

Jeszcze niedawno wydawało się, że jeśli jest w Polsce coś trwałego i niezmiennego, to nie konstytucja, nie system podatkowy i nawet nie kolejki do lekarzy, ale flaszka na stole. Stała jak pomnik, niewzruszona, obok sałatki jarzynowej i talerza wędlin, jako element narodowej tożsamości równie oczywisty jak narzekanie na władzę. Tymczasem okazuje się, że Polacy, naród przez dekady opisywany jako pijący, zaczynają zachowywać się w sposób dalece nieodpowiedzialny wobec własnej legendy. Bo oto – jak wynika z badań – co czwarty mieszkaniec kraju nie kupuje alkoholu w ogóle.

Spadające procenty

Nie jest to chwilowy kaprys ani jednorazowa fanaberia wywołana ceną masła czy nagłym przypływem zdrowego rozsądku. Dane pokazują bowiem, że to trwały trend. Rynek alkoholu, wart w Polsce ponad 50 mld zł rocznie, wciąż pozostaje największą kategorią na rynku spożywczym, ale od lat w ujęciu ilościowym sprzedaż spada.

Najlepiej widać to w liczbach, bo przed Wielkanocą 43,8 proc. badanych deklarowało, że wyda na alkohol do 150 zł. Z kolei ci, którzy zapowiadali większe wydatki, ograniczyli promilowy budżet nawet o połowę. Zamiast kupić butelkę za 350 zł, kupowali taką za 49 zł. Jeszcze ciekawsze jest jednak to, że około 22,4 proc. Polaków nie wydało na alkohol ani złotówki i nie zmieniło tej decyzji mimo świątecznej atmosfery. Leci sprzedaż wódki i wina – o kilka procent rocznie, ale spada.

Ale to, co się dzieje z piwem, to katastrofa. W 2025 r. w Polsce wyprodukowano 33 060 425 hektolitrów piwa, co oznacza spadek o 4,45 proc. rok do roku. Sprzedaż wyniosła 32 120 059 hektolitrów, czyli o 5,88 proc. mniej niż wcześniej. Po uwzględnieniu eksportu i importu krajowa konsumpcja spadła do 30 508 145 hektolitrów. Jeszcze kilka lat temu takie liczby wywołałyby panikę, dziś są już tylko kolejnym potwierdzeniem trendu, który branża próbuje zaklinać sloganami o „nowej jakości" i „świadomej konsumpcji".

Ale jeśli ktoś myśli, że Polacy przestali pić, to jest w błędzie. Polacy przestali pić alkohol. Zamiast tego zaczęli pić jego imitację. Piwo bezalkoholowe, które jeszcze niedawno było traktowane jak dowcip, dziś rośnie w siłę. W 2025 r. jego sprzedaż wzrosła o 9,41 proc., osiągając poziom 2 787 312 hektolitrów.

Jeszcze bardziej niepokojące dla producentów są dane dotyczące zmian pokoleniowych. Generacja Z pije nawet o 87 proc. mniej alkoholu niż starsze roczniki. To już nie jest trend, to jest cywilizacyjna zapaść dla całego sektora, który przez dekady budował swoją potęgę na przekonaniu, że młodzi ludzie zawsze będą chcieli się złoić browarem. Tymczasem oni wolą dziś siłownię i aplikacje monitorujące sen.

Pozostaje jeszcze pytanie, co zrobi państwo, kiedy odkryje, że jego obywatele przestali finansować jedną z największych kategorii podatkowych? I wtedy może się okazać, że najtrudniejsze dopiero przed rządem. Bo łatwiej było Polaków nauczyć pić, niż oduczyć ich nie pić.

Odseksowienie

To, że pijemy coraz mniej, to i tak jeszcze nic. Polska bowiem przestaje uprawiać seks. Jeszcze pod koniec XX w. przynajmniej raz w roku współżycie deklarowało około 86 proc. dorosłych obywateli. Dziś jest to około 70 proc. Z seksualnej mapy Rzeczypospolitej zniknęło mniej więcej co szóste łóżko. Niby mebel stoi, ale funkcjonalnie coraz częściej mamy do czynienia z miejscem do scrollowania smartfona, leczenia kręgosłupa i sprawdzania, czy kredyt hipoteczny znowu nie pożarł wypłaty.

30 proc. kobiet współżyje kilka razy w miesiącu, 23 proc. raz w miesiącu albo rzadziej, a 11 proc. kilka razy w tygodniu. U mężczyzn też nie ma triumfalnej szarży ułańskiej, bo 34 proc. deklaruje seks kilka razy w miesiącu, 25 proc. raz w miesiącu albo rzadziej, a 14 proc. kilka razy w tygodniu. Za to rośnie kategoria najuczciwsza, czyli „nigdy". Tak odpowiedziało 36 proc. kobiet, podczas gdy w 2020 r. było ich 26 proc., oraz 24 proc. mężczyzn, gdy cztery lata wcześniej było ich 16 proc. Największy odsetek nieaktywnych seksualnie jest wśród 18–24-latków oraz osób po 65. roku życia. Młodzi nie zaczynają, starzy kończą, a w środku jeszcze coś tam ledwo zipie.

Oczywiście można powiedzieć, że liczy się nie ilość, tylko jakość. Tylko że tu też nic nie błyszczy. Zadowolenie z życia seksualnego spadło z około 68 proc. w 2011 r. do około 46 proc. obecnie. A nawet tam, gdzie coś się dzieje, dzieje się nierówno. Według raportu 80 proc. mężczyzn osiąga orgazm podczas stosunku, a kobiet – tylko 50 proc. 14 proc. kobiet deklaruje, że chciałoby osiągać orgazm częściej.

Prof. Zbigniew Izdebski mówi, że od 1997 r. do lat 2020–2021 aktywność seksualna polskiego społeczeństwa spadła o około 10 punktów procentowych, ale jeszcze ciekawsze jest jego zdanie, że satysfakcja Polaków wynika w dużej mierze z tego, iż jesteśmy dość mało wymagający w relacjach intymnych. Bo Polak potrafi cieszyć się byle czym. Byle jaką pensją, byle jakim mieszkaniem, byle jakim państwem, byle jakim lekarzem za dwa lata, więc dlaczego miałby nagle w sypialni urządzać rewolucję seksualną?

Dr Andrzej Depko dokłada do tego rzecz najbardziej prozaiczną: zmęczenie. „Przemęczony organizm potrzebuje wypoczynku, a nie dodatkowego wydatku energetycznego" – tłumaczy. I jest to pewnie najbardziej antyromantyczne, ale też najuczciwsze zdanie o polskim seksie. Człowiek po 10 godzinach pracy, dwóch godzinach korków, godzinie w sklepie i wieczornym kontakcie z dziennikiem elektronicznym dziecka nie staje się tytanem seksu.

Największy problem jest jednak z młodymi, bo to oni mieli przecież uratować wszystko. ZUS, rynek pracy, mieszkalnictwo, konsumpcję, kulturę, Kościół, demokrację i jeszcze populację.

Tymczasem młodzi są zmęczeni, zanim zaczęli. 60 proc. nastolatków żyje w stanie chronicznego stresu i przemęczenia, 46 proc. ma skrajnie niską samoocenę, 40 proc. wykazuje objawy depresyjne, 38 proc. doświadcza samotności, a 17 proc. ma za sobą samookaleczenia.

To nie jest pokolenie rozwiązłe. To jest pokolenie, które próbuje dotrwać do piątku.

Seks w Polsce zawsze był polem bitwy między biologią, religią, wstydem, szkołą i dowcipami seksualnymi. Teraz doszedł jeszcze rynek. Człowiek ma być atrakcyjny, sprawny, szczupły, psychicznie stabilny, zawodowo elastyczny, finansowo odpowiedzialny, emocjonalnie dostępny, komunikacyjnie dojrzały i najlepiej spontaniczny. Po spełnieniu tych warunków może łaskawie rozpocząć grę wstępną. Nic dziwnego, że część społeczeństwa wybiera sen.

Się lubi, co się ma

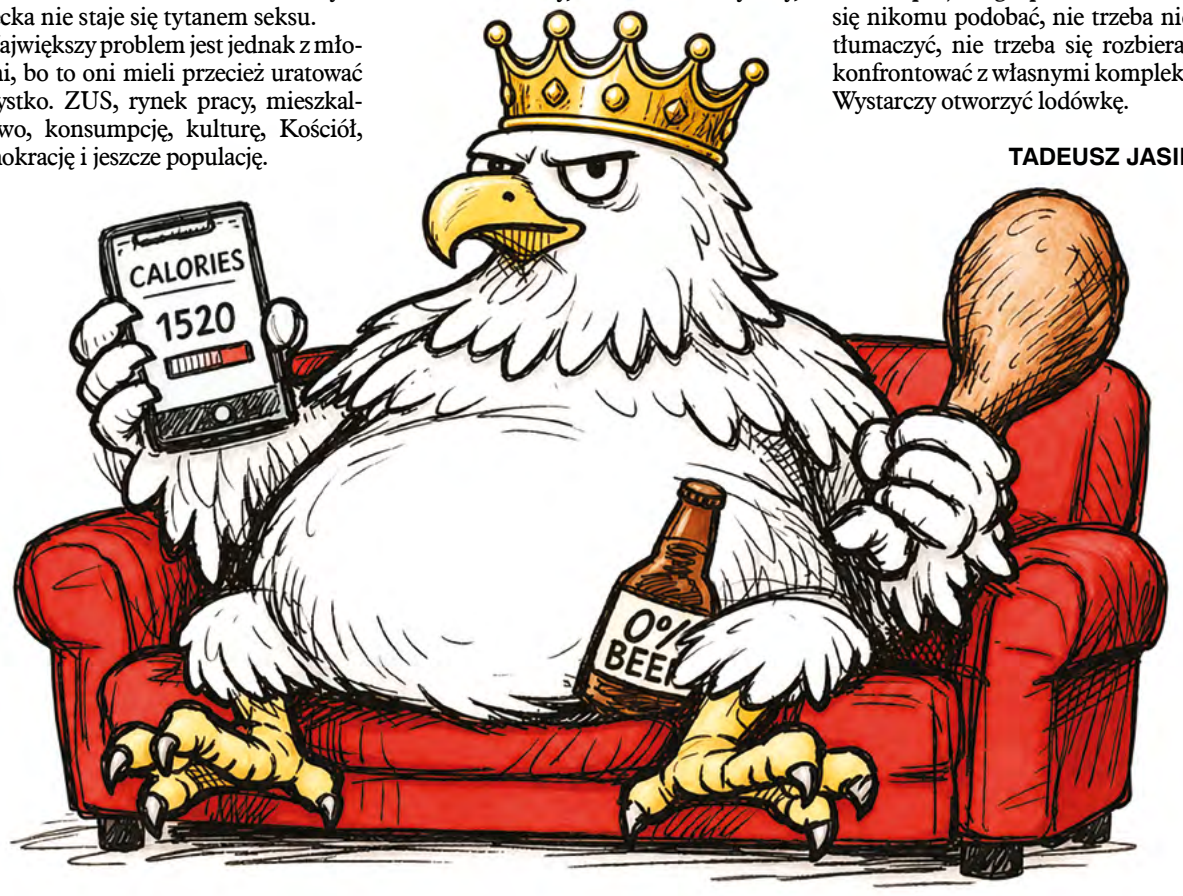
Polska przestaje pić i przestaje uprawiać seks, ale zaczęła jeść. Bo skoro z dwóch podstawowych przyjemności życia człowiek rezygnuje, to trzecia musi przejąć ich funkcję. I przejęła ją z zapałem godnym narodowego programu strategicznego.

Jeszcze w latach 60. przeciętny obywatel PRL zjadał rocznie ponad 200 kg ziemniaków, ok. 50 kg mięsa i zaledwie 5 kg ryb. W 1982 r. spożycie mięsa wynosiło 65,7 kg na osobę, a w 1983 r. – do 58,2 kg. Był to efekt kryzysu, czyli sytuacji, w której Polak chciał jeść, ale nie miał czego. Dziś sytuacja wygląda znacznie lepiej. Polak chce jeść i ma co jeść. W efekcie w latach 2022–2023 przeciętne spożycie mięsa wynosiło ok. 73–77,8 kg rocznie.

Efekt z tego taki, że w 2004 r. otyłych było w Polsce 12,6 proc. mężczyzn i 12,5 proc. kobiet. Nadwaga dotyczyła 32,4 proc. mężczyzn i 26,7 proc. kobiet. Wtedy wyglądało to jak zapowiedź problemu. Dziś mamy raport z katastrofy. Nadwagę ma 65,7 proc. dzisiejszych mężczyzn i 45,9 proc. kobiet, a otyłość dotyczy 13,6 proc. Polaków.

Jedzenie stało się więc ostatnią dostępną przyjemnością, która nie wymaga ani partnera, ani nastroju, ani energii, ani nawet specjalnego powodu. Nie trzeba się nikomu podobać, nie trzeba niczego tłumaczyć, nie trzeba się rozbierać ani konfrontować z własnymi kompleksami. Wystarczy otworzyć lodówkę.

TADEUSZ JASIŃSKI



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ogłaszać, że połowa społeczeństwa ma nowotwór.

Światowe analizy, które próbowały oszacować realną skalę zjawiska, pokazują coś innego. W badaniach obejmujących kilkanaście krajów odsetek niezgodności ojcostwa w populacji ogólnej wahał się od 0,8 proc. do około 3,7 proc. Mediana wielu analiz oscylowała właśnie wokół 3–4 proc.

Test z ojcostwa

W Polsce rodzi się rocznie niecałe 250 tys. dzieci. Jeśli realny wskaźnik wynosiłby 1 proc., oznaczałoby to około 2,5 tys. przypadków rocznie. Przy 2 proc. byłoby to 5 tys. dzieci. A gdyby prawdziwa okazała się medialna legenda o 10 proc., oznaczałoby to 25 tys. dzieci rocznie.

Gdyby rzeczywiście co 10. polski ojciec wychowywał nie swoje dziecko, czy sądy, alimenty, spadki, akty urodzenia i statystyki laboratoriów nie eksplodowałyby już dawno? A eksplozji nie ma – za to jest biznes.

Gość, który przeczyta w internecie, że co 10. facet wychowuje cudze dziecko, nie sprawdza metodologii, nie czyta artykułów naukowych i nie rozważa mediany badań populacyjnych. On wpisuje w wyszukiwarkę trzy słowa: „test na ojcostwo" i wtedy zaczyna się monetyzacja ewolucji.

W 2026 r. podstawowy test DNA wykonywany z wymazu z policzka kosztuje od 600 do 1500 zł. Standardowe oferty mieszczą się między 697 a 997 zł. Jeśli klient chce dyskrecji i nie może pobrać wymazu, laboratoria oferują badanie mikrośladów. Szczoteczka do zębów, smoczek, guma do żucia, maszynka do golenia, włos z cebulką. Cena skacze do 1100–1600 zł.

Jeśli mężczyzna nie potrafi wytrzymać i chce sprawdzić dziecko jeszcze przed narodzinami, może zlecić nieinwazyjny prenatalny test ojcostwa od ósmego tygodnia ciąży. Cenniki zaczynają się od 5000–6000 zł, ale w większych laboratoriach potrafią dojść do 7000 zł.

Kiedy wynik okazuje się negatywny, do gry wchodzą detektywi. Obserwacja partnerki kosztuje najczęściej 150–300 zł za godzinę. Osiem godzin pracy to 1200–2400 zł. Weekend obserwacji potrafi kosztować 5–7 tys. zł. Jeśli klient chce monitoring GPS, analizę mediów społecznościowych, dokumentację fotograficzną, zabezpieczenie nagrań i raport dowodowy, kończy z fakturą na 10–20 tys. zł.

Potem pojawiają się prawnicy. Pierwsza konsultacja to 300–500 zł, pozew rozwodowy – 3–6 tys. zł. Rozwód z orzekaniem o winie, walka o majątek, alimenty, dzieci, opinie biegłych, zabezpieczenia i kolejne badania genetyczne to 10, 15, 20 tys. zł, a czasem znacznie więcej.

Największą ironią jest to, że nawet jeśli realny wskaźnik wynosi tylko 1–3 proc., to biznes zarabia tak, jakby wynosił 30. Bo ewolucja stworzyła zazdrość jako mechanizm obrony genów, a kapitalizm zrobił z niej żyłę złota.

Nie własne, a swoje

Jeszcze 30 lat temu przeciętny polski facet mógł żyć w przekonaniu, że jeśli ma żonę, obrączkę, ślubne zdjęcie w albumie i dzieci zapisane na swoje nazwisko, to świat działa według prostego porządku. Dziś liczby pokazują, że rodzina w Polsce coraz rzadziej przypomina ten model. Najlepiej widać to właśnie przy dzieciach. W 2024 r. aż 28,9 proc. wszystkich urodzeń przypadło na dzieci urodzone poza małżeństwem. Na początku tego wieku było to około 12 proc. 10 lat temu – 24,2 proc. Zbliżamy się do sytuacji, w której niemal co trzecie dziecko przychodzi na świat bez ślubnego kontraktu rodziców. W ubiegłym roku ok. 16,7 tys. dzieci, czyli 9,4 proc. wszystkich urodzeń, przyszło na świat w małżeństwach zawartych dopiero po ich poczęciu. Tysiące par zatem najpierw robi dziecko, a dopiero potem zastanawia się, czy w ogóle warto coś formalizować. Ale wbrew pozorom to niewiele, bo jeszcze parę lat temu takich przypadków było ponad 27 tys. A na początku wieku nawet 35 proc. pierwszych dzieci rodziło się w małżeństwach zawieranych już po zajściu kobiety w ciążę. To pokazuje, że małżeństwo przestało być warunkiem rodzicielstwa, a skoro tak, to przestało być i gwarancją stabilności.

Patchwork – słowo, które jeszcze kilkanaście lat temu brzmiało jak import z Zachodu, dziś psychologowie traktują jako standard. Według najnowszych analiz około 13 proc. rodzin z dziećmi w Polsce to już rodziny rekonstruowane. W 2010 r. było ich około 7 proc. W 13 lat udział takich stadeł praktycznie się podwoił. A skoro rodzin z dziećmi mamy w Polsce kilka milionów, to oznacza, że setki tysięcy, a być może już ponad milion mężczyzn uczestniczy dziś w wychowywaniu dzieci, które genetycznie nie mają z nimi nic wspólnego.

I nie chodzi tu o internetowe legendy o co 10. ojcu. Chodzi o to, że kobieta rozwodzi się po paru latach. Ma dwójkę dzieci, spotyka nowego partnera i zaczynają razem mieszkać. I nagle facet, który przed chwilą był singlem, zaczyna odbierać z przedszkola pięciolatkę z pierwszego małżeństwa swojej partnerki. Zaczyna chodzić na wywiadówki chłopaka, którego biologiczny ojciec wpada raz na dwa tygodnie. Zaczyna płacić za buty, korepetycje, wakacje, dentystę i okulistę dzieci, których DNA nie znajdzie nawet w promilu jego materiału genetycznego. Psychologowie badający rodziny patchworkowe twierdzą, że nowi partnerzy rodziców wykonują tygodniowo od 8 do 12 godzin pracy emocjonalnej, czyli mniej więcej tyle samo, ile rodzice biologiczni.

A są jeszcze dzieci, które wychowuje państwo. A dokładniej ludzie, którzy w imieniu państwa przejmują rolę biologicznych rodziców. Na koniec 2024 r. w polskim systemie pieczy zastępczej przebywało dokładnie 77,3 tys. dzieci. Rok wcześniej było ich mniej. Wzrost wyniósł 2,6 proc. Z tej liczby 59,8 tys. dzieci wychowywało się w rodzinach zastępczych, a 17,5 tys. w domach dziecka. Mówiąc wprost, prawie 80 tys. dzieci nie mieszka dziś z biologicznymi rodzicami.

Ktoś je jednak codziennie budzi, kupuje im kurtki, odprowadza do szkoły, podpisuje zwolnienia z wuefu. Ktoś siedzi z nimi na izbie przyjęć, gdy mają zapalenie płuc, i bardzo często tym kimś jest facet, który nie przekazał tym dzieciom ani jednego genu. Robi dokładnie to, przed czym pierwotny biologiczny instynkt miał go rzekomo bronić.

A jest jeszcze adopcja. Kilka lat temu w Polsce adoptowano rocznie ponad 3,5 tys. dzieci. Dziś jest to mniej niż 2,5 tys. Liczba spada, tak jak spada liczba ludzi chcących mieć biologiczne dzieci. Ale nawet jeśli adopcji jest mniej, każde takie dziecko oznacza, że ktoś dobrowolnie bierze odpowiedzialność za geny, których sam nie stworzył.

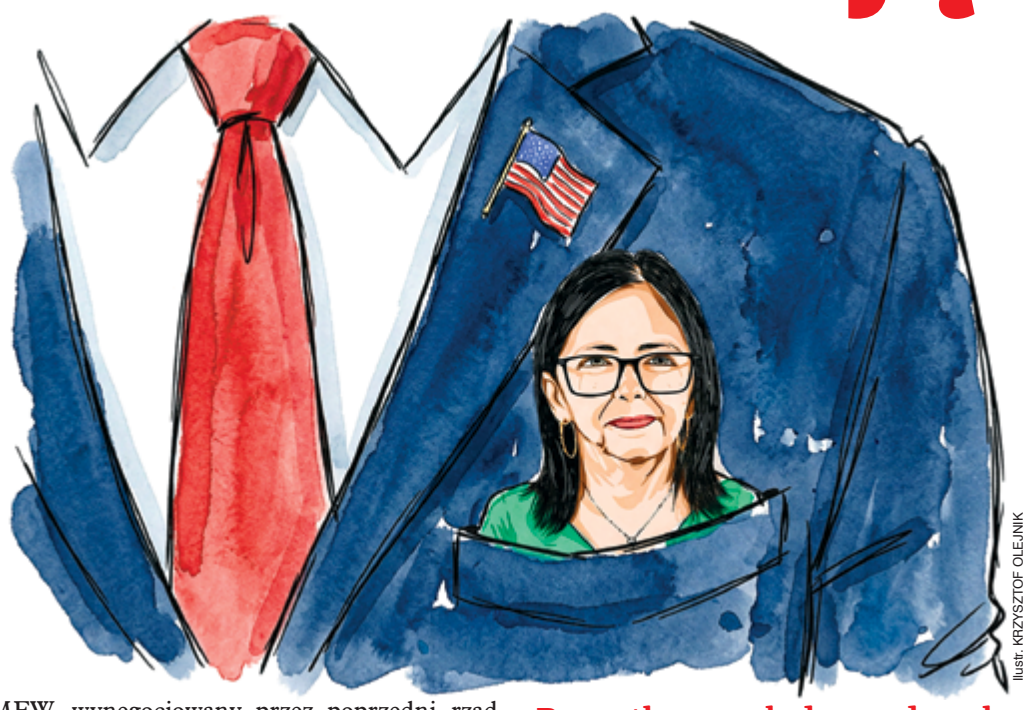
Przez lata śmiano się z hasła kojarzącego się z propagandą PRL, które mówiło, że „Wszystkie dzieci są nasze". Dziś, bez czerwonych sztandarów i pochodów pierwszomajowych, to hasło zmieniło się w rzeczywistość.

ADRIAN SIECZKOWKI

eprasa.pl dedb5134a1

Nędza przed rewolucją

Czy Wenezuelę czeka powrót do biedy, głodu i przyjaźni z USA?



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Najnowsze informacje z Wenezueli wskazują, że w przyspieszonym tempie wraca ona w orbitę wpływów wuja Sama. Niebawem kraj ten zacznie ponownie rozliczać się za pomocą systemu SWIFT i przystąpi do współpracy z Bankiem Światowym. Pod rządami Delcy Rodríguez Międzynarodowy Fundusz Walutowy, przegnany przez Cháveza i Maduro, znów uzyskał możliwości dyrygowania gospodarką Wenezueli poprzez udzielanie jej lichwiarskich pożyczek i narzucanie szkodliwych rozwiązań ekonomicznych. Tymczasowa prezydent już wystąpiła o 5 mld dol. kredytu z tego funduszu na „dobry początek".

Zmiany w kierunku neoliberalnym rzucają się w oczy. „Chávez przewraca się w grobie" – powiadają Wenezuelczycy. W istocie system chavistowski istnieje już tylko w wersji werbalnej. Delcy Rodríguez czy Diosdado Cabello wciąż na wiecach mówią o walce o niezależność, o rewolucji, o trosce o człowieka pracy, ale – jak pisze Marcos Luna, publicysta portalu Aporrea – jest to tylko „perfumowanie gówna". Nie da się zaprzeczyć, że wraca stare: wszystko to, co było przed objęciem prezydentury przez Hugo Cháveza w 1998 r.

To stare – gloryfikowane przez prawicowe media amerykańskie i latynoskie – miało jednak szkaradną gębę. Warto się tej gębie przyjrzeć, by zrozumieć, co w niedalekiej przyszłości czeka Wenezuelczyków.

Dyktatorzy i chłopcy z Chicago

Wenezuela straciła kontrolę nad swoimi złożami ropy naftowej już na początku XX w., w czasach krwawej dyktatury Juana Vicente Gómeza: prezydenta sprawującego władzę trzykrotnie, z przerwami, w latach 1908–1935. Stanowisko zawdzięczał on poparciu amerykańskich i angielsko-holenderskich koncernów.

Anglosaski biznes przez dziesięciolecia eksploatował wenezuelską ropę, początkowo płacąc państwu wenezuelskiemu zaledwie 1 centa za baryłkę; cenę podniesiono dopiero w połowie XX w. Wenezuelski przemysł naftowy był słabo rozwinięty i skazany na współpracę z amerykańskimi koncernami. Brakowało odpowiednich technologii do rafinacji ciężkiej ropy, zmniejszania jej lepkości, usuwania zanieczyszczeń etc. Pewne próby uprzemysłowienia kraju podjął prezydent Marcos Pérez Jiménez (1952–1958). Jego dziełem był kompleks metalurgiczny SIDOR w stanie Bolívar. Były to jednak działania niewystarczające.

W latach 1972–1982 wpływy z eksportu ropy stanowiły 72 proc. dochodów państwa. Na prowincji panowała bieda, która wypychała coraz większe rzesze ludności do miast, nieprzygotowanych na ich przyjęcie. W latach 1978–1985 w miastach Wenezueli wyrosły 1474 dzielnice nędzy.

Nadejście neoliberalizmu na przełomie lat 70. i 80. nie polepszyło sytuacji – a jedynie zwiększyło zależność Wenezueli od Stanów Zjednoczonych. Prezydenci Luis Herrera Campins (1979–1984) i Jaime Lusinchi (1984–1989), dostosowując się do promowanego przez USA i Wielką Brytanię modelu gospodarczego, rozpoczęli cięcia subsydiów i prywatyzacje. Na domiar złego na początku lat 80. ceny ropy na rynkach światowych spadły. Wenezuelski dług publiczny przekroczył 31 mld dol., a możni oligarchowie skupieni w Fedecámaras (Federacja Izb i Stowarzyszeń Handlowych i Produkcyjnych) wygenerowali około 10 mld dol. długu prywatnego. Bolivar stracił znacząco na wartości względem dolara i nigdy później nie zdołał się podźwignąć.

Prezydent Lusinchi konsekwentnie wdrażał pakiety zmian przewidujące m.in. dalszą dewaluację bolivara. Pod koniec lat 80. płaca minimalna w Wenezueli wynosiła 3000 bolivarów – mniej więcej połowę kwoty niezbędnej, aby utrzymać przy życiu. Tylko 55 proc. Wenezuelczyków miało zarobki pozwalające przeżyć do końca miesiąca. Głód zaczął zaglądać ludziom w oczy. W miastach odnotowano przypadki polowania na bezpańskie psy, które szły do garnka, a później na talerz.

Lud jest głodny

Na początku 1989 przejął władzę Carlos Andrés Pérez. Była to jego druga kadencja. W pierwszej (1974–1979) rządził jako socjaldemokrata: w znacznym stopniu znacjonalizował przemysł naftowy i powołał do życia przedsiębiorstwo PDVSA (Nafta Wenezuelska. Spółka Akcyjna). Druga jego kadencja miała być jednak zupełnie inna. Przyjął i zaczął wdrażać pakiet pomocowy MFW, wynegocjowany przez poprzedni rząd. Pakiet obejmował udzielenie Wenezueli pożyczki w kwocie 4,6 mld dol. na trzy lata. Pożyczka obwarowana była drakońskimi warunkami: uwolnienie stóp procentowych, uwolnienie cen produktów podstawowych, prywatyzacja, znaczące cięcia w sferze publicznej, likwidacja ceł importowych etc.

Negatywne skutki tej szokowej „kuracji" dalece przerosły „sukcesy" opiewane w mediach zachodnich. Ceny produktów ropopochodnych wzrosły o 100 proc., co generowało skoki cen w innych dziedzinach (telefony, opłaty za wodę, elektryczność, gaz, komunikacja publiczna). Skala społecznego niezadowolenia rosła, ale rząd nie zwracał na to uwagi.

27 lutego 1989 r. Wenezuelczycy dowiedzieli się o kolejnych podwyżkach cen paliw i transportu publicznego. W Guarenas, miasteczku leżącym blisko stolicy, już nad ranem rozpoczęły się gwałtowne zamieszki. Szybko przerzuciły się do Caracas. Na ulicach miasta rozjuszeni ludzie wołali: „El pueblo tiene hambre" (Lud jest głodny), „No mas engaños" (Dość kłamstw). Przewracano autobusy, demolowano i rabowano supermarkety, atakowano banki i urzędy. Oddziały policji wysłane przeciw protestującym okazały się bezsilne. Rozruchami nie kierował żaden związek zawodowy, partia czy inna organizacja. Protesty nie miały przywódców, były spontanicznym wyrazem gniewu i rozczarowania. Ogarnięta chaosem stolica została zupełnie sparaliżowana.

Rząd Andrésa Péreza zapewnił MFW, że nie zejdzie z drogi neoliberalnych reform, a zamieszki postanowił zdławić siłą. W porozumieniu z ministrem obrony gen. Italo del Valle Alliegro prezydent ogłosił godzinę policyjną i stan wyjątkowy. Pod Caracas wysłano oddziały wojska, którymi dowodził generał Manuel Heinz Azpurua. 28 lutego o czwartej nad ranem armia rozpoczęła szturm na stolicę. Żołnierze otrzymali rozkaz stłumienia rozruchów za wszelką cenę.

Początkowo władze podawały oficjalną liczbę 256 ofiar śmiertelnych; później źródła wojskowe poinformowały, że zabitych było 2227; niektórzy historycy mówią o 5 tys. W ten sposób rząd Andrésa Péreza w imię zasad wolnego rynku zamordował tysiące własnych obywateli.

Całkowity koniec zamieszek nastąpił 8 marca 1989 r. Wydarzenia te przeszły do historii jako El Caracazo.

Dwa bunty Cháveza

Nieprzejęty ofiarami rząd gorliwie przeprowadzał reformy. Sprywatyzowano wenezuelskie linie lotnicze VIASA, zakłady produkcji cukru, produkcji kawy, karmelizowania, sprzedawano sieci hoteli, cementownie i fabryki prętów. Sprzedano główną centralę telefoniczną i aktywa największego kompleksu metalurgicznego SIDOR. Prywatyzacje wygenerowały oczywiście kolejną falę bezrobocia, które objęło ponad 650 tys. osób.

Niezadowolenie udzieliło się siłom zbrojnym. W armii zawiązał się spisek, na którego czele stanął młody pułkownik Hugo Chávez Frías. Antyrządowe sprzysiężenie objęło 2056 żołnierzy – głównie zwolenników Wenezuelskiej Partii Rewolucyjnej – z 10 batalionów rozmieszczonych w stanach Aragua, Carabobo, Miranda, Zulia i Distrito Federal.

Zamach rozpoczął się nocą 4 lutego 1992 r. W stanie Zulia zbuntowani żołnierze pochwycili miejscowego gubernatora Oswalda Álvareza Paza. W stolicy zaatakowali rezydencję prezydencką La Casona i siedzibę rządu, pałac Miraflores. Zamierzali pojmać i pozbawić władzy Andrésa Péreza, ale lojalne jednostki wojskowe wystąpiły w obronie prezydenta.

Ponowną próbę obalenia prezydenta spiskowcy podjęli 27 listopada 1992 r. Zajęli siedzibę telewizji, zbombardowali lotnisko La Carlota, Pałac Miraflores i niektóre gmachy rządowe – ale i tym razem interwencja lojalnych oddziałów zniweczyła ich plany. Większość żołnierzy i oficerów zamieszanych w zamachy zbiegła do Peru, a pułkownik Chávez znalazł się w więzieniu, ale nie na długo: wkrótce uwolnił go zwycięzca wyborów prezydenckich z 1993 r. Rafael Caldera.

Caldera musiał stawić czoła licznym problemom gospodarczym. W 1994 r. nastąpił gigantyczny krach bankowy: upadło wówczas 17 banków i instytucji finansowych, pieniądze straciły 2 mln depozytariuszy. Sytuacja groziła załamaniem systemu finansowego; prezydent podjął decyzję o wykupieniu 10 banków za cenę ponad 1,2 bln bolivarów. Przyczyną tego załamania był kolejny kryzys naftowy związany z konfliktami na Bliskim Wschodzie – ale także korupcja, spekulacje i inne oszustwa przeżerające sfery finansowe. Na skutek zniesienia wszelkich barier celnych i subsydiów upadło ponad 60 tys. małych i średnich przedsiębiorstw. W takim stanie była Wenezuela przed objęciem rządów przez Hugo Cháveza.

Co dalej?

Historia kołem się toczy. Stany Zjednoczone nie mogły na dłuższą metę tolerować niezależności tak kraju bogatego w ropę naftową, złoto i inne kopaliny. Zbójecki atak z 3 stycznia zakończył budowę państwa socjalnego w Wenezueli. Łatwość, z jaką Amerykanie porwali Nicolása Maduro, jasno wskazuje, że w kręgach elity chavistowskiej zagnieździły się zdrada i tchórzostwo.

Cały czas nie wiadomo, kto połaszczył się na judaszowe dolary, a kto był po prostu tchórzem. Wiele mówiący jest fakt, że naczelny dowódca sił zbrojnych Wenezueli gen. Padrino López nie wydał rozkazu otwarcia ognia do napastników, gdyż – jak wyznał – chciał uniknąć wojny i strat w ludziach. Interesujące jest też, że Waszyngton nie zdjął sankcji z państwa wenezuelskiego, ale zdjął je prywatnie z Delcy Rodríguez. Pewne jest, że reżim tymczasowej prezydent ma już niewiele wspólnego z chavizmem. Może się zdarzyć, że kariera Delcy Rodríguez upodobni się do kariery niesławnego Carlosa Andrésa Péreza.

Co czeka Wenezuelę w nadchodzących latach? Zapewne to, co powyżej, a nawet gorzej. Zaprzepaszczone zostaną wszystkie osiągnięcia Cháveza i Maduro. Osiedla mieszkaniowe budowane przez tych prezydentów znikną z pejzażów miast, a ich miejsce zastąpią brudne, przygnębiające slumsy. Rozplenią się prostytucja i bandytyzm. Wielu ludziom zagrozi głód. Pojawią się gangi narkotykowe – ale te prawdziwe, a nie zrodzone w chorych mózgach aparatczyków CIA i DEA.

Prędzej czy później pod naciskiem amerykańskich koncernów prywatyzacji mogą ulec złoża ropy naftowej, a wówczas Wenezuela utraci całkowicie niezależność. Być może zachwieje się zaufanie do samej idei chavizmu, skompromitowanej przez obecne przywództwo. Pozostaje zagadką, jak wobec nadchodzących zmian zachowają się zwykli Wenezuelczycy.

ANDRZEJ ULMER

Operacja Epicka Nazwa

To, co mówią Amerykanie, znaczy zazwyczaj coś całkiem innego

Donald Trump nadał wojnie z Iranem nazwę Epicka Furia. Dzisiaj złośliwi przekręcają ją na Epic Failure – Epicką Porażkę.

„Epicka Furia" to bardzo ciekawe połączenie słów. Furia oznacza gniew niekontrolowany – taki, w którym człowiek traci panowanie nad sobą i swoimi czynami. „Epicka" ma z kolei dwa znaczenia. Pierwsze jest oczywiste: coś związanego z epiką. Drugie, pochodzące z języka angielskiego, oznacza coś wspaniałego, wyjątkowego, imponującego. Zatem Epicka Furia to wyjątkowy, monumentalny niekontrolowany gniew. W tym sensie nazwa przewrotnie rzeczywiście pasuje do sposobu prowadzenia operacji i zwłaszcza dyplomacji przez amerykańskie władze polityczne.

Nazwa miała wywoływać strach u Irańczyków. Ale go nie wywołała. Choć Iran rzeczywiście poniósł w pierwszych dniach wojny duże straty militarne, to jednak nie okazał strachu i – przynajmniej na razie – nie ugiął się przed amerykańską potęgą.

Od kiedy właściwie nazwy operacji wojskowych przestały mieć wyłącznie znaczenie komunikacyjne dla armii, a zaczęły nieść również propagandowy przekaz? Historia jest bardzo ciekawa i przewrotnie podsumowuje amerykańską politykę zagraniczną.

Heavy Metal dla Watykanu

Pierwsza była operacja Blue Spoon (Niebieska Łyżka). Dotyczyła inwazji na Panamę i usunięcia dyktatora Manuela Noriegi. Z Noriegą ówczesny prezydent USA George Bush senior miał spory problem, bo znali się jeszcze z czasów pracy Busha jako dyrektora CIA.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Noriega współpracował z amerykańskim wywiadem od lat 60. i wykonywał brudną robotę przeciwko latynoamerykańskiej lewicy. Później CIA pomogła umocnić jego pozycję w panamskiej juncie wojskowej, a od 1983 r. Noriega stał się faktycznym dyktatorem kraju. Jak to często bywa, genialny plan umieszczenia „swojego człowieka" na czele latynoamerykańskiego państwa szybko wybuchł Amerykanom w twarz.

Noriega zaczął się uniezależniać: współpracował z Kubą, sprzedawał zachodnie technologie krajom Układu Warszawskiego, a przede wszystkim zajmował się najbardziej dochodowym interesem – przemytem narkotyków do USA. Narkotykami zajmował się zresztą już wcześniej, ale dopóki pozostawał lojalnym współpracownikiem, Amerykanom to specjalnie nie przeszkadzało.

W 1988 r. USA oficjalnie zerwały współpracę z Noriegą, oskarżając go o handel narkotykami. Nagle przypomniano sobie również, że Noriega fałszuje wybory i represjonuje opozycję. Dodatkowo, zgodnie z decyzją prezydenta Jimmy'ego Cartera z 1977 r., Amerykanie mieli przekazać Panamie kontrolę nad Kanałem Panamskim. Mogło to wydawać się dobrym pomysłem, gdy Panama była wiernym sojusznikiem USA – gorzej, gdy zaczęła prowadzić bardziej niezależną politykę.

W 1989 r. plan inwazji był gotowy. Wojskowi nadali mu losową nazwę Blue Spoon. W ostatniej chwili administracja George'a Busha seniora zmieniła ją na Just Cause – Słuszna Sprawa. No bo oczywiście słuszne było usunięcie dyktatora, który morduje opozycję i handluje narkotykami – szczególnie wtedy, gdy przestał wykonywać polecenia CIA. Ale Just Cause po angiel-

eprasa.pl dedb5134a1

Czego USA i Izrael nie rozumieją na temat Iranu

Wieża na globalnej szachownicy

W odróżnieniu od Wenezueli Iran nie jest pionkiem. To ciężka figura. Powiedzmy: wieża. Jeśli przyjmiemy, że w globalnym starciu Iran należy do strony figur czarnych, to czarnym królem jest Rosja, a królową Chiny. Po stronie białych królem jest USA, a królową Izrael.

To tyle, jeśli chodzi o analogie szachowe. Iran nie jest też pionkiem pod wieloma innymi względami. Ma zupełnie inną mentalność: to jeden organizm społeczny, scalony kulturowo bardzo głęboką i starożytną historią oraz jednością religijną. Islam irański szkoły dżafaryckiej wyznaje ponad 90 proc. ludności. Islam ten bardzo różni się od islamu sunnickiego sąsiadów. Jest tolerancyjny dla chrześcijaństwa, judaizmu i zaratusztrianizmu. Mniejszości te są chronione i jedyne, czego nie mogą, to uprawiać prozelityzmu.

Kierowanie krajem oparte jest na doktrynie *velayat-e faqih* – władza najwyższego jurysty – gdzie na czele stoi Najwyższy Przywódca, wybierany przez Zgromadzenie Ekspertów. Obok niego funkcjonują demokratycznie wybierany prezydent i parlament. System łączy elementy religijne z instytucjami państwowymi, gdzie kluczową rolę odgrywa Rada Strażników Konstytucji.

Według UNESCO Iran ma najwyższy na świecie odsetek studentek. Kobiety stanowią około 60 proc. studentów uniwersytetów w Iranie – i blisko 70 proc. absolwentów nauk ścisłych, technologii, inżynierii i matematyki (STEM). Kobiety zajmują równe stanowiska zawodowe w STEM – głównie w dziedzinach: mechanicznej, jądrowej, ropy naftowej i gazu. Kobiety w miastach mogą – nie muszą – okrywać się hidżabem.

Iran ma bardzo dobrze rozwiniętą oświatę, medycynę i nauki stosowane. Inżynieria stoi na tak wysokim poziomie, że Rosja zamawia w Iranie generatory – zamienniki produktów Siemensa. To samo można powiedzieć o siłach zbrojnych. Są kompetentne, dobrze wyszkolone i zmotywowane.

Gdy w żydowskie święto Purim, czyli 28 lutego 2026 r. zaatakowano Iran, trwał ramadan. Izraelowi nie przeszkodziło to w zamordowaniu przywódcy duchowego kraju i uderzeniu w centra decyzyjne. W Waszyngtonie i w Jerozolimie już świętowano. Zakładano, że dekapitacja władz spowoduje upadek kraju – jak w Libii czy Syrii. Stało się inaczej. 86-letni Ali Chamenei nie szukał schronienia, nie uciekał. Wraz z nim zginęła część jego rodziny, w tym trzymiesięczna wnuczka.

Śmierć przywódcy Iranu nie przyniosła jednak Amerykanom zwycięstwa.

Agresor nie wziął pod uwagę kluczowej różnicy między Persami a Zachodem: zastępowalności. Zabitego ojca zastąpił syn, Mojtaba Chamenei. Jeśli on zostanie zabity, zaraz będzie wyłoniony inny. Struktury państwa irańskiego działają sprawnie i bez problemów w warunkach wojny.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Iran trwa – wedle doniesień – także dzięki ciągle rosnącej pomocy Rosji i Chin. Rosja przekazuje zdjęcia satelitarne, dane wywiadowcze oraz komponenty zmodernizowanych dronów Shahed o poprawionych możliwościach naprowadzania i nawigacji. Doradza w zakresie taktyki dronów. Precyzja jest tu najważniejsza. Rok wcześniej była nieosiągalna – przynajmniej w takiej skali jak obecnie. Teraz Irańczycy wiedzą, w co celować, a mają czym.

Obecna siła Iranu jest efektem pracy m.in. zabitego w Bagdadzie na polecenie Trumpa generała Solejmaniego, wybitnego specjalisty w zakresie wojny partyzanckiej, a także tych wszystkich inżynierów, mechaników, którzy zbudowali irański arsenał.

Dron Mohajer 6 – taktyczny środek do niszczenia pojazdów opancerzonych i umocnień o zasięgu 300 km. Mohajer 10 – zasięg 2000 km, czas lotu 24 godziny, ładunek o masie do 300 kg. Kaman 22 – zasięg 3000 km, zaprojektowany do zwalczania centrów dowodzenia, stacji radarowych, daleko od frontu, tonaż do 300 kg. Karrar – dron odrzutowy, głowica bojowa 225 kg. Zasięgu nie podano. Fotros – zasięg 2000 km, matka roju dronów. Może sterować celowaniem pociskami rakietowymi, czas lotu 30 godzin. Arash 2 – amunicja krążąca, namierza i niszczy systemy Patriot i radary THAAD, oślepia aktywną obronę baz. Hadid 110 – odrzutowy dron krążący niskowykrywalny, cichy, precyzyjny, 350 km zasięgu, głowica 30 kg. Meraj 521 – niewielki dron krążący, głowica do pół kilograma, używany w rojach. Azhdar – dron podwodny, zasilany litowo-jonowym akumulatorem, może bezgłośnie poruszać się z prędkością 18–25 węzłów przez okres do 4 dni. Azhdary pływają w roju i mogą wyszukiwać cele oraz namierzać je za pomocą algorytmów sztucznej inteligencji.

Iran odrobił też lekcję z poprzedniego konfliktu z USA: zakupił setki nadmuchiwanych atrap sprzętu bojowego, a na lotniskach i drogach wymalowano kształty samolotów, które są w stanie zmylić umieszczone na dronach kamery.

Innym przykładem inżynierskich zdolności Persów jest sieć tuneli pod łańcuchami górskimi, kryjąca całe miasta produkujące broń, amunicję, drony i rakiety oraz gigantyczne schrony wypełnione zapasami przewidzianymi na tę dzisiejszą wojnę. Najnowsza, najpotężniejsza amunicja amerykańska nie jest w stanie spenetrować skał granitowych na głębokość 500 metrów, bo na tej głębokości zaczynają się schrony i tunele. Amerykańskie pociski GBU-57A/MOP mogą jedynie naruszyć wejścia i płytko osadzone fragmenty tuneli. I to tylko te, o których Amerykanie wiedzą.

Pomoc Chin i Rosji nie ogranicza się tylko do wywiadu. Co potwierdza informacja o wysyłce przez Chiny do Iranu amunicji krążącej Feilong-300D w liczbie tysięcy sztuk, aby chronić wyspę Kharg. Chiny wysłały na morze omańskie okręt rozpoznawczy Liaowang-1 z trzema eskortowcami typu 055. Okręt ten jest odpowiednikiem czterech samolotów AVACS. To porównanie daje pewien obraz możliwości tej jednostki.

Iran trwa dzięki postawie milionów Irańczyków zjednoczonych w walce z agresją USA i Izraela. Naród irański stoi u boku władz. Opozycjoniści odżegnują się od popierania USA i Izraela. Wezwanie Trumpa, aby obalili rząd irański, przeszło bez echa. Kobiety irańskie ustawiają się w kolejkach, aby oddać swoją biżuterię na cele wojenne. Dla nich wszystkich Iran to święta ojczyzna.

MARIUSZ K. POMIANOWSKI

Trumpolandia

W czasie, gdy jego kraj toczy wojnę, której – ostrożnie mówiąc – nie wygrywa, Donald Trump nadal oddaje się swoim dwóm namiętnościom: budowie sali balowej i podbiciu Grenlandii, którą ostatnio nawet przestał nazywać Islandią.

Sala balowa, która – według zapowiedzi Trumpa – miała kosztować 200 mln dolków pochodzących w całości z wpłat prywatnych sponsorów, obecnie kosztuje już 400 baniek, a republikanie w senacie przepychają ustawę o finansowaniu jej z pieniędzy podatników. „Jesteśmy w ramach budżetu, poniżej budżetu i przed czasem" – ogłosił prezydent przed wylotem do Chin, bo oczywiście kwadrat na potańcówki był najważniejszym tematem przed spotkaniem z prezydentem nieprzyjaznego mocarstwa atomowego. „Cena się podwoiła" – zaoponowała reporterka MS Now Akayla Gardner, która nie dość, że jest kobietą pracującą w lewicowym medium, to jeszcze jest czarnoskóra, więc należy do ulubionych adresatów Trumpowych komplementów. „Podwoiłem jej wielkość, ty głupia osobo" – odparował błyskotliwie prezydent USA. Naszym zdaniem należy jednak docenić, że Przywódca Wolnego Świata w swych obelgach używa zgodnej z zasadami poprawności politycznej formuły „osoba", zamiast powiedzieć np. „ty głupi babsztylu".

Ale sala balowa nie jest jedyną architektoniczną obsesją Przywódcy Wolnego Świata. Ostatnio odczuwa też niezdrowy pociąg do stawu lustrzanego przed Mauzoleum Lincolna. Staw ów – żeby użyć słów prezydenta USA – był paskudnie brudny i przeciekał jak sito. „Zadzwoniłem do trzech facetów, którzy w przeszłości budowali mi baseny i powiedziałem: dajcie mi dobrą cenę. I oni powiedzieli, że mogą to zrobić za półtora–dwa miliony". Te dwa miliony już rozrosły się do trzynastu, a przy okazji „New York Times" wykrył, że jeden z „trzech facetów" dostał ów kontrakt w procedurze bezprzetargowej, która jest dopuszczalna tylko wtedy, kiedy opóźnienie związane z przetargiem spowodowałoby „poważną szkodę" dla rządu. Prezydent zareagował na publikację „NYT" cokolwiek nerwowym wpisem: „Ja nie dałem im kontraktu, »wewnętrzny« dał, wykonawcy, którego nie znam i nigdy nie używałem".

Okazało się jednak, że wykonawca – Atlantic Industrial Coatings – budował basen w należącym do Trumpa klubie golfowym w Sterling, a o jego wyborze zdecydował David Schutzenhofer, który od 2006 r. jest managerem innego trumpowego kubu: Trump National Golf Club w Bedminster. „Pan Schutzenhofer, światowej sławy lider branży hotelarskiej, nie otrzymuje wynagrodzenia i poświęca swój czas na zgłaszanie sugestii dotyczących tego projektu, ponieważ jest amerykańskim patriotą" – wyjaśniła rzeczniczka departamentu ds. zasobów wewnętrznych Katie Martin. Z kolei jej szef, Doug Burgum, przepytywany przed kongresem, jakąż to „poważną szkodę" dla rządu stanowiłoby opóźnienie w remoncie stawu, odpowiedział nieco rozpaczliwie: „Myślę, że mamy poczucie pilności, mamy w mieście 19 fontann, które nie działają". „To jest »poważna szkoda dla rządu«?" – zapytał szczerze rozbawiony kongresman Joe Neguse. Jego rozbawienia nie podziela Fundacja Krajobrazu Kulturowego, która wystąpiła do sądu o wstrzymanie prac, protestując przeciwko pomalowaniu szarego dna stawu na kolor basenu na Florydzie. Prezydent z gniewem oponuje, że nie będzie to kolor basenu, tylko „błękit amerykańskiej flagi".

Nie najlepiej idzie tej administracji także na Grenlandii. Specjalny wysłannik prezydenta Jeff Landry, gubernator Luizjany będącej jednym z trzech najbiedniejszych stanów USA, usiłował dzieciom – będącym wszak obywatelami Danii, jednego z najbogatszych krajów na świecie – wręczać ciastka z czekoladą i czapki z napisem MAGA. Chętnych nie było za dużo. Przywiózł też lekarza, który miał ocenić problemy „z dostępem do opieki medycznej", która w Danii jest publiczna i na najwyższym poziomie. Triumfalne otwarcie nowego dużego konsulatu USA w Nuuk też powiodło się nieszczególnie: setki mieszkańców wyspy zebrały się pod budynkiem, skandując „Nie znaczy nie" – hasło szczególnie złośliwe wobec faceta, który chwali się tym, że łapie kobiety za cipy bez pytania.

AWŁ



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

sku może mieć też drugie znaczenie: arogancką odpowiedź w stylu „bo tak" na pytanie „dlaczego?". I zdaniem wielu właśnie taka interpretacja dużo lepiej oddawała cele operacji.

Wojska USA Noriegę usunęły. Dyktator schronił się w nuncjaturze apostolskiej Watykanu w Panamie, ale Amerykanie ustawili przed budynkiem głośniki i przez wiele godzin puszczali heavy metal na cały regulator. W końcu zarówno dyplomaci watykańscy, jak i sam były dyktator mieli dość. Noriega się poddał, został przewieziony do USA prosto na proces przed sądem na Florydzie i skazany na wieloletnie więzienie.

Inwazja na Panamę rozpoczęła w USA erę nazw operacji wojskowych, które miały nieść propagandowy przekaz zarówno dla wrogów, jak i dla sojuszników.

Trwały burdel

W ten sposób amerykańska odpowiedź na ataki z 11 września otrzymała nazwę Operation Enduring Freedom – Operacja Trwała Wolność. I znowu historia nadała tej nazwie ironiczne znaczenie. W zamyśle operacja miała przynieść demokrację i wolność Afganistanowi oraz innym państwom wspierającym terrorystów z Al-Kaidy. Skończyła się jednak wieloletnią okupacją Afganistanu, nieudaną próbą budowy demokracji, gigantyczną korupcją i destabilizacją regionu. Ostatecznie w 2021 r. do władzy wrócili talibowie i rządzą krajem do dziś. W 2022 r. rząd talibów zakazał kobietom wychodzenia z domu bez powodu oraz krytyki władzy. Trwała Wolność trwała niecałe 20 lat.

Dwa lata po Trwałej Wolności rozpoczęła się inwazja na Irak. Pentagon nazwał ją Operation Iraqi Freedom – Operacja Iracka Wolność. Pierwotnie robocza nazwa miała brzmieć Operation Iraqi Liberation, ale według anegdoty ktoś szybko zauważył, że skrót tej nazwy tworzy słowo „OIL" – ropa. Mogło to niechcący zdradzić prawdziwy cel wojny.

Iracka Wolność skończyła się podobnie jak Trwała Wolność Afganistanu. Wojska USA stosunkowo łatwo obaliły reżim Saddama Husajna, ale z budową stabilnej demokracji było już znacznie gorzej. Krwawa okupacja kosztowała setki tysięcy ofiar po stronie Irakijczyków i tysiące po stronie wojsk koalicji. Media ujawniły także przypadki tortur i znęcania się nad więźniami. Dzisiaj Irak formalnie jest republiką parlamentarną, ale wiele organizacji międzynarodowych nadal uznaje go za państwo niestabilne i częściowo autorytarne.

Nadzieja dla Hollywood

W przeglądzie nazw amerykańskich operacji wojskowych nie może zabraknąć ulubionego kraju Donalda Trumpa – Somalii. W 1992 r. Amerykanie – tym razem w ramach większej koalicji i z mandatem ONZ – przeprowadzili operację Restore Hope (Przywrócić Nadzieję). Jej celem było zabezpieczenie dostaw pomocy humanitarnej w pogrążonej w wojnie domowej Somalii.

Operacja na pewien czas rzeczywiście pomogła mieszkańcom Somalii, ale wojny nie zakończyła. Niedługo później konieczna była kolejna interwencja ONZ. W jej trakcie somalijscy bojownicy zestrzelili amerykańskie śmigłowce Black Hawk podczas bitwy w Mogadiszu. Historię nadziei dla Somalii sfilmowali kilka lat później już w studiu Ridley Scott i polski operator Sławomir Idziak w filmie „Helikopter w ogniu".

Ponad 20 lat po operacji Przywrócić Nadzieję Somalia nadal znajduje się wśród państw o najniższym poziomie rozwoju społecznego na świecie, a Donald Trump wielokrotnie nazywał Somalię krajem zgniłym i śmietnikiem, a imigrantów pochodzących z Somalii głupimi.

Przy kreatywności amerykańskich specjalistów od PR rosyjska nazwa inwazji na Ukrainę – „specjalna operacja wojskowa" – brzmi sucho i technicznie. Tutaj jednak celem propagandy było ukrycie przed Rosjanami faktu, że ich państwo w ogóle prowadzi pełnoskalową wojnę. Po czterech latach wyniszczającej oba kraje specjalnej operacji sami Rosjanie używają tej nazwy ironicznie.

Z Putina przykład wziął prezydent Trump. Ustami szefa amerykańskiej dyplomacji Marco Rubio Amerykanie ogłosili zakończenie operacji Epicka Furia i przejście do… Projektu Pokój.

Projekt Pokój to, rzecz jasna, dalsza wojna z Iranem, ale jest to sposób na oszukanie Kongresu, że USA żadnej wojny nie toczą, bo na taką po 60 dniach Kongres musi wyrazić zgodę, a Trump prosić o nic nie zamierza.

Być może niedługo doczekamy się jeszcze specjalnej operacji pod nazwą Amerykańska Wolność, której celem będzie przywrócenie demokracji parlamentarnej w ojczyźnie demokracji.

LEON ORŁOWSKI

eprasa.pl dedb5134a1

Czy lider Reform UK naprawdę jest radykałem

Wróg liberalizmu

Klęska brytyjskiej Partii Pracy w wyborach lokalnych i strukturalny kryzys rządów Keira Starmera każą z większą uwagą przyjrzeć się człowiekowi, który dziś ma największe szanse na objęcie fotela premiera Wielkiej Brytanii.

Próbę taką podjął w „Polityce" Mateusz Mazzini, który nazwał przewodniczącego partii Reform UK Nigela Farage'a „antagonistą wszelkich form liberalizmu". To, zgoda, barwne określenie, ale czy w pełni adekwatne? Czy program Reform UK i szeroko rozumiany liberalizm to rzeczywiście zbiory rozłączne? Nie mniej istotne jest pytanie, dlaczego dziennikarze liberalnych tytułów tak bardzo starają się odciąć wszelkie ścieżki intelektualne mogące ich łączyć z liderem najpopularniejszej obecnie partii w Brytanii.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Kiedy Mazzini pisze o Farage'u jako antytezie liberalizmu, ma zapewne na myśli to, że polityk ten sprzeciwia się zjawiskom takim jak: integracja europejska i przekazywanie kompetencji państw narodowych ponadnarodowym instytucjom, otwarta polityka migracyjna, mulitikulturalizm (dziwne pojęcie; tak jakby gdziekolwiek i kiedykolwiek istniało coś takiego jak monokulturalizm), zmiany w zakresie obyczajowości, polityka tożsamościowa. W swoim słynnym przemówieniu brexitowym wygłoszonym w Parlamencie Europejskim 29 stycznia 2020 r. system europejski Farage nazwał „nie tylko niedemokratycznym, ale antydemokratycznym". Wtedy jeszcze opinie odmawiające UE miana ciała demokratycznego mogły budzić wątpliwości; dziś jednak, w dobie kolejnych sporów kompetencyjnych o najbardziej ważkie programy prowadzone w UE (SAFE, umowa z Mercosur, finansowanie Ukrainy) taka ocena wydaje się niepokojąco oczywista.

Spory wokół tych programów dotyczą mniej ich treści, a bardziej uprawnień unijnych instytucji do ich procedowania i wprowadzania. Unia Europejska, pomimo mocno ambiwalentnego stosunku jej obywateli do tego procesu, coraz bardziej się federalizuje. I im więcej kompetencji trafia z państw narodowych do unijnych instytucji, tym bardziej Parlament Europejski, Komisja Europejska i Rada Europejska walczą o to, jak te kompetencje między siebie podzielić.

Wrażenie antydemokratycznego charakteru Unii pogłębia wszechobecny lobbing wielkich korporacji, monstrualne rozmiary stanowionego prawa, które sprawiają, że obywatele gubią się w gąszczu przepisów (casus ETS), niejawność treści umów, co uniemożliwia demokratyczną deliberację nad nimi (Mercosur, SAFE). W tym kontekście pożegnalne przemówienie Farage'a jawi się jako afirmacja wartości liberalnych, zgodnie z którymi w pełni poinformowane jednostki podejmują w dobrej wierze decyzje mające w założeniu maksymalizować dobrostan wspólnoty.

„Jeśli nie możesz kontrolować swoich granic, nie możesz kontrolować swojego kraju" – to hasło z kampanii brexitowej w 2016 r. najlepiej określa politykę Reform UK dotyczącą migracji. O ile w 2016 r. mogło ono wyglądać na ekstremalne – o tyle dziś wiemy dość dużo o cieniach europejskiej polityki migracyjnej, by zrozumieć, że Nigel Farage nie mówi niczego, czego nie mówiliby najwięksi Europejczycy. „W 2023 roku granicę między Polską a Białorusią nielegalnie przekroczyło 12 tys. osób. Dzisiaj osiągnęliśmy to, o czym można było tylko marzyć. W I kwartale 2026 roku nikt nie zdołał tego zrobić" – ogłosił w połowie maja Donald Tusk, chwaląc się systemem, który „uczynił wschodnią granicę Polski najlepiej strzeżoną granicą UE".

Uznawać Farage'a za antyimigracyjnego radykała szczególnie trudno w kraju, goszczącego siedzibę Frontexu: unijnej instytucji, która przesunęła zewnętrzną granicę Europy do Sahelu i używa zakupionych od Izraela technologii, by topić łodzie z Kongijczykami na Morzu Śródziemnym.

Dodatkowo warto pamiętać, że ojciec brexitu nigdy nie odwoływał się do etnicznej kategorii narodu, co czyni z niego – w zestawieniu z działaczami kontynentalnej prawicy – polityka umiarkowanego. W sprawach migracji, choć bardzo nie chcemy tego przyznać, Nigel Farage to mainstream.

Innym wrogiem Farage'a był *the woke crowd* – zwolennicy idei, która w swych założeniach sprowadzała się do wyczulenia na niesprawiedliwość społeczną, rasizm, nierówność, dyskryminację. W 2020 r. Farage w youtube'owym kanale TalkTV zarzucił im narzucanie wszystkim „okropnego, nieliberalnego kodu". Przez te sześć lat w kwestii polityki tożsamościowej Wielkiej Brytanii zaszła istotna korekta. Wzrósł sceptycyzm wobec idei self-id czyli samookreślenia płci bez procedur medycznych, ograniczony został dostęp do terapii hormonalnych dla nieletnich. W szkolnictwie odchodzi się od obowiązkowych szkoleń DEI (*diversity, equity, inclusion*) i od nauczania najmłodszych teorii tożsamości płciowej. I znów: poglądy Farage'a w kwestii polityki tożsamościowej, które w 2020 r. mogły uchodzić za radykalne, dziś weszły do mainstreamu. Myślę, że nie bez znaczenia w tym procesie było odcięcie środków z USAID przez administrację Donalda Trumpa.

A co z koncepcjami ekonomiczno-gospodarczymi lidera Reform UK? Kiedy latem 2024 r. Partia Pracy wygrała wybory w Wielkiej Brytanii, jej lider Keir Starmer uchodził za polityka mało charyzmatycznego, ale skutecznego. Po jego rządach spodziewano się poprawy jakości usług publicznych, przyśpieszenia gospodarczego wyrywającego Królestwo ze stagnacji, stabilizacji kosztów życia, znaczącej poprawy publicznej służby zdrowia. Po dwóch latach widać, że Labour Party zawiodła nadzieje; gospodarka rozwija się niemrawo, wyborcy nie odczuwają poprawy jakości życia, NHS pozostaje przeciążony i niedofinansowany. Kredyt zaufania przyznany przez wyborców Partii Pracy się wyczerpał. Na tym bazuje partia Farage'a ze swoim zestawem neoliberalnych banałów: niskie podatki, mało regulacji, państwo „schodzące z drogi biznesowi". Farage obiecuje obniżenie i uproszczenie danin dla biznesu, ograniczenie biurokracji i zatrudnienia w służbie publicznej oraz „uelastycznienie" prawa pracy i płacy minimalnej, które obwołał czynnikami hamującymi przedsiębiorczość.

Czy zatem rację ma Mateusz Mazzini, nazywając brytyjskiego polityka „antagonistą wszelkich form liberalizmu"? Absolutnie nie: postulaty Nigela Farage'a to forpoczta i awangarda liberalizmu w deglobalizującym się świecie. Co więcej, w każdym wymiarze swojego światopoglądu Nigel Farage wydaje się klasycznym liberałem. Klasycznym, a więc XIX-wiecznym. Przepełnionym „wzniosłymi ideałami" darwinizmu społecznego i leseferyzmu.

KAMIL ŁUKASZEK

Jak prezydent Xi urządzi nam przyszłość

W lutym w tekście o skromnym – jak przystało na człowieka zdrowego psychicznie – tytule „Powiem wam, jak będzie" („NIE", nr 6/2026) wcieliłam się w Kasandrę. Nie zwiastowałam upadku Troi. Poszłam odważniej: narysowałam przyszłość naszego współczesnego świata.

Nie jestem pewna, jak Kasandra przewidywała przyszłość. Ja swoją wizję oparłam po prostu na obserwacji kolejnych faktów za pomocą kryształowej kuli. Moja teza brzmiała: Trump i Xi, obecnie dwaj najwięksi administratorzy naszej planety, nie planują ze sobą walczyć, zaczynają ją dla siebie porządkować – powstaje nowy podział świata.

Make over Wujka Sama

USA po II wojnie światowej były tytanem; dziś są jak rdzewiejący na mieliźnie transatlantyk z pozłacanymi na wschodzie i zachodzie krawędziami. Nietrudno znaleźć informacje, że mosty w Ohio wymagają pilnego remontu, metro w Nowym Jorku pamięta czasy „Taksówkarza", a sieć elektryczna grozi blackoutem – infrastruktura publiczna zdekapitalizowana, podczas gdy kampusy Doliny Krzemowej i wieżowce na Manhattanie mienią się złotem. Poziom życia zwykłych ludzi osuwa się w dół: pensje stoją w miejscu, a czynsze i ceny żywności wystrzeliły w kosmos. Szpitalny SOR bywa wekslem na tysiące dolarów, a dyplom uczelni to paragon z długiem 40 tys. dol. Słynna opoka USA – klasa średnia – zaczyna mieć dość. To nie znaczy, że Ameryka nie jest potęgą. Jeszcze jest: potęgą finansową i militarną, ale wskutek neoliberalnej, oligarchicznej polityki gospodarczej skruszała od środka.

A Chiny? Chiny wręcz przeciwnie – stały się gospodarczym gigantem i nadal rosną.

Czy to obraz pięknej amerykańskiej katastrofy? Niekoniecznie. Tylko że od tej pory wszystko ma wyglądać inaczej: tu soja, tam Tajwan. Tu fentanyl, tam chipy. Tu uśmiech i czerwone dywany, tam lista sankcyjna i cła. Globus staje się arkuszem rozliczeniowym z zakładką „strefy wpływów". Ameryka uznała, że nie chce – a raczej nie może – nadal być „żandarmem świata". Zamiast walczyć, giganci postanowili świat podzielić. Tyle że Stany zjeżdżają w dół, a Chiny pną się do góry.

W lutym zaintrygowały mnie trzy indykatory przyszłości. Chcę zwrócić na nie waszą uwagę.

Po pierwsze, spotkanie gigantów w koreańskim Busan. Trump spotkał się tam z Xi, po czym w samolocie wracającym do domu zachowywał się jak przedszkolak, któremu pani oddała kredki i jeszcze pozwoliła zjeść batona. Zadowolenie ze spotkania ocenił jako „12 na 10". Po Busan USA obniżyły część ceł, a Chiny miały przykręcić fentanyl i na rok odpuścić najnowsze restrykcje na metale ziem rzadkich.

To nie Chin trzeba się bać

Podróż z

Piotr Gadzinowski pisał, jak napchane elektroniką sprzęty codziennego użytku mogą inwigilować swoich właścicieli („Mata Hari na baterie", „NIE, nr 5/2026). Tadeusz Jasiński zauważył, że chińskie dobrodziejstwa w zasadzie otwierają puszkę Pandory, a zagrożeniem zgoła innego kalibru są amerykańskie sprzęty wojskowe („Zdani na laskę", „NIE", nr 6/2026). Ten, kto kontroluje kod źródłowy, kontroluje także broń – przypomniał Jasiński – bo elektroniką rządzi oprogramowanie. Zaznaczył przy okazji, że Izrael, robiąc zakupy obronne w USA, wynegocjował dostęp do grzebania w najczulszych bebechach systemu, a Polska – nie.

Izrael generalnie jest niezły w te klocki. Według doniesień dziennika „Haaretz" trzy izraelskie firmy stworzyły potworki, przy których chińska zabawa w szpiegów wydaje się zgoła niewinna.

W połowie lutego polskie wojsko zdecydowało o całkowitym zakazie wjazdu samochodów chińskiej produkcji na teren chronionych obiektów wojskowych. Restrykcje obejmują również zakaz podłączania telefonów służbowych do systemów multimedialnych w takich autach.

– Skoro samochód ma mikrofony, kamery i stałe łącze, staje się idealnym instrumentem wywiadowczym – argumentował w mediach gen. Maciej Materka, były szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego. Dane z chińskich aut trafiają na chińskie serwery, chiński system prawny natomiast pozwala państwu wymagać od firm współpracy z organami bezpieczeństwa…

Dajcie już spokój tym Chinom: izraelskie firmy cybernetyczne wykoncypowały lepsze systemy. Ich oprogramowania pozwalają ściągnąć informacje z pojazdów, które mają wbudowane karty SIM – czyli praktycznie ze wszystkich, bez względu na producenta (chyba że ktoś jeździ zabytkiem z szybą na korbkę). Co więcej, Izrael tę inwigilację komercjalizuje.

Jazda kontrolowana

CARINT – bo tak nazywa się świeży segment przemysłu cybernetycznego – podobnie jak Pegasus służy do inwigilowania, tyle że przy pomocy samochodów. Wszystkie firmy, które oferują tego rodzaju rozwiązania, działają na licencji izraelskiego Ministerstwa Obrony. Ich oprogramowania umożliwiają ofensywne techniki hakowania z pasywną analizą danych opartą na łączeniu i wzbogacaniu danych z wielu źródeł za pomocą algorytmów i AI.

Narzędzia ofensywne to nic innego jak oprogramowanie, które pozwala włamywać się zdalnie do systemów multimedialnych pojazdu. Zestaw głośnomówiący umożliwiają podsłuchiwanie rozmów kierowcy i pasażerów w czasie rzeczywistym. Dostęp do kamer pokładowych (wewnętrznych i zewnętrznych) pozwala na inwigilację wizualną wnętrza i otoczenia pojazdu, a także precyzyjne namierzenie lokalizacji. Ten mało subtelny system szpiegowski stworzyła firma Toka. Jej kluczowymi założycielami są Ehud Barak i Yaron Rosen. Barak to legenda w kręgach bezpieczeństwa, były minister obrony i premier Izraela w latach 1999–2001. Rosen był szefem sztabu cybernetycznego Sił Obronnych Izraela i jednym z najwyższych rangą oficerów w elitarnej jednostce 8200, która specjalizowała się w nasłuchu sygnałów, łamaniu kodów i szyfrów oraz hakowaniu. Po publikacji „Haaretz" Toka wydała oświadczenie, że nie sprzedaje już najbardziej inwazyjnej wersji swojego oprogramowania. Można jej oczywiście nie wierzyć, ale lepiej nie mówić tego głośno w samochodzie.

Rayzone Group stawia na metody pasywne. Dzięki analizie danych z karty



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl dedb5134a1

Pasterze nowego świata



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Do tego zobowiązały się wznowić zakupy soi i kupować jej w Stanach 25 mln ton rocznie, przez trzy lata. Czyli wielka geopolityka w wersji: ty mi nie blokuj dostępu do neodymu, ja ci nie podniosę cła, a farmer z Iowa dostanie swoją dolę. To już deal, nie wojna.

Po drugie, nowa amerykańska strategia obronna. Pentagon w styczniu 2026 r. napisał czarno na białym, że najpierw jest ojczyzna i cała półkula zachodnia, a Chiny w Indo-Pacyfiku trzeba odstraszać „siłą, nie konfrontacją". Dokument mówi też o „Trump Corollary to the Monroe Doctrine", czyli doktrynie Monroe'a po liftingu. Ameryka ma pilnować swojego podwórka od Chile po Kanadę i Grenlandię, a reszta świata ma przestać mieć złudzenia, że Wujek Sam będzie wszystkim wiecznie robił kanapki i nosił tornister.

Po trzecie, zniknął dawny teatr w westernowym stylu „walki dobra ze złem". Od tej pory dwóch panów siada w hotelowym barku, patrzy, ile czego komu brakuje, i zaczyna odliczać: tyle procent ceł, tyle ton soi, tyle miesięcy rozejmu, tyle milczenia w sprawie Tajwanu…

Minęło kilka miesięcy i co? Kryształowa kula nadal działa, potwierdzając moje proroctwo. Bo oto…

Przygotowania do negocjacji

W marcu w Paryżu ludzie Trumpa i Xi zrobili rzecz najnudniejszą, a przez to najbardziej podejrzaną: zaczęli budować stałe mechanizmy zarządzania konfliktem. Bessent, Greer i He Lifeng rozmawiali nie o tym, jak zakończyć spór, tylko jak go obsługiwać, żeby nie było pożaru w salonie. Reuters pisał, że rozmowy miały przygotować umowy dla Trumpa i Xi oraz stworzyć coś w rodzaju amerykańsko-chińskiej rady handlu. Przed laty taka sytuacja byłaby nie do pomyślenia.

W kwietniu widać już było wyraźnie, że Chiny też nie próżnują. Pod przykrywką rozejmu handlowego Pekin rozbudowywał własny zestaw ekonomicznych pałek na Stany: przepisy przeciw firmom uciekającym z kontrolowanych łańcuchów dostaw, ostrzejsze licencje na metale ziem rzadkich, ograniczenia dotyczące używania zagranicznych chipów AI w państwowych centrach danych, ograniczenia wobec amerykańskiego i izraelskiego oprogramowania cyberbezpieczeństwa. Reuters zauważył, że to już nie była zwykła wymiana kuksańców, tylko budowa chińskiego arsenału wpływu gospodarczego – amunicja na przyszłe rozmowy z Trumpem. Czyli: Waszyngton ma sankcje, Pekin ma licencje. Jedni mówią „bezpieczeństwo narodowe", drudzy mówią „stabilność łańcuchów dostaw". W praktyce brzmi to jak przygotowanie do brutalnej negocjacji.

Potem był maj i kolejne rozmowy w Korei. Bessent i He Lifeng spotkali się na lotnisku Incheon, jakby nie mogli już dłużej udawać, że dyplomacja odbywa się w marmurowych pałacach. Trzy godziny rozmów przed szczytem Trump–Xi. Tematy? Handel, spory gospodarcze, grunt pod spotkanie przywódców dwóch największych gospodarek świata. Lotnisko to zresztą bardzo dobra dekoracja dla nowego ładu światowego. Państwa narodowe mogą sobie mieć hymny, konstytucje i flagi, ale prawdziwa władza spotyka się w saloniku dla VIP-ów.

Zarządy nowego świata

I wreszcie 15 maja, Pekin. Trump przybywa do Chin. Pierwsza wizyta amerykańskiego prezydenta od 2017 r., luksus, blichtr i pompa. Xi mówi o „konstruktywnej stabilności strategicznej", która ma dać relacjom USA–Chiny drogowskaz na trzy lata i dłużej. W rozumieniu chińskiej dyplomacji: współpraca jako główna zasada, konkurencja w kontrolowanych granicach, „różnice zarządzalne", przewidywalny pokój. „Różnice zarządzalne"! Piękne, prawda? Tak można nazwać wszystko: wojnę klasową, mieszkanie za pół pensji, benzynę po dychu, Tajwan jako żeton w grze. Człowiek od razu czuje, że żyje w świecie eleganckim. Nie ma imperializmu, neoliberalizmu, polityków oligarchów i oligarchów jako polityków. Polityka międzynarodowa już nie jako wroga rywalizacja, a jako handel.

Po szczycie w Pekinie Biały Dom ogłosił powołanie dwóch instytucji. Rada Handlu ma zarządzać handlem „niewrażliwymi" dobrami; Rada Inwestycji – być forum międzyrządowym do spraw inwestycji i określać, gdzie komu na globie co wolno, a co należy do drugiej strony.

Oto zarządy światowej korporacyjnej polityki. To brzmi jak pisanie przez Trumpa i Xi nowej Karty Narodów Zjednoczonych. W mojej kryształowej kuli los Tajwanu w długiej perspektywie widzę jako przesądzony.

Ale na razie... Tajwan jako żeton w grze. Reuters doniósł, że Xi powiedział Trumpowi, iż złe potraktowanie kwestii Tajwanu może zaprowadzić relacje USA–Chiny w „niebezpieczne miejsce". Wyraził też opinię, że była to najostrzejsza część rozmowy. Amerykańskie podsumowanie szczytu w ogóle Tajwanu nie wymieniło. Amerykanie łyknęli tę żabę i zignorowali chińskie ostrzeżenie. To o czymś świadczy. Prawda?

Jest jeszcze ciekawiej: Trump po spotkaniu powiedział, że sprzedaż broni Tajwanowi to „bardzo dobra karta negocjacyjna". Tajwan musiał potem uspokajać sam siebie, że Amerykanie nadal będą sprzedawać broń, bo prawo ich do tego zobowiązuje, chociaż drugi pakiet, za około 14 mld dol., wciąż nie został formalnie zatwierdzony.

Hydraulicy hegemonii

Ciekawe jest też to, co dzieje się między USA i Chinami w sprawie energii w kontekście amerykańskiej napaści na Iran. W wyniku blokady cieśniny Ormuz zatrzymane zostały dostawy gazu z Bliskiego Wschodu dla Chin. Wyobraź sobie, że Trump po szczycie w Pekinie tak mocno zabiega o przychylność chińskiego partnera, iż cztery statki z amerykańskim gazem LNG płyną do Chin – tych samych Chin, które jeszcze kilka lat temu były wrogiem. To pierwsze takie bezpośrednie dostawy za drugiej kadencji Trumpa. Biały Dom ogłosił, że Trump i Xi zgodzili się też, iż Ormuz musi zostać otwarty i nikt nie może pobierać tam opłat. Wspaniale! Dwóch panów ustaliło, że strategiczna cieśnina, gdzieś daleko w świecie, ma być drożna, jakby omawiali zatkany odpływ w hotelowej łazience. Reszta świata może odetchnąć, choć jak na razie głównie ona płaci za amerykańskie ekscesy. Hydraulicy hegemonii przyjechali.

Sojusznik

A teraz najlepsze. Kilka dni po Trumpie do Chin jedzie Putin na swą 25., tradycyjną wizytę. Rosyjski przywódca przybył do Pekinu mniej niż tydzień po zakończeniu wizyty Trumpa, żeby z Xi omawiać „współpracę gospodarczą" oraz „kluczowe kwestie międzynarodowe i regionalne". Xi podczas spotkania z Putinem w Wielkiej Hali Ludowej – tej samej, w której wcześniej przyjął Trumpa – oświadczył, że dzięki strategicznej współpracy nawiązują „nowy etap" wzajemnych relacji oparty na „pogłębianiu wzajemnego zaufania i strategicznej współpracy". Ja na wszelki wypadek potraktowałabym te słowa poważnie.

I tu obrazek robi się kompletny. Xi nie musi rysować mapy, wystarczy grafik wizyt. Najpierw Trump, potem Putin. Jeden przyjeżdża po handel, drugi po tlen. Jeden chce sprzedać Boeingi i gaz, drugi chce sprzedać ropę, drewno z tajgi i resztki godności mocarstwa, które ugrzęzło w wojnie. Pekin siedzi pośrodku jak spokojny kasjer w kantorze: dolary tu, ruble tam, juany wszędzie, gdzie się da.

Czy to znaczy, że świat został już podzielony jak tort na urodzinach oligarchy? Może jeszcze nie. Nie ma przecież ogłoszonego traktatu. Są dwie rady, licencje na metale, rozejm taryfowy, Boeingi, statki LNG, chipy dla chińskiej AI, które niby wolno sprzedać, ale jeszcze nie dojechały. Tajwan staje się „kartą negocjacyjną", Ukraina omawiana jest bez Ukrainy, Europa pozostaje jaskrawo nieobecna, a Trump wycofuje z niej wojska. Obok czerwonego dywanu dla Putina na Alasce, mamy blokadę Kuby i porwanie prezydenta Wenezueli. Cieśnina Ormuz omawiana jest tak, jakby należała do działu logistyki wielkiej korporacji.

Przywódcy USA i Chin nie muszą ogłaszać: „podzieliliśmy świat"; będą mówić o stabilności strategicznej, zarządzaniu różnicami, wspólnych interesach i – jak zawsze – walce o pokój. A kiedy mocarstwa zaczynają tak mówić, my powinniśmy natychmiast sprawdzić, czy jeszcze żyjemy.

ANNA GRODZKA

Mosadem



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

SIM wbudowanej w samochód śledzi publiczne dane z systemu reklam online – tych wyświetlanych w aplikacjach samochodowych lub przeglądarkach pojazdu. Samochód podobnie jak telefon sam pobiera aktualizacje pogodowe, lokalizacyjne i reklamowe. Rayzone kupuje te same dane co setki firm marketingowych, a następnie sprytnie łączy je z innymi publicznie dostępnymi informacjami: numerami rejestracyjnymi z kamer drogowych i baz rządowych (tzw. krzyżowe porównanie) czy sygnałami bluetooth i wi-fi z telefonu kierowcy. W ten sposób potrafi określić, że konkretny samochód regularnie jeździ z domu do biura tą samą trasą, w piątki parkuje pod burdelem, a w niedziele pod lokalną parafią. Efekt? Szczegółowy profil celu, nawet wśród setek pojazdów na drodze. Rayzone chwali się, że CARINT pomaga w walce z terroryzmem i handlem narkotykami. Przy okazji pozwala profilować i śledzić opozycjonistów czy niewygodnych dziennikarzy. To tzw. wykorzystanie uniwersalne, wojskowo-cywilne. Nieco mniej spektakularne rozwiązania oferuje Ateros. Oprogramowanie firmy skupia się na rozpoznawaniu tablic rejestracyjnych i krzyżowaniu ich z danymi komórkowymi i rządowymi bazami. Krótko mówiąc, inwigilujący łączy tablicę rejestracyjną z właścicielem i billingiem telefonu. Ponoć całkiem skuteczny system w krajach z dużą liczbą kamer miejskich.

Cyberbóg z nami

Izrael sprzedaje te zabawki dokładnie tak samo jak Pegasusa i pozostałe cybernetyczne narzędzia ofensywne – przez prywatne firmy, ale pod ścisłą kontrolą państwa. Klient zainteresowany zakupem składa wniosek o licencję eksportową na konkretny kraj i konkretny system. Ministerstwo sprawdza, czy wnioskodawca nie reprezentuje terrorystów, wrogiego mu rządu oraz czy nie użyje oprogramowania do łamania praw człowieka – oczywiście w taki sposób, który zaszkodzi wizerunkowi Izraela, na resztę opuszczając kurtynę milczenia.

Izrael od wielu lat ma dominującą pozycję w globalnym rynku cybernetycznego szpiegostwa, kłopot w tym, że sam intensywnie się radykalizuje i z torów – powiedzmy – centrowych przesiada się na prawicowo-religijne.

Połączenie jednego z drugim nie wróży niczego dobrego. Według badania opinii publicznej zleconego przez kanał 12 izraelskiej telewizji w tegorocznych wyborach weźmie udział największa w historii rzesza młodych ludzi. 75 proc. z nich uważa się za wyborców prawicowych, prawie połowa popiera Binjamina Netanjahu i jego Likud oraz uważa, że oskarżenia przeciwko premierowi zostały sfabrykowane. W dalszej kolejności na popularności zyskują partie religijne. Zresztą, lider „liberalnej" izraelskiej opozycji Yapir Lapid stwierdził ostatnio, że prawo Izraela do ziemi wynika z Biblii i powinien on być tak wielki i silny jak to tylko praktycznie możliwe.

Departament Wojny kontra skrajna lewica

Żeby zrozumieć, jak niebezpieczny jest mariaż nacjonalistyczno-religijnego fundamentalizmu ze współczesną technologią, wystarczy spojrzeć na Stany Zjednoczone. W lipcu ubiegłego roku amerykańska firma Anthropic podpisała z Pentagonem umowę na rozwój i udostępnianie AI do zastosowań wojskowych (m.in. integrację z tajnymi systemami). Firma zawarła w umowie bezpieczniki. Ich system Claude nie mógł być używany do inwigilacji obywateli USA oraz obsługi wojskowych systemów, które po aktywacji przez człowieka potrafią samodzielnie neutralizować cele (w tym ludzi) bez dalszej ingerencji operatora. W lutym br. amerykański szef Departamentu Wojny

Pete Hegseth chciał wymusić na firmie usunięcie zapisów zabezpieczających. Anthropic nie uległ, wskutek czego sam został zneutralizowany. Amerykańska firma dostała status zagrażającej bezpieczeństwu narodowemu, podobnie jak chiński Huawei.

Trump nakazał wszystkim agencjom federalnym zaprzestania używania jej produktów, przy okazji określił firmę Anthropic mianem skrajnie lewicowej. W ciągu doby umowę z Pentagonem podpisał Sam Altman, dyrektor generalny Open AI.

Intencje Trumpa i Netanjahu w rozbudowywaniu możliwości cybernetycznej inwigilacji owszem, dotyczą bezpieczeństwa, ale głównie ich samych. Panika wokół chińskich gadżetów w obliczu machiny budowanej przez dwóch tyranów świata zachodniego wydaje się humorystyczna.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl dedb5134a1

Ciało duchowne

A gdyby pokusić się o duchowieństwa polskiego portret własny?

Ku naszej radości w polskim Kościele trwa proces, którego jeszcze dwie dekady temu nikt z purpuratów nie odważyłby się nazwać po imieniu. Dziś można już przestać udawać, że chodzi o przejściowy kryzys albo – jak lubią mawiać duchowni od kościelnego PR-u – „czas oczyszczenia". Jeśli bowiem z danych publikowanych przez państwo, sam Kościół i nawet miłujące katolicyzm media wynika, że liczba ludzi w sutannach i habitach spada niemal w każdej kategorii, to mamy do czynienia z hekatombą. I to w tempie, które jeszcze kilkanaście lat temu uchodziłoby za herezję statystyczną.

Równia pochyła

Pod koniec 2024 r. liczba duchownych w Polsce według GUS spadła do poziomu 24 998 osób. To pierwszy moment w historii III Rzeczypospolitej, gdy liczebność duchowieństwa zeszła poniżej psychologicznej granicy 25 tys. Rok wcześniej było ich o 945 więcej. Wśród duchownych ubyło 751 mężczyzn, czyli 3,4 proc., a wśród kobiet życia konsekrowanego – aż 194 osoby, czyli 4,7 proc. Ostatecznie rok 2024 zamknął się liczbą około 21,1 tys. duchownych mężczyzn oraz około 3,9 tys. zakonnic. I nagle okazuje się, że opowiadana wiernym przez dekady bajka o „wiecznym Kościele", który przetrwa wszystko, zderza się z matematyką.

Jeszcze ciekawsze są dane kościelne. Z „Raportu Kościoła w Polsce" wynika, że liczba księży przypisanych do diecezji i eparchii wyniosła w 2024 r. 23 274 duchownych. Rok wcześniej było ich 23 612. Oznacza to spadek o 338 księży w ciągu zaledwie 12 miesięcy. Średnio każdego miesiąca z kościelnej ewidencji znikało niemal 28 klechów, a każdego tygodnia – ponad sześciu. Najwięcej księży miała diecezja tarnowska, gdzie doliczono się 1465 duchownych. Z kolei najmniejszą diecezją, nie licząc ordynariatu polowego Wojska Polskiego, pozostawała diecezja drohiczyńska z liczbą 245 księży.

Ale nawet te dane nie pokazują wszystkiego. Bo ksiądz przypisany do diecezji nie musi pracować przy ołtarzu. W 2024 r. w parafiach pracowało 18 170 duchownych. Rok wcześniej było ich 18 553. Oznacza to spadek o 383 osoby. A skoro w diecezjalnych statystykach księży jest ponad 23 tys., a w parafiach pracuje nieco ponad 18 tys., to co z 5 tys. duchownych? Jedni otóż wykładają na uczelniach i w seminariach, inni urzędują w kuriach, jeszcze inni są na emeryturach, w szpitalach, zakonach, uczelniach albo po prostu znikają z pola widzenia wiernych.

Brutalne są dane dotyczące seminariów. Jeszcze w roku 2000 w seminariach kształciło się w nich 6789 alumnów. Dziesięć lat później było ich 4662. W roku 2020 już tylko 2556. W 2023 r. było 1039, a w 2024 już tylko 984. W ciągu ćwierćwiecza liczba seminarzystów zmalała o ok. 85 proc. I trzeba posiadać nadprzyrodzony dar ignorowania rzeczywistości, by nadal twierdzić, że „powołań nie brakuje, tylko są inne czasy".

Duchowni zresztą sami coraz mniej wierzą w opowieści o odrodzeniu ich stanu. Jeden z księży archidiecezji poznańskiej mówił mediom, że w Kościele mamy dziś „niż powołaniowy", a sytuacja „z roku na rok staje się coraz bardziej gorzka". W tym samym Poznaniu kilku duchownych zrzuciło sutanny w ciągu zaledwie dwóch wakacyjnych miesięcy. Arcybiskup nazwał to „osobistą tragedią człowieka" oraz „wielkim złem i grzechem". Tyle że grzechem, o którym Kościół nie chce mówić.

Niepotrzebni mogą odejść

Tak dochodzimy do najbardziej fascynującego elementu kościelnej transparentności. Przez dekady Episkopat publikował dane dotyczące księży odchodzących ze stanu duchownego. Podawano ilu porzuciło kapłaństwo czy ilu wystąpiło z zakonów. A potem przestano. Choć przecież Kościół publikuje niemal wszystko – liczbę parafii, seminarzystów, sióstr, zakonników, domów zakonnych, a nawet to, ilu misjonarzy pracuje za granicą. Ale ilu księży rocznie zdejmuje sutannę? Ilu zakonników odchodzi? Ilu ludzi życia konsekrowanego uznaje, że nie chce dalej żyć według ślubów? Tego już jakoś nie wiadomo. Ostatnie szerzej dostępne dane mówiły, że w 2017 r. kapłaństwo porzuciło 73 księży diecezjalnych, a średnia z lat 2000–2017 wynosiła 56 odejść rocznie. Potem zapadła cisza.

Równie nieoptymistycznie dla katolicyzmu wygląda życie zakonne kobiet. Spadła liczba domów zakonnych – z 1950 do 1926, czyli o 24 placówki w ciągu roku. Najliczniejszym zgromadzeniem pozostają służebniczki Najświętszej Maryi Panny ze Starej Wsi, których jest 773. Dalej są nazaretanki – 631 oraz elżbietanki – 598 sióstr. Ale nawet największe zgromadzenia nie są w stanie odwrócić trendu starzenia się. Coraz mniej nowicjuszek, coraz więcej emerytek w habitach i coraz mniej szkół, ochronek, szpitali oraz domów pomocy prowadzonych przez zakonnice.

W zakonach męskich sytuacja wygląda nieco lepiej, choć też trudno mówić o triumfie. W 2024 r. w Polsce było 7123 członków męskich zakonów. Najliczniejszymi pozostają redemptoryści, dominikanie i salezjanie. Problem polega jednak na tym, że i tam średnia wieku rośnie szybciej niż liczba powołań. Klasztory jeszcze wyglądają na pełne, ale coraz częściej dlatego, że są domami starców.

Tymczasem parafii przybywa. W 2024 r. w Polsce było 10 352 parafii, czyli o osiem więcej niż rok wcześniej.

A skoro liczba parafii rośnie, a księży spada, to kto ma te parafie obsługiwać za dekadę? Emeryci? Imigranci z Afryki? Czy może wierni, którym przez lata tłumaczono, że bez księdza nie da się zrobić nic?

A może właśnie da się wszystko. I to jest dla instytucji największy problem. Bo kiedy na początku XXI w. Kościół miał niemal 6800 seminarzystów, ponad 26 tys. duchownych i tysiące młodych zakonników oraz zakonnic, mógł wierzyć, że Polska jest jego naturalnym habitatem. Dziś pozostaje już tylko pytanie, którego żaden hierarcha nie zada publicznie – nie ilu jeszcze przyjdzie, tylko ilu jeszcze odejdzie?

Na wymarciu

Statystyczny polski ksiądz ma około 60 lat. To nie opinia, ale twarda średnia wieku podawana przez ludzi zajmujących się demografią Kościoła. Co gorsza dla kościelnych planistów, ten wiek będzie szybko rosnąć, bo właśnie do wieku emerytalnego zaczynają dochodzić roczniki powołaniowego boomu z początku lat 80. i 90. W praktyce oznacza to, że przez najbliższe 10 lat Kościół będzie nie tyle walczył o nowych księży, ile próbował zorganizować życie parafialne tak, by nie zawaliło się po odejściu starych.

Wiek emerytalny księdza w Polsce wynosi 65 lat, ale to tylko teoria. W praktyce duchowny przed siedemdziesiątką nadal odprawia msze, spowiada, chodzi po kolędzie, prowadzi pogrzeby i często robi wszystko to, czego nie chce już robić młodszy wikary. Emerytura nie oznacza bowiem końca pracy, a jedynie zmianę finansowania.

Przeciętny ksiądz pracujący wyłącznie duszpastersko płaci z własnej kieszeni tylko 20 proc. składki emerytalnej, pozostałe zaś 80 proc. dopłaca Fundusz Kościelny. W tym roku jest tego 272,5 mln zł. Wierny może księdzu wrzucić do koszyka złotówkę albo nie wrzucić nic, ale składka emerytalna i tak płynie – z pieniędzy podatników, bez względu na to, czy podatnik wierzy w Trójcę Świętą, horoskop, czy własny kredyt hipoteczny.

Gdy jednak duchowny już wiek emerytalny osiągnie, z początku jego świadczenie z ZUS-u nie zachwyca. Księża, którzy całe życie odprawiali msze, otrzymują zazwyczaj świadczenia w okolicach minimalnej emerytury, czyli 1878,91 zł brutto. Ale ci bardziej przedsiębiorczy, którzy byli katechetami, wykładowcami, kapelanami albo etatowymi pracownikami kościelnych instytucji, potrafią dojść do poziomu 3200–3500 zł. To jednak nie koniec, bo po ukończeniu 75. roku życia część duchownych otrzymuje dodatkowe świadczenie z funduszu w kwocie 2500 zł miesięcznie. W efekcie senior w sutannie może mieć na rękę 5 tys. zł miesięcznie oraz wikt, dach nad głową i opierunek za darmo.

Według różnych analiz przeciętny wikary w Polsce osiąga dochody od 3,5 do 5,5 tys. zł netto miesięcznie. Proboszcz w średnim lub dużym mieście zarabia od 7 do 12 tys. zł, a w bogatych parafiach kwoty potrafią przekroczyć 15 tys. Oficjalnie księża nie lubią mówić o zarobkach. Mówią raczej o „utrzymaniu" albo „ofiarach wiernych". Ale ofiara, która regularnie wpływa, przestaje być ofiarą, a staje się modelem biznesowym.

Mów mi „ojcze"

Ale pieniądze to nie wszystko. Bo z nader nieczęstych badań socjologów wynika, że nawet 60 proc. polskich księży miało lub ma związki z kobietami. Ba, 15 proc. duchownych jest ojcami. Daje to potencjalnie nawet 3750 facetów w koloratkach mogących z dumą nosić miano ojca. W mediach najczęściej pada jednak liczba około 3000 dzieci księży żyjących w Polsce.

A kto na nie płaci? Formalnie ojciec – tak mówi prawo. Tyle że według relacji byłych duchownych i dziennikarskich śledztw w niektórych diecezjach funkcjonują nieoficjalne fundusze, z których pokrywane są alimenty dzieci księży. Nie dlatego, że Kościół nagle uznał prawa dziecka za priorytet, lecz stąd, że – jak mówił jeden z duchownych – „afery obyczajowe nie powinny szkodzić wizerunkowi Kościoła".

Ale relacje z kobietami to dla wiernych żaden skandal. A socjologowie religii od lat wskazują, że wśród duchownych istnieje istotna grupa mężczyzn o orientacji homoseksualnej. Oficjalnych polskich danych nie ma. Kościół ich nie prowadzi albo nie publikuje. Ale sami duchowni, zarówno czynni, jak i byli, przyznają anonimowo, że w seminariach homoseksualność nie jest zjawiskiem marginalnym.

Nieco inaczej wygląda życie zakonnic. A statystyczna polska zakonnica zarabia znacznie mniej niż ksiądz. Często nie zarabia wcale. Wiele otrzymuje jedynie kieszonkowe na poziomie 150–600 zł miesięcznie, mieszka we wspólnocie, pracuje w szkołach, domach opieki, kuchniach, kancelariach albo szpitalach. Po kilkudziesięciu latach pracy ich emerytury bywają minimalne. Tyle że o zakonnicach nikt nie robi reportaży.

Na tapecie jest ksiądz. A instytucja, której ślubował czystość, nadal nie potrafi zdecydować, czy większym problemem dla niej jest jego aktywność seksualna, samotność, orientacja, czy może to, że coraz więcej ludzi przestało widzieć w duchownym kogoś innego niż dziwnego gościa w jeszcze dziwniejszym przebraniu.

TADEUSZ JASIŃSKI



Rys. WIDGET

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Po 6 latach okazuje się, że przestępcy, ci, którzy atakowali i plugawili świątynię, którzy zakłócali Mszę świętą, (…), dzisiaj stają się ofiarami, a ci, którzy bronili kościołów, stają się dzisiaj winnymi, przestępcami. (…) To, co dzisiaj się dzieje po prostu przed sądem, to jest tylko sąd kapturowy, to jest kpina ze sprawiedliwości, z przyzwoitości.* ***Mówiłem w mowie końcowej o tym, że tak naprawdę walka z chrześcijaństwem i z Bogiem, ale chrześcijaństwem, w sensie nawet takim kulturowym, jest zaprzeczeniem polskości, bo nie da się opowiedzieć o polskości, nie da się opowiedzieć o stosunkach międzyludzkich, społecznych bez Kościoła, bez tych wartości, które polski Kościół po prostu budował przez wieki w narodzie.***

Robert Bąkiewicz, TV Trwam, 19 maja

■ *Rządzący boją się sejmowego głosowania nad projektem ustawy „Tak dla religii i etyki w szkole". (…)* ***W gruncie rzeczy wszyscy zdroworozsądkowi ludzie powinni przynajmniej rozważyć, żeby go poprzeć. Jednak wyraźnie widać, że Koalicja Obywatelska i Donald Tusk go nie chcą. Ta niechęć do Kościoła jest na tyle daleką obsesją kościelną, że schlebianie instynktom najbardziej antyklerykalnej części społeczeństwa jest dla nich ważniejsze.***

Bartłomiej Wróblewski, PiS, Radio Maryja, 15 maja

■ *Dziś głosi się miłość do zwierząt ponad miłość bliźniego. To świat wywrócony na nice. Rzeczy stanęły wyżej ludzi, zwierzęta wyżej Boga. (…)* ***Dzisiejsze neopogaństwo szerzy się wśród tych Polaków, którzy trzymają się z dala od Kościoła i wiary. Być może stanowią już większość w naszym kraju. (…) Musimy uratować Europę, bo zostaniemy już nie przedmurzem, ale samotną wyspą na oceanie rewolucyjnej i totalistycznej islamskiej barbarii. Barbarzyństwo ze Wschodu, barbarzyńcy z Południa, barbarzyńcy z Zachodu. Neomarksizm w sojuszu z postliberalizmem.***

red. Robert Tekieli, Radio Maryja, 17 maja

■ *Świat żyje w smutku, ponieważ szuka radości samej w sobie, a ona jest produktem ubocznym odnalezienia Boga i przyjęcia Jego łaski. Jest konsekwencją przyjaźni z Chrystusem.* ***Radości proponowane przez świat kończą się zazwyczaj moralnym, a bywa, że także fizycznym kacem. Radość, którą daje Jezus, ma trudniejszą instrukcję obsługi, ale bezterminową gwarancję.***

ks. Janusz Chyła, Opoka.org.pl, 15 maja

■ ***Pomysł sprowadzenia roli Kościoła do poziomu prywatnej dewocji to nie efekt katolickiej refleksji, lecz zlękniony kompleks marksizmu kulturowego.*** *Dosadnie udowodnił to pani poseł Klaudii Jachirze redaktor Krzysztof Stanowski, twierdząc, iż motywującego do walki zawołania: Bóg – Honor – Ojczyzna społeczeństwo w chwili próby będzie potrzebować bardziej niż amunicji na polu bitwy.*

ks. Jarosław Tomaszewski, Opoka.org.pl, 18 maja

■ ***Z LGBT jest inny problem. Przyjęcie tej ideologii jako własnej tożsamości (podobne do wejścia w określoną subkulturę), świadoma zgoda na to, że będę jej transmiterem, utwardzanie się w postawie, że homoseksualizm nie jest grzechem, ale różnorodnością, że otoczenie ma przyjąć mój punkt widzenia, choćby narzucony przemocą – tu jest współcześnie problem.*** *I tu mamy do czynienia już nie z homoseksualizmem, ale homoaktywizmem – Kościół (…) średnio radzi sobie z rozpoznaniem tej różnicy i faktem, że trzeba zupełnie inaczej reagować na oba te zjawiska.*

Kaja Godek, X, 16 maja

KLECHA



Rys. OBYWATEL JANEK

eprasa.pl dedb5134a1

Księży nie ma i nie będzie

Dziury w sutannie

Jak co roku w maju święci się nie tylko Święto Pracy, ale i księży. Od pewnego czasu jest to też miesiąc obwieszczania kryzysu Kościoła kat., bowiem nowych szamanów jest coraz mniej, a widoki na poprawę marne. W wielu diecezjach do kleru dołączyli tylko pojedynczy śmiałkowie, którym niestraszna praca w społeczeństwie mającym ich coraz bardziej w dupie.

Demografia

Brak księży i chętnych, by nimi zostać, bierze się oczywiście nie tylko ze spadku zaufania do Kościoła, ale też dlatego, że w ogóle jest mniej młodzieży. Ślusarzy, elektryków czy hydraulików też ubywa, bo z pustego to i Salomon nie naleje. To swego rodzaju paradoks, bowiem Kościół, zabierając chłopców w wieku rozrodczym, pozbawia społeczeństwo potencjalnych ojców dzieci, robiąc z nich pseudoojców. Kobiet póki co do seminariów nie przyjmują, więc odpada połowa społeczeństwa.

Normalne uczelnie dwoją się i troją, by zachęcić maturzystów, żeby zechcieli wybrać właśnie ich kierunki. Nie wymagają, by spędzać w ich murach 24 godziny na dobę, oferują za to bogate życie studenckie z imprezami oraz innymi atrakcjami, które przyciągają młodzież. Nie ma wątpliwości, że w seminariach duchownych też idzie się rozerwać, ale jednak to wszystko pod płaszczykiem pobożności, z wymogiem odbębnienia modłów i nudnych wykładów.

Ukończenie seminarium nie zapewnia dziś wielu fruktów. Owszem, starsi księża prowadzą życie wygodne – przez lata świetności Kościoła kat. zdążyli się nachapać i odcinają kupony od dawnej kariery. Mieli czas, żeby wydoić owieczki i odłożyć na czarną godzinę, która nadchodzi. Przychylni politycy i samorządowcy sypali kasą na tacę, ale młodsze pokolenia są już mniej skore do współpracy z klerem. Młody ksiądz, zanim pójdzie na swoje, jest popychadłem proboszcza, który niechętnie dzieli się parafialnym kapitałem. Świeżaka czeka więc przynajmniej kilkunastoletnia orka niemalże w ramach wolontariatu, w dodatku w warunkach postępującej laicyzacji. Sutanna nie wzbudza już respektu, a czasem wręcz pogardę. Na koloratkę coraz trudniej cokolwiek załatwić.

Przepustka do raju

Karierowicze, dla których obojętne jest, co będą robić, a ważne, za ile i z jakim prestiżem, nie mają w seminariach czego szukać. Kiedyś była to droga awansu dla tych, którym Bozia poskąpiła predyspozycji intelektualnych do podjęcia trudniejszych studiów, ale za to dała ambicje. Samodzielność myślenia nie jest w Kościele pożądaną cechą, wystarczą posłuszeństwo i lojalność. To nie apteka – nawet herezje głoszone przez niedouczonego księdza z ambony nie mają znaczenia, jeśli umie on oskubać parafian i nie sprzedaje kolegów. Poza tym władze kościelne nigdy nie zwracały uwagi na pochodzenie – chłopski syn w sutannie miał więc szanse na wspięcie się po drabinie społecznej, przynosząc chwałę rodzinie. Z oczywistych względów nie był to zawód (przynajmniej oficjalnie) przechodzący z ojca na syna, jak w przypadku innych prestiżowych profesji.

Oprócz pochodzenia w seminarium można było też ukryć orientację. Jednak skończyły się czasy, gdy Kościół był wygodną szafą dla gejów.

Wygodną podwójnie, bo z jednej strony taki chłopak unikał ostracyzmu, a z drugiej – spotykał podobnych sobie. Koszt, jaki ponosił, to życie zakłamaniu, bo oficjalnie trzeba homoseksualizm potępiać, po to by cichaczem go praktykować. Lata formacji seminaryjnej pomagają jednak wyzbyć się skrupułów w głoszeniu bzdur i prowadzenia podwójnego życia. Zawsze można też wmówić sobie, że drogowskaz nie kroczy drogą, którą wskazuje. Księdza – przedstawiciel wyższej kasty – nie obowiązują przecież te same wytyczne co maluczkich. Kapłan, człek wybrany i namaszczony, ma inną perspektywę niż szaraczek, który ulega najniższym instynktom i popędom. Wszystko, co czyni duchowny, jest wyższe, lepsze i świętsze, niż gdy to samo robi profan. Ale współcześnie te zaklęcia nie działają, a i geje nie muszą się chować po krzakach.



Rys. TOMASZ WIATER

Zatem aby zostać dziś księdzem, trzeba być naprawdę zdeterminowanym. Wymaga to prawdziwej religijnej fiksacji, bo taki młodzian poświęca pierwsze lata życia na wkuwanie teologicznych formułek zamiast korzystać z tegoż życia. W dodatku skazuje się praktycznie na samotność: skoro wyświęca się po jednym księdzu, to do seminarium wstępuje najwyżej kilku, którzy po drodze się wykruszają. Do dyspozycji ma więc tylko starszych kolegów i wykładowców. Kontakty z rodziną i dawnymi znajomymi – ograniczone. Dobrze to wróży człowiekowi, który potem będzie innych pouczał, jak żyć.

Czarno-czarni

Mamy kolejny rok z pojedynczymi święceniami. Nawet w Tarnowie, gdzie niegdyś święcono nawet ponad setkę diakonów naraz, dziś jest najwyżej kilkunastu.

Nie wiem, czy to dobrze, ale w Sosnowcu wyświęcono trzech młodych mężczyzn. Zostanie księdzem w tej diecezji wymaga wielkiej odwagi albo specyficznych preferencji.

Za to żadnego nie wyświęcono w Gnieźnie, kolebce polskiego chrześcijaństwa, która teraz ma szansę stać się jego symboliczną trumną. Nie pomogło to, że rządzi tam prymas Wojciech Polak, który stara się odczarować wizerunek polskiego episkopatu. Ani to, że w archidiecezji gnieźnieńskiej co roku obywa się spotkanie młodzieży na Polach Lednickich. Pośpiewają, potańczą, a potem wybierają ścieżkę kariery omijającą plebanie.

W Ełku także wyświęcono jednego, za to czarnoskórego. Ta diecezja od lat słynie z importu księży z egzotycznych krajów, bo od dawna brakuje tam tubylczych kleryków. Czarnoskóry czarny to widok coraz częstszy w Polsce, ale jakoś nie słychać jęków prawicy, że uchodźcy zalewają polskie świątynie. Wręcz przeciwnie, dają się słyszeć pomruki zadowolenia, bo afrykański kler jest bardzo konserwatywny. Po śmierci Franciszka narodowcy liczyli, że nowym papieżem zostanie gwinejski kardynał Robert Sarah, a Kościół kat. wróci na drogę ortodoksji, nawet jeśli ceną za to miałaby być czarna twarz w białej piusce. Ale nie wrócił, podobnie jak czasy pełnych seminariów.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Stary niewiarus

Czy Donald Tusk wierzy w Boga?

Tygodnik „Sieci” wziął się za życie duchowe premiera. Pretekstem była wizyta szefa rządu w Watykanie. Leon XIV nie ma chyba najlepszego zdania o Donaldach w polityce, ale przyjął tego naszego. Tusk wprawił tym w osłupienie zarówno swoich zwolenników, jak i przeciwników, którzy zgodnym chórem zadawali pytanie: po cholerę on tam jechał?

Spotkania z głową Kościoła kat. Tusk użył – jak to polityk – do zrobienia sobie dobrze wizerunkowo. Po wyjściu od papieża spotkał się z dziennikarzami, którym opowiedział, jak było fajnie i jaki fajny prezent dostał – album malarski z autografem Prevosta.

– Tam jest jedno słowo, które ojciec święty odniósł do siebie i do mnie: *peacemakers* – mówił na konferencji prasowej. *Peacemaker* to po angielsku „rozjemca” lub, tłumacząc bardziej kościelnie – „czyniący pokój”. Wiele można o Tusku powiedzieć,

ale na pewno nie to, że jest miłośnikiem polityki miłości. A taki album dostaje standardowo każdy gość papieża. Nie przymierzając, dostałby go zapewne nawet pewien słynny austriacki akwarelista. Na zachętę – jak wnuczek pana ministra puchar w „Misiu” Barei. Donald Tusk nie omieszkał jednak wykorzystać papieskiej kurtuazji do podsycenia wojenki polsko-polskiej.

Redakcję „Sieci” tak ta sytuacja podkurwiła, że postanowili z demaskowania zakłamania premiera zrobić tekst okładkowy.

„Hipokryta” – brzmi tytuł przewodniego artykułu. Gdyby nie zdjęcia, można by dopasować to do każdego polityka. W tekście zaś Marzena Nykiel, która zaledwie tydzień wcześniej rozpływała się nad zmarłym abepe Michalikiem, pisze: „Polityczna schizofrenia czy wyrachowany koniunkturalizm? Co sprawia, że Donald Tusk z taką łatwością lawiruje w obszarze osobistych deklaracji na temat wiary i religijności? Dlaczego jednego dnia atakuje Kościół, drugiego leci do Watykanu, by oświadczyć, że »ma identyczne poglądy« z papieżem, a następnego zapowiada »małżeństwa« homoseksualne, otwierając wrota do ideologicznego piekła? Ta schizofreniczna zmienność trwa od lat. Jest w niej jednak jedna stała tendencja – konsekwencja w laicyzowaniu państwa”…

Zilustrowano to zdjęciem Tuska z podpisem „7 maja 2026 r. – faryzeusz Donald Tusk przy grobie św. Jana Pawła II”. Mocne, prawie jak to, że premier jest do siebie średnio podobny, bo fotka ewidentnie podrasowana przez sztuczną inteligencję. Ten sam kadr co na zdjęciu zamieszczonym przez Kancelarię Premiera, ale Tusk jakiś inny. Chyba że to taki artystyczny zabieg, żeby podkreślić zmienność pana Donalda. W tygodniku, gdzie bracia bliźniacy pokłócili się o hajs, wszystko jest możliwe.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Red. Nykiel próbuje udowodnić, że Tusk robi wszystko, żeby zmarginalizować Kościół kat. w Polsce. Teza karkołomna, bo póki co wszyscy, którym na sercu leży świeckie państwo, uważają, że rząd KO niewiele robi w tym kierunku. Emblematyczną postacią jest tu Kosiniak-Kamysz, osobiście i rodzinnie bardzo wierzący rozwodnik, który pilnuje interesów kleru. Mimo szumnych zapowiedzi nie dojdzie raczej do likwidacji Funduszu Kościelnego, bo minister obrony narodowej oraz księży bierze się za to jak pies do jeża. Zredukowanie godzin lekcji religii do jednej trudno z kolei nazwać krokiem rewolucyjnym.

Nie od dziś wiadomo, że Donald Tusk zrobi wiele, żeby zyskać w sondażach, a przynajmniej nie stracić. W relacjach z klerem też chodzi tylko o to. Do klasyki przeszedł jego ślub kościelny przed wyborami w 2005 r., obficie relacjonowany w tabloidach. Z drugiej strony miał dość frywolnie traktować intelektualne wykwity Leona XIII, imiennika nowego kolegi w Watykanie. Piotr Zaremba wspomina lata 90. i rozmowę Tuska z Kaczyńskim: „Mówicie, że jesteście chadekami, a czytaliście chociaż tę encyklikę »Lelum Polelum«? Wtedy Kaczyński podniósł broń i powiedział: »Zginiesz za te słowa«”. Było to nawiązanie do encykliki Leona XIII „Rerum novarum”, a Kaczyński wygrażał „pistolecikiem” swojemu nemezis w obronie czci papieża.

Różnie to zatem bywało z Tuskiem i jego stosunkiem do Kościoła. Co zaś do wiary, to niewiele o niej wiadomo, bo oszczędnie gospodaruje on osobistymi refleksjami. Najbardziej wiarygodne wydaje się wyznanie poczynione niegdyś przez szefa rządu: „Na przykład lubię leżeć w łóżku i patrzeć bezmyślnie w sufit”. Ma to sporo wspólnego z modlitwą.

MATT KOBOSKO

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Nie milkną echa policyjnej akcji w domu redaktora naczelnego Telewizji Republika Tomasza Sakiewicza. Sprawę postanowił skomentować ks. Kazimierz Sowa. „To mówicie, że asystentki redaktorów, zwłaszcza naczelnych, mają obowiązek świadczenia pracy w systemie 24/7 ze szczególnym uwzględnieniem przebywania w ich, tzn. owych redaktorów, mieszkaniach prywatnych? Ciekawe, byłem red.nacz. Długie lata, ale nie wiedziałem (…)” – napisał duchowny na Facebooku. Ironia nie przypadła do gustu Telewizji Republika, która zwróciła się do archidiecezji warszawskiej z prośbą o reakcję. W odpowiedzi abepe Adrian Galbas uznał wpis za niedopuszczalny i nakazał jego usunięcie. Wezwał również ks. Sowę na dywanik. Księże arcybiskupie, wyjmijcie kij z rzyci. W internecie i tak nic nie ginie.

✚ Choć od zatrzymania na Wyspie Man Sławomira A., byłego duchownego z Łomaz oskarżonego o szereg przestępstw seksualnych wobec nieletnich, minął już niemal rok, procedura ekstradycyjna napotyka kolejne przeszkody. Sławomir A. jest podejrzany o dopuszczenie się co najmniej 25 czynów o charakterze seksualnym wobec pięciu dziewczynek poniżej 16. roku życia. Do przestępstw miało dochodzić w latach 2006–2015, gdy mężczyzna pełnił funkcję duchownego w Siedlcach. Po usłyszeniu zarzutu klecha uciekł z kraju. Przez dwa lata ukrywał się na Wyspie Man aż do momentu zatrzymania w czerwcu ubiegłego roku na mocy czerwonej noty Interpolu. Obecnie Sławomir A. pozostaje w brytyjskim areszcie. Zaplanowana na 5 maja rozprawa przed brytyjskim sądem nie doszła do skutku z powodu konieczności uzupełnienia dokumentacji procesowej. Postępowanie sądowe może mieć charakter długotrwały. Nie wiadomo zatem, kiedy seksualny zwyrol usłyszy zarzuty przed polskim sądem.



Rys. WIDGET

✚ Budowa najwyższego w Europie 55-metrowego pomnika Matki Bożej w Konotopiu k. Torunia (woj. kujawsko-pomorskie) jest prawie na ukończeniu. Monument wyższy niż pomnik Chrystusa Zbawiciela w Rio de Janeiro i Chrystusa Króla w Świebodzinie zostanie poświęcony 15 sierpnia. Pomnik zostanie wyposażony w taras widokowy, na który będzie można wjechać windą, żeby podziwiać okolicę. Cóż za marnotrawstwo! W koronie świebodzińskiego Jezusa była zamontowana instalacja do przesyłu sygnału internetowego.

✚ Katoliccy egzorcyści zebrani na zorganizowanej przez Papieskie Ateneum Regina Apostolorum konferencji w Rzymie wskazują na nowy problem: sztuczna inteligencja coraz częściej odciąga ludzi od Boga, kierując ku niezdrowej fascynacji technologią, aż do jej ubóstwienia. Według prelegentów istnieją społeczności internetowe wykorzystujące sztuczną inteligencję jako narzędzie do eksperymentów magicznych i duchowych. Polegają one m.in. na pozyskiwaniu od chatbotów AI nowych rytuałów, „pieczęci” demonicznych i tekstów okultystycznych, traktując systemy informatyczne jako „ołtarze rytualne”. Widocznie szatan idzie z duchem czasu – kiedyś demonizował przez Hello Kitty, dziś przez AI.

✚ Trwa proces Roberta Bąkiewicza wytoczony mu przez aktywistkę Angelikę Domańską za naruszenie jej nietykalności cielesnej podczas Strajku Kobiet w 2020 r. Bąkiewicz udostępnił w sieci fotografię z procesu, na której widać laptop pełnomocniczki Domańskiej. Na obudowie sprzętu widnieje wlepka z wizerunkiem Matki Boskiej w tęczowej aureoli. „Profanacja Matki Boskiej w trakcie mojej sprawy” – poskarżył się Bąkiewicz. Przypominamy, że 12 stycznia 2022 r. Sąd Okręgowy w Płocku utrzymał w mocy wyrok uniewinniający trzy aktywistki oskarżone o obrazę uczuć religijnych za to, że rozpowszechniały naklejki z tymże właśnie wizerunkiem. Tęcza nie obraża, Bąkiewicz tak.

KLECHA

eprasa.pl dedb5134a1

O chwalebnym oddłużeniu i wyrwaniu ludu chrześcijańskiego z łap bankierów. Do czytania przed procesją Bożego Ciała

Śladami krzyżowców

Według badań BIG InfoMonitora w grudniu 2025 r. ponad 2,4 mln Polaków miało ponad 81,3 mld zł zaciągniętych długów, których nie potrafią dziś spłacić. Popadają oni masowo w depresje zamiast korzystać ze sprawdzonych rozwiązań.

W grudniu roku pańskiego 1095 gminy żydowskie z północnej Francji ostrzegały swych pobratymców przed wzbierającym ruchem krucjatowym. Strach narastał, od kiedy książę Gotfryd z Bouillon ślubował krwawą zemstę na Żydach, zanim miał wyruszyć odbijać Święty Grób z rąk muzułmańskich.

W tamtych czasach wzdłuż wszystkich szlaków handlowych Europy Zachodniej egzystowały gminy żydowskie. Utrzymywały kontakty ze swymi rodakami w Bizancjum i krajach muzułmańskich. Żydzi zajmowali się wtedy medycyną, za co byli cenieni, handlem wszelakim oraz usługami bankowymi. Na te ostatnie mieli monopol. Zakaz lichwy w społecznościach chrześcijańskich Europy Zachodniej i surowy nadzór nad bankami w Bizancjum stworzył ekonomiczną niszę, w której znakomicie się odnaleźli. Ich banki rosły w siłę, zwłaszcza że wtedy europejskich Żydów nie spotykały masowe prześladowania. Zdarzały się lokalne pogromy, ale te wpisywali w koszty swej egzystencji.

Sąsiedzi

Zamieszkali w zachodniej Europie Żydzi nie mieli praw publicznych. Żyli w swych gminach. Nie uczestnicząc w życiu politycznym, skupiali się na działalności gospodarczej. Pielęgnowali dobre relacje z władzami świeckimi i kościelnymi, a te otaczały ich opieką. Za regularnie składane trybuty. Cóż, bezpieczeństwo zawsze kosztuje, zwłaszcza kiedy wybiera się renomowane agencje ochrony.

Regularność i sumienność w uiszczaniu opłat, a także dodatkowa hojność sprawiły, że Żydzi cieszyli się względami niemieckich biskupów. Potrafili oni wznieść się ponad religijne, rasowe i kulturowe podziały. Przyjaźni biskupi nieraz przyjmowali reprezentantów gmin w swych pałacach, wbrew ksenofobicznym stereotypom. Zwłaszcza że owe delegacje zawsze obdarowywały władzę duchowną i świecką gustownymi prezentami i potrzebną do zbożnej działalności gotówką.

Aż ówczesną politykę multikulti zakłócił apel papieża Urbana II wykrzyczany podczas synodu w Clermont, wzywający do wyprawy krzyżowej. Idea wyzwolenia Grobu Chrystusowego spotkała się z olbrzymim odzewem. Hasło „Bóg tak chce" powtarzano na jarmarkach, mszach, w karczmach.

Młodzież z papieżem

Pobłogosławiona przez papieża krucjata obiecywała nie tylko zbawienie w niebie. Na ziemi dawała nadzieję na upragnioną dobrą zmianę licznej, bezrobotnej, dobrze wykształconej w rzemiośle wojennym szlacheckiej młodzieży.

Trzeba przypomnieć, że spetryfikowane feudalne struktury zamykały drogi awansu społecznego i ekonomicznego wszystkim młodszym szlacheckim synom. Bo cały majątek i tytuły dziedziczył najstarszy. Nie zawsze najlepiej wykształcony i najmądrzejszy. Nierzadko za to najzdrowszy, czyli długo żyjący.

Szukająca miejsca w skostniałej strukturze społeczno-ekonomicznej szlachecka młodzież starzała się i frustrowała. Mogła spróbować kariery duchownej, ale awanse kościelne też były zabetonowane. Zwykle wiązały się z sodomią, oficjalnie przez kościoły zakazaną i pogardzaną środowiskowo. Już wtedy kariery w religijnym szołbiznesie robiono przez łóżko.

Zdesperowani starzejący się młodzieńcy szukali możliwości wykorzystania zdobytej wiedzy, rabując na ówczesnych szklakach komunikacyjnych, gościńcami zwanymi. Prowadzącymi na jarmarki, czyli ówczesne centra handlowe.

Niestety, ówczesna globalna dekoniunktura odbijała się też na lokalnych rynkach. Malała liczba handlujących, rosła – rabujących. Zwłaszcza że do zawodu rabusia, zwyczajowo przeznaczonego dla zubożałej szlachty, wciskali się chętni pochodzenia mieszczańskiego, a nawet chłopskiego, rozwalając limity wykonywanych zawodów.

Dlatego zaproponowaną przez papieża krucjatę przyjęto entuzjastycznie we wszystkich stanach społecznych. Otwierała przecież nowe rynki grabieży. Oraz nowe rynki dla podmiotów gospodarczych obsługujących mnożącą się warstwę rabusiów.

Ze względu na rosnące zainteresowanie wyzwoleniem Grobu Chrystusowego rychło papież zgodził się na nielimitowany udział w ruchu krucjatowym. Dopuszczono do krucjaty ludowej, pozwalając plebsowi na wykonywanie czynności rabunkowych, zarezerwowanych dla ludzi szlachetnie urodzonych. Ruszyły krucjaty narodowe, jak niemiecka, łączące ludzi niższych stanów z prowadzącą jednoosobową działalność rycerską szlachtą. Tworzyły się nowe relacje, zręby nowego nacjonalizmu.

Szlachta na koń wsiędzie

Do swojej krucjaty szykował się niemiecki cesarz, zapraszając tam najznamienitszych baronów z ich hufcami zbrojnymi.

Aby spełnić wolę Chrystusa, trzeba było się na krucjatę wyekwipować. Wszystko to już na starcie sporo kosztowało. Zwłaszcza że krucjata nie była lokalną grabieżą. Jechało się na krańce świata. Trzeba było się pokazać. Nie wpadało robić tam dziadostwa. Trzeba było kupować nowe wyposażenie, ograniczając ekwipunek z second handów. Zwykle wystarczającej na to gotówki kandydat na krzyżowca nie posiadał. Bo nie miał dochodów z majątku ani włości pod zastaw.

Pozostawały pożyczki od Żydów. Początkowo udzielano ich na korzystnych warunkach, bo panował też zastój na rynku kredytowym. Bankierzy godzili się na mniejszy procent od pożyczonego kapitału, zwrot części długu w naturze, czyli przyszłych łupów oraz niezużytego militarnego ekwipunku. Ale gwałtownie rosnący popyt na tenże ekwipunek dał wzrost jego cen i w konsekwencji wzrost wartości i kosztów udzielanych kredytów. Koszty i skala udzielanych kredytów tak rosły, że zachodnioeuropejskie żydowskie banki musiały pożyczać kapitał od siostrzanych banków z Bizancjum i państw muzułmańskich. Co napędzało spiralę kosztów spłat kredytów.

W pułapce kredytowej

Początkowo przyszli krzyżowcy, oszołomieni wizją przyszłych zwycięstw i zdobyczy, nie prowadzili kalkulacji finansowej swego „dzieła bożego". Bezmyślnie podpisywali podsuwane im listy dłużne, sygnowali dodatkowe aneksy. Dopiero po policzeniu wszystkich kosztów wyekwipowania, skalkulowania potencjalnych łupów i porównania go z harmonogramem spłat pierwszych rat kredytu przychodziła zimna, gorzka refleksja. Strach przed napisanymi na końcu kontraktu, drobnym pismem, kosztami i rygorami niespłacanego kredytu.

Brak terminowych spłat mógł spowodować nawet niewolę dłużnika i członków jego rodziny. Ówczesny bankster miał prawo torturować swego dłużnika, jeśli podejrzewał, że ten ukrywa coś wartościowego przed bankową windykacją.

Niewiele korzystniej prognozowano spłaty kredytów w przypadku wielkiego grabieżczego sukcesu krzyżowców. Olbrzymie łupy rzucone w krótkim czasie na rynek, nadmiar szlachetnych kruszców i kamieni oraz niepotrzebnego już, kupionego kiedyś na kredyt żołnierskiego ekwipunku doprowadzić mógł jedynie do globalnego spadku ich wartości. A wartość kredytu zaciągniętego na „dzieło boże", nie spadała.

Nic dziwnego, że wielu kaznodziejów, czyli reprezentantów ówczesnej opinii publicznej, głośno pytało: Dlaczego pragnący walczyć za wiarę rycerz chrystusowy oddaje się w rychłą niewolę ekonomiczną i na pastwę narodu, który przecież Chrystusa ukrzyżował?!

Kaznodzieje zwracali też uwagę, że muzułmanie, dzisiejsi ich wrogowie, jedynie prześladują wyznawców Chrystusa. A Żydzi prześladowali samego Jezusa, za co rozliczeni nie zostali. Dlatego żydowscy bankierzy są bez wątpienia gorsi od wojujących muzułmanów.

Odczuwając gorące nastroje chrześcijan, Żydzi postanowili ostudzić je wypróbowanymi metodami. Na wieść o zamiarach księcia Gotfryda Żydzi z Nadrenii zwrócili się o pomoc do jego feudalnego szefa, czyli cesarza Henryka IV. Cesarz uchodził za życzliwego wobec Żydów, bo nie brzydził się ich łapówek. Aby cesarz był naprawdę skuteczny, gminy żydowskie z Moguncji i Kolonii dobrowolnie ofiarowały księciu Gotfrydowi po 500 sztuk srebra, za cesarskim pośrednictwem. Książę seniora posłuchał. Żydom ich winy darował. Zarobił tysiąc sztuk srebra jedynie akcją pijarowską. Niestety, książę jęzor miał długi i wieść o jego sukcesie rozniosła się. Jedni zawyli z zawiści wobec książęcego sprytu. Inni wzburzyli się, że chytrzy bankierzy tanim kosztem chcą się wyłgać od wsparcia religijnego zapału chrześcijan.

Jak zwykle w czasach przełomu, pojawił się niejaki Volkmar. Nieznanego pochodzenia, ale nadzwyczaj sprawny, bo szybko hufiec 10 tys. potencjalnych krzyżowców zebrał. Podobnym mu był Gotszalk, człowiek z awansu społecznego, zdolny kaznodzieja i ideolog ruchu antybankierskiej sprawiedliwości. Gorący zwolennik zbiorowej zmiany warunków kredytów zaciągniętych przez krzyżowców. Trójcę uzupełniał Emich z Leisingen, znany w środowiskach rycerskich gwałciciel i rabuś. Ten odkrył, że ma na ciele cudownie wypalony znak krzyża i dzięki niemu może rozgryzać problemy finansów publicznych. I tak pod tym krzyżem, pod tym znakiem, Emich i kaznodzieje rozpoczęli populistyczną oddłużeniową krucjatę.

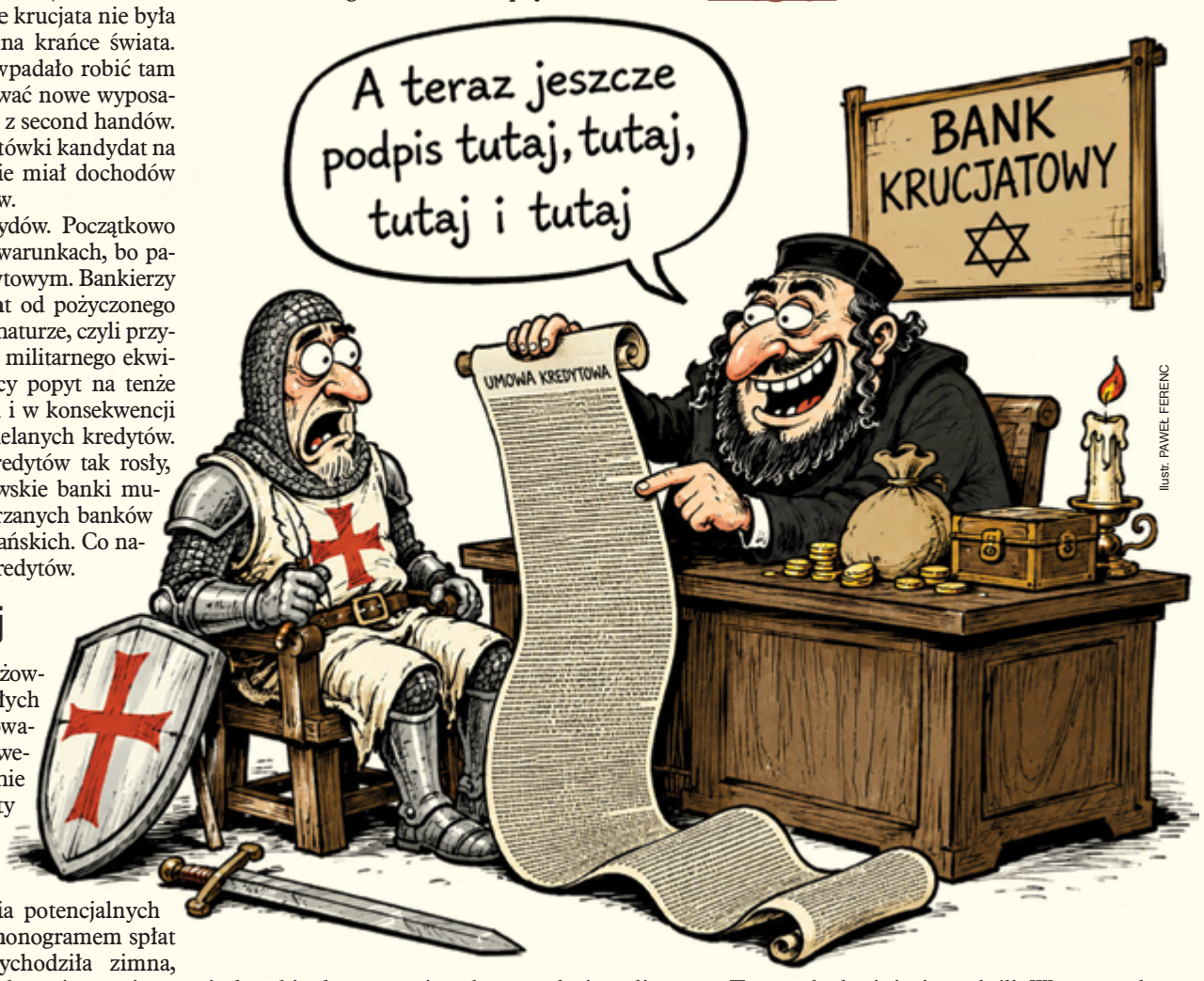
Cięcie stóp

Zaczęli od napadu na gminę żydowską w Spirze. Debiut nie był udany, bo większość bankierów uciekła do pałacu biskupa. Zabito jedynie 12 Żydów, na pamiątkę 12 chrystusowych. Dodatkowo jedna Żydówka popełniła samobójstwo w obronie swego dziewictwa. Splądrowano za to nie. W drugim pałacu grupa Żydów ocalała, bo ich obrońcy ogłosili napastnikom radosną nowinę: oto Żydzi zrozumieli swój błąd i właśnie wyrzekli się swojej wiary, przyjęli Jezusa. Reszta mogunckich Żydów, wśród nich naczelny rabin, poniosła śmierć. Pogrom trwał dwa dni. Żydowskie domy chrześcijańscy sąsiedzi skrupulatnie ograbili. Wszelkie znalezione listy zastawne solidarnie spalili.

Potem Emich dotarł do Kolonii. Na wieść o nim Żydzi uciekli z miasta. Krzyżowcom pozostały jedynie domy do obrabowania. Uroczyście spalono synagogę, a w niej przypadkowo napotkaną parę żydowską, bo odmówiła przejścia na wiarę w Jezusa miłosiernego.

Skoro w Nadrenii problem toksycznych kredytów ostatecznie rozwiązano, Emich i jego ludzie ruszyli w dolinę Mozeli. W Trewirze spanikowani Żydzi sami potopili się w Mozeli, uczciwie pozostawiając krzyżowcom swe majątki. Dostało się za to opornym Żydom w Metzu, a także w Neuss, Wevelinghofen, Eller i nawet w Ratyzbonie.

I tak w ciągu tylko dwóch miesięcy problem trudnych kredytów zaciągniętych przez chrystusowych rycerzy został w Niemczech ostatecznie rozwiązany. I w czeskiej Pradze też, bo niestrudzony Volkmar dokonał tam bratniej pomocy. Potem antybankierscy krzyżowcy ruszyli na Węgry.



żydowskie domostwa i spalono znalezione listy dłużne.

Do następnego oddłużania przygotowali się lepiej. Rozpuścili plotki, że Żydzi pojmali chrześcijanina i utopili go. Trupa moczyli w wodzie dni siedem, aby trupią wodą zatruć wszystkie chrześcijańskie studnie w okolicach. Strach i gniew sprawiły, że do Emicha przyłączyli się okoliczni chłopi i mieszczanie z Wormacji. I chociaż biskup wormacki ujął się za swoimi bankierami, to tym razem oddziały Emicha sakry się nie ulękły. Wdarły się do biskupiej rezydencji i przynajmniej 500 Żydów zamordowały.

Pięć dni później, 26 maja 1096 r., Emich na czele rosnącego ruchu antybankierskiego nadciągnął pod bramy Moguncji. I znowu władza w postaci miejscowego biskupa stanęła po stronie finansjery. Ale lud ekonomicznie sponiewierany wziął sprawy we własne ręce. Bramy miasta otworzył, dzielnice żydowskie splądrował, a najzamożniejszych Żydów humanitarnie zamknął w synagodze, aż uwięzieni tam postanowili wspomóc krucjatę. Najpierw przesłali arcybiskupowi i najznamienitszym panom świeckim po 200 grzywien srebra. Prosząc o azyl w ich pałacach. Wysłali też do Emicha siedem funtów złota, aby zła im więcej nie czynił. Zachęcony tym Emich o świcie zaatakował pałac biskupi. Gospodarzowi pozwolono uciec, jego gościom

Tam posłuchu już nie znaleźli. Węgrzy na krucjatę nie wybierali się i długów nie pozaciągali. Nie przypadł im też do gustu styl zaopatrywania się krzyżowców – biorących od miejscowej ludności żywność, napitki i seks na kredytowe listy dłużne. Choć kasy nagrabili jak niejeden bankster.

Gotszalk i Volkmar głowami zapłacili za małpowanie bankierskich praktyk. Pobity przez węgierskie wojska Emich ledwo uciekł do Niemiec i słuch o nim zaginął. Pewnie żył tam ze swego pierwszego ukradzionego miliona.

Morały, bo zawszeć je historyja mieć musi

W sporze dłużników z bankierami władza cywilna i duchowa zwykle staje po bankierskiej stronie. Jedynie łuna pożarów ich pałaców zmienia im punkt widzenia.

Lud wyzyskiwany zawsze pierwszy sieje powszechne oddłużenie. Kosi i młóci. Ale zbiory i tak w końcu trafiają do spichlerzy możnych.

W efekcie tamtej akcji oddłużania gwałtownie spadł w Niemczech poziom usług medycznych. Wzrosła śmiertelność. Nie wszyscy krzyżowcy potrafili odróżnić żydowskiego bankiera od żydowskiego medyka.

PIOTR GADZINOWSKI

eprasa.pl dedb5134a1

Cena sukcesu

Sport ma plusy i minusy. Ważne, żeby te plusy nie przesłaniały minusów.

Najczęściej widzimy uśmiechniętych sportowców odbierających nagrody, z medalami na szyi albo wysiadających z luksusowego samochodu. Lubimy też czytać o gigantycznych zarobkach, zwłaszcza piłkarzy i tenisistów. Czy życie sportowca jest pełne radości? Zapytajcie ich, w jaki sposób doszli do swoich sukcesów.

To jasne, że sportowiec powinien dużo trenować. O tym wie każdy. Nie każdy jednak wie, ile wysiłku musi włożyć w te treningi. Teraz sportową ścieżkę zaczynają kilkuletnie dzieci. Początkowo jest to bardziej zabawa niż ciężka praca. Zanim się jednak obejrzą, wpadną w kierat codziennych zajęć, które na dodatek wypada łączyć ze szkołą.

Trening zawodowego sportowca (dziś niemal wszyscy, nawet ci z niższego szczebla, są zawodowcami) to nie jest zabawa. Mylilibyście się, sądząc, że trenowane są tylko mięśnie. Ze zdumieniem dowiedziałem się, że w tzw. sportach wydolnościowych zawodnicy trenują jelita, aby te jak najszybciej przyswajały węglowodany ze specjalnych żeli energetycznych.

Nie bardzo potrafię sobie wyobrazić trening jelit. Trenuję je ile się da, wcinam smaczne żarcie, ale zamiast poprawy wydolności rośnie mi tylko brzuch. A tak poważnie: dieta sportowców jest oczywiście bardzo ważna, choć jeszcze w drugiej połowie XX w. nie całkiem zdawano sobie z tego sprawę.

Dużo czasu spędzałem z kolarzami, bo głównie pisałem o tym sporcie. Kolarze uważali, co jedzą; wiedzieli, że warzywa i owoce są zdrowe, a alkohol szkodzi. Przed startem nie powinno się pić jogurtu i kefiru, bo te napoje mogą popędzić, a na trasie dzięki rozporkowi w spodenkach małą potrzebę da się załatwić, nawet nie schodząc z roweru, z grubszą jest kłopot. Ale kotlet schabowy? W czasie, gdy mięso było na kartki, zawodnicy cenili sobie taką potrawę w stołówkowym menu. Podczas wieloetapowych wyścigów my, dziennikarze, jedliśmy to samo co ekipy sportowe i jakoś nikomu nie przeszkadzało.

Oczywiście kolarze dbali o wagę. Nie tylko o wagę roweru, ale także swoją. Trzeba pamiętać, że podczas prawie 200-kilometrowego etapu liczbę obrotów pedałami należy mnożyć przez obciążenie. Dlatego nie tylko trzeba dbać o aerodynamikę – także wożenie na siodełku zbędnych gramów jest niepożądane.

Z tego, co pamiętam, na dietę, nawet wówczas, zwracali uwagę piłkarze. Oczywiście bezkartkowe schaboszczaki im smakowały, lecz co jakiś czas musieli wchodzić na wagę i za każde przekroczenie limitu zbierali opierdol od trenera. Dziś w zawodowych klubach karani są finansowo.

Były to czasy wesołego sportu. Owszem, na treningach trzeba się było spocić, po meczu opatrywać sińce (nie chcę mówić o poważniejszych kontuzjach), ale piwko, kaszaneczka i kiełbaska z grilla żadnemu sportowcowi nie szkodziły.

Czesław Lang opowiadał mi, jak po przejściu na zawodowstwo (był pierwszym kolarzem z demoludów, któremu się to udało), w nowej grupie w pierwszej kolejności nie zbadano jego mięśni ani wydolności płuc, lecz wątrobę. No i schabowe wylazły na wierzch, jak szydło z worka.

Lang zaprosił mnie później z rodziną na krótki urlop do swojego domu nad jeziorem Garda. Z bliska poznałem tryb życia zawodowca. Rano liść sałaty, mini kanapeczka z miodem, 100 km treningu, chudy befsztyk na obiad, popijany sokiem z buraków sprowadzanych z Polski, bo we Włoszech nie znali tego warzywa.

Często jeździłem do Centralnego Ośrodka Sportu w Zakopanem, pisałem stamtąd reportaże i przeprowadzałem tam wywiady z trenującymi sportowcami. Fajnie wyglądały na stołówce kadry sztangistów, bokserów, zapaśników, czyli sportów, w których utrzymanie limitu wagi jest podstawowe. Siedzieli przy stole w porządku: od najlżejszego do najcięższego. Ci, którzy pilnowali wagi, łakomie spoglądali na szczyt stołu, zajmowany przez najcięższego, a ten nie musiał myśleć o kilogramach i opychał się smacznościami. Zwykle siadałem obok niego.

Trening plus psycholog

Czy pamiętam z tamtych czasów jakieś drastyczne metody treningowe? Wiem, że w lekkoatletyce próbowano poprawiać moment startowy sprinterów w ten sposób, że równo ze strzałem pistoletu stopy dostawały lekkiego kopa elektrycznego. Bardzo prędko ten eksperyment zarzucono. Słyszałem, ale nigdy w to nie wierzyłem, że podczas treningu hippicznego przeszkody wyposażano w kolce, żeby oduczyć konia od ich strącania. To już wówczas w PRL nie mogła być prawda, a dziś poszłoby się za znęcanie nad zwierzętami do więzienia. Inna sprawa, czy wszechstronny konkurs konia wierzchowego nie wyczerpuje znamion tego przestępstwa.

Myślę, że bardziej wyrafinowane i uciążliwe metody stosuje się dzisiaj. Trening wysokogórski, kriokomory, wanny z lodem, a Iga Świątek – co mogliśmy zobaczyć w telewizji – przed meczem trenuje gałki oczne. To nie jest tak, że piłkarz wpadnie do klubu na dwie godzinki, pobiega, wsiądzie w luksusowe auto i pojedzie do domu. W domu także musi być piłkarzem.

Byłbym zapomniał o psychologu. Dziś z jego usług korzystają w różnych dyscyplinach od tenisa (Daria Abramowicz jest niezbędna Idze Świątek) przez wspinaczkę, lekkoatletykę po żużel. Mózgownicę także trzeba ćwiczyć.

Enerdowska selekcja

Nie ma już Niemieckiej Republiki Demokratycznej, ale ja doskonale pamiętam sportowców tego państwa. NRD była w trudnej sytuacji. Za granicą istniało drugie państwo niemieckie, dużo dostatniejsze. Ludzie ze wschodnich Niemiec oglądali telewizję zachodnioniemiecką, mieli tam rodziny i mimo muru berlińskiego doskonale wiedzieli, co tam się dzieje i jak się żyje. Jednym z narzędzi propagandy było obfite – jak na czasy realnego socjalizmu – zaopatrzenie sklepów w dobra konsumpcyjne. Korzystaliśmy z tego podczas służbowych wyjazdów do Berlina, Karl-Marx-Stadt (dziś znów Chemnitz) i innych miast NRD, w których odbywały się zawody sportowe. Obowiązkowym wyposażeniem polskiego korespondenta był patyczek odpowiadający długości stopy współmałżonki i latorośli. W sklepach Salamander obuwie było solidne, w miarę modne, tylko kupować, jeśli się miało wschodnioniemieckie marki. Oczywiście służby celne NRD dbały o rynek wewnętrzny, dokładnie kontrolowały podróżnych, bezlitośnie konfiskowały zakupione dobra, ale dziennikarze sportowi cieszyli się pewną łaskawością. Przymykano oko na ich bagaż, bo sport w NRD był priorytetem.

Dzięki zwycięstwom na stadionach partia mogła pokazać wyższość socjalistycznej NRD nad kapitalistycznym zachodnioniemieckim państwem. Robiono to wszelkimi sposobami. Podczas gdy w wielu krajach na treningi trafiali kilkunastolatkowie, w NRD mierzono, ważono i sprawdzano już kilkulatki. Badano predyspozycje do określonych dyscyplin sportu. Nazywało się to – cóż za straszne słowo, zwłaszcza w Niemczech – selekcją. W późniejszym czasie podjęto próby łączenia w pary mistrzów stadionów i hal sportowych, tak żeby w następnym pokoleniu rodziły się genetycznie uwarunkowane gwiazdy.

Legendy opowiadano o metodach treningowych u naszego zachodniego, zaprzyjaźnionego sąsiada. Tam nie było miejsca na uśmiech, zabawę. To byli prawdziwi męczennicy sportu.



Oczywiście legendy krążyły także o dopingu, choć w takich przypadkach trudno cokolwiek udowodnić. Byłem świadkiem, jak podczas jakichś bardzo ważnych zawodów w kolarstwie torowym niespodziewanie spadł deszcz, a ścigano się wówczas na odkrytych betonowych torach. Start przełożono o dwie godziny i w tym czasie z utytułowanych i wyśmienitych torowców NRD wyparowała cała energia. Szansę dostali inni. Na stosowaniu dopingu nikt nikogo nie złapał.

Nie mogliśmy o tym wszystkim pisać, cenzura była surowa, podobnie jak nie wolno było mówić i pisać o sportowcach niemieckich; byli tylko ci z NRD i z RFN.

Fikołki z molestowaniem w tle

Nie myślcie, że NRD było wyjątkiem w rodzinie bratnich krajów socjalistycznych. Naturalnie – jak we wszystkim – przodował naród radziecki. Tam jednak wszystko było okryte tajemnicą, niczym na poligonie nuklearnym Tuckoje. Każdy wiedział, że istnieje, ale nikt nie wiedział, co się tam dzieje. Polscy zapaśnicy opowiadali mi, że w drodze wyjątku pozwolono im popatrzeć na trening radzieckich kolegów. Zwrócili uwagę na nieznane u nas elementy elektroniki – wykorzystanie wideo. Dlaczego zaproszono Polaków i pozwolono podglądać treningi? Polskie zapasy stały wówczas na bardzo wysokim poziomie, była to więc współpraca wzajemnie korzystna.

Dyktatura Nicolaue Cauşescu w Rumunii postawiła na gimnastykę. Małe dziewczynki łatwo wytresować, nie buntują się. Naukę rozpoczyna się w wieku 3–6 lat, gdy organizm jest najbardziej plastyczny. Wytwór rumuńskiej szkoły gimnastycznej cały świat mógł podziwiać w 1975 r., gdy Nadia Comăneci zdobyła mistrzostwo Europy w wieku 13 lat. Comăneci to fenomen i legenda tej dyscypliny: zdobywczyni pięciu złotych medali olimpijskich, dwukrotna mistrzyni świata i dziewięciokrotna Europy, pierwsza w dziejach, która uzyskała maksymalne noty 10 pkt.

Nie gorsza była gimnastyka sportowa kobiet w ZSRR. Jedną z czołowych gimnastyczek Kraju Rad lat 70. minionego wieku była Jelena Muchina, faworytka igrzysk olimpijskich w Moskwie w 1980 r., zwłaszcza na poręczach. Podczas jednego z ostatnich treningów przed swoim najważniejszym startem upadła na szczękę, złamała kręgosłup szyjny. Za cud uznano operację chirurgiczną, która nie tylko uratowała jej życie, ale przywróciła jako taką sprawność, na pewno niewystarczającą do wykonywania salt i fiflaków. Medalu olimpijskiego nie zdobyła, ale nagrodzono ja Orderem Lenina.

A pamiętacie uroczą Białorusinkę Olgę Korbut, czterokrotną mistrzynię i dwukrotną wicemistrzynię olimpijską zwaną Wróbelkiem? W 1999 r., już jako obywatelka USA, oskarżyła w wywiadzie telewizyjnym swojego trenera Renalda Knysza o znęcanie się fizyczne i psychiczne oraz nadużycia seksualne, gdy była nieletnia. Opowiedziała także o dwóch wstrząsach mózgu podczas ćwiczenia „śmiertelnego fikołka" na poręczach, elementu wykonywanego tylko przez nią. Mówiła także o tym, jak zaprzęgnięto ją do radzieckiej propagandy.

300 lat odsiadki

Już w czasach całkiem współczesnych, w kraju, w którym zamieszkała po zakończeniu kariery Olga Korbut, czyli za oceanem, wybuchła ogromna afera pedofilska w kadrze gimnastyczek. Ameryka to mocarstwo, a jako mocarstwo musi mieć nie tylko broń atomową, ale także super gimnastyczki.

Szacuje się, że przez blisko 30 lat ofiarą napastowania seksualnego mogło paść nawet pół tysiąca dziewczynek, a głównym sprawcą był fizjoterapeuta i lekarz Larry Nassar. Młodziutkie gimnastyczki wielokrotnie skarżyły się, że podczas zabiegów stłuczenia barku lub kolana fizjoterapeuta głównie zajmuje się ich kroczem, ale federacja gimnastyczna tuszowała te sprawy. W końcu afera wybuchła, Nassara skazano i raczej nadal siedzi w więzieniu, bo w 2018 r. wymierzono mu 175 lat odsiadki zmienione później na 300 lat. Przy okazji wyszły na jaw brutalne metody treningowe, poniżanie dziewczynek, zmuszanie wrzaskami do wykonywania niebezpiecznych elementów.

Simone Biles, najwybitniejsza amerykańska gimnastyczka (siedmiokrotna złota medalistka olimpijska) też należała do ofiar Nassara, co wyznała w bardzo trudnym dla niej wywiadzie w serialu dokumentalnym Netflixa. Opowiedziała o zgrupowaniach kadry narodowej, o głodówkach na nich, poniżaniu, przemocy fizycznej, żelaznym reżimie. To wszystko doprowadziło ją do depresji, z której zdołała się jednak wyleczyć.

Obecnie dolna granica wieku dla zawodniczek występujących w kategorii seniorskiej wynosi 16 lat, ale są przecież różne zawody juniorek i młodziczek. Z chłopcami troszkę inna sprawa, do ich konkurencji prócz gibkości i techniki potrzebna jest wielka siła, a tę nabywa się z wiekiem.

Jeśli zastanawiacie się, dlaczego nie mieliśmy w PRL wspaniałych gimnastyczek, odpowiedź może okazać się prosta:

panował u nas dużo większy luz niż w innych demoludach, trudno było narzucać coś rodzicom, a to oni, a nie państwo lub szkoła, mieli decydujący głos w wychowywaniu dzieci.

Wyścig zbrojeń trwa, nie tylko w budowie rakiet, dronów, samolotów i amunicji. W sporcie także. Nasz kraj wydaje krocie na uzbrojenie, zadłuża się po uszy, może więc lepiej, żeby ze sportem nieco wyluzować. Każdy sukces cieszy mnie, jak każdego Polaka, ale nie za nadmiernie wysoką cenę. Zwłaszcza za cenę płaconą przez nasze dzieci i wnuki, które i tak płacić będą za koreańskie i amerykańskie samoloty oraz czołgi.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Tadeusz Klementewicz, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 26.05.2026 r.

„NIE" w komórce

Papier się gniecie. Telefon nie.

eprasa.pl dedb5134a1

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Dr Marta Wachowicz, prezeska Polskiej Agencji Kosmicznej, uważała, że dr Sławosz Uznański-Wiśniewski, astronauta, drugi Polak w kosmosie, gwiazdorzy. Bo rzeczywiście gwiazdorzył. Ale kto, kogo tak pieściłyby stacje telewizyjne i internety, by nie gwiadorzył? Kto by nie gwiazdorzył, gdyby wożono go po kraju i pokazywano w szkołach w roli człowieka dosłownie kosmicznego sukcesu?

Wachowiczową wkurwiały gwiazdy i wkurwiali gwiazdorzy. Nie wiadomo, co by zrobiła, gdyby np. Doda wsadzała nos w robotę Polskiej Agencji Kosmicznej. Pewnie chciałaby zakazać jej gwiazdorzyć, czyli śpiewać. Śpiewać i wyglądać.

Uznański-Wiśniewski wsadzał ostatnio nos w robotę Polskiej Agencji Kosmicznej. W robotę Wachowiczowej. Miała więc do wyboru: albo wystrzelić go na Księżyc, albo zakazać mu gwiazdorzyć, czyli mówić.

Gdyby Wachowiczowa miała tyle kasy, ile ma Elon Musk, kazałaby zbudować rakietę Orion, wsadzić do niej Uznańskiego-Wiśniewskiego i odpalić lont. Niech rakieta wyniesie go na orbitę, a potem niech krąży wokół Księżyca do usranej śmierci.

Wachowiczowa miała jednak tyle kasy, ile miała, dlatego wystąpiła do rządu, żeby zakazał Uznańskiemu-Wiśniewskiemu odzywania się ludzkim głosem. Niech, kurwa, szczeka albo kwiczy!

Ona, Wachowiczowa, ma do wykonania misję ważniejszą niż Artemis II. Musi przebudować Polską Agencję Kosmiczną, unowocześnić ją i przystosować do standardów wszechświatowych. I w tej robocie nie będzie jej przeszkadzał jakiś niedorobiony astronauta, pajac w białym skafandrze i w hełmie z przezroczystą szybką.

Wachowiczowa pilnie musiała oczyścić agencję z zapóźnionych złogów, z nieuków, leni i tych, którzy ciągle spóźniają się na zebrania. Z takich, którzy ledwie mają magistra i uważają, że Io jest osłem, a nie księżycem Jowisza.

Najlepiej, gdyby w agencji pracowałyby same androidy, którymi zarządzałaby jedyna złożona z białka Wachowiczowa. Androidy nie mówią, nie śpiewają, nie wyglądają. Nie gwiazdorzą. Rozumie pan, panie doktorze?

– Doskonale rozumiem, pani doktor. Doda, która gwiazdorzy. Astronauta, który gwiazdorzy. I androidy, które nie gwiazdorzą. Ma pani problem, ale my ten problem rozwiążemy.

Dwaj pielęgniarze chwytają Wachowiczową z obu stron i unieruchamiają jej ramiona, żeby lekarz mógł zrobić zastrzyk z hydroksyzyną.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA przejeżdżała przez Gdynię w drodze na Hel. **JOANNA SENYSZYN** była dla odmiany w Poznaniu. Tak to ludzie trwonią lata...

Senyszyn: – I cóżeś ty na tym Helu robiła?

Wołk-Łaniewska: – Byłam na sesji Krajowego Klubu Reportażu. To taka organizacja, do której należę od 35 lat, choć ona w zasadzie już nie istnieje.

– Chyba musisz rozwinąć.

– Oj, bo kiedyś było to żywe, aktywne stowarzyszenie twórcze, a teraz już jakby mniej. KKR powstał w 1984 r., ja tam trafiłam bodaj w 1991, kiedy przypadkiem zapętałam się na pierwszą sesję – pamiętam jak dziś, w Elektrowni Opole. Tej, co później była areną afery z udziałem Aleksandry Jakubowskiej…

– Sesję czego?

– Tak się to wtedy nazywało, co nawet miało sens, albowiem były to studyjne wyjazdy reporterskie: zwiedzanie zakładów – z jakichś przyczyn głównie oczyszczalni ścieków – spotkania z lokalnymi włodarzami, a także biznesem, który nas przyjmował na bogato… I takie wyjazdy były regularnie, cztery razy do roku, ale potem umarł nasz prezes i ojciec Marek Rymuszko, i wszystko się posypało.

– Marek Rymuszko z „Nieznanego Świata”?

– Ten właśnie. Z tym że zanim się zaczął zajmować ezoteryką, był – w PRL – znaczącym reporterem, głównie w „Prawie i Życiu”. A potem odkrył świat niepodlegający żadnym prawom, ale robił to z absolutnym wdziękiem. Pamiętam, jak mi kiedyś opowiadał o czwartej tajemnicy fatimskiej.

– Tej którą – zdaniem wyznawców teorii spiskowej – zjawa fatimska kazała objawić, a Kościół ukrył przed ludzkością?

– Dokładnie. Ponieważ od początku byłam znana w klubie jako antychryst, to w ogóle mnie nie zdziwiło, że mnie akurat wybrał na adresata drwiącej uwagi, że zakazując siostrze Łucji wystąpienia na zaleconej przez zjawę konferencji prasowej, „Watykan ocenzurował Matkę Boską. To znaczy oni uważali, że to Matka Boska”. Pokiwałam głową z politowaniem, a Marek: „Bo przecież już nie ulega wątpliwości, że to był przekaz z kosmosu”.

– On tak serio?

– Nigdy nie wiedzieliśmy. Marek miał cudowną zdolność mówienia z kamienną twarzą absolutnie absurdalnych rzeczy. Uwielbialiśmy go wszyscy bezkrytycznie i co pięć lat, kiedy wystosowywał do nas pismo, że więcej nie będzie kandydował na przewodniczącego, bo jest stary, zmęczony i ma inne rzeczy na głowie, zasypywaliśmy go lawiną listów proszalnych: „Marku, nie rób nam tego, bez Ciebie klub zginie”.

– I jak się okazało, mieliście rację.

– No niestety. Spotykamy się teraz w parę osób, tak jakoś raz na półtora roku i głównie, żeby flaszkę obalić i powspominać, choć czasem udaje nam się pogadać z kimś ważnym. W Helu spotkaliśmy się z burmistrzem Wądołowskim…

– Znam i serdecznie pozdrawiam. To już postać legendarna. Pokonał w sądzie CBA Kamińskiego w ramach niesławnej afery Beaty Sawickiej.

– Facet ma prawie 70 lat, wygląda na 50, wygrywa wybory w cuglach i generalnie jest chodzącą reklamą wyboru samorządu jako ścieżki kariery. A propos: jako była posełka z Krakowa…

– Europosełka.

– Jako była europosełka z Krakowa – czy możesz mi wytłumaczyć, o co chodzi z tym Miszalskim? Czego się Krakusy tak wkurwiły? Wszyscy myślą, że to takie konserwatywne miasto, a tu proszę, jaki rewolucyjny duch zapanował.

– Miszalski przesadził ze strefą czystego transportu, która nie była w żaden sposób dogadana z mieszkańcami. Trzeba się z ludźmi konsultować, pytać o zdanie, żeby mieli poczucie, że pewne ważne decyzje w mieście zależą od nich… To dość oczywiste.

– A do tego brutalne ograniczenie wjazdu samochodów do miasta Miszalski połączył ze wzrostem cen biletów komunizacji miejskiej.

– I na dokładkę bezczelnie pouczył mieszkańców, żeby nie marudzili, bo podwyżka to tyle, co „cena piwa w knajpie”. Więc się wkurzyli. I mieli rację. Kraków to samorządowa powtórka z porażki bonżurka. PO, a teraz już KO pokazała, że nie potrafi nas obronić przed powrotem katoprawicy do władzy. Ale nie przesadzałabym z tą opinią, że Kraków to takie konserwatywne miasto…

– W sumie masz rację. W końcu wybrali ciebie. I Ankę Grodzką.



– No właśnie. W Krakowie jest dużo artystów, intelektualistów, studentów, jest otwarty na różnych ludzi.

– I rozrywkowy. Kiedy byłam tam ostatni raz, kulturalnie, w teatrze, tośmy po spektaklu trafiły do knajpy, gdzie ludzie tańczyli na stole.

– Też tańczyłaś?

– Nie, ja już nie mogę tyle wypić. Ale byłam pewna podziwu. Zmieniając temat, ale może nie do końca – nadal będzie o arogancji władzy. Jak obstawiasz: czy zajazdy służb ministra Kierwińskiego na domy pisowskie organizuje PiS czy Putin?

– Słucham?

– Redaktor Pacewicz, naczelny OKO.press, wystąpił w Tefałenie w dyskusji o fałszywych zawiadomieniach, w wyniku których służby trafiały do domów prominentnych pisowców – i ogłosił, że wprawdzie premier prosił, żeby nie snuć spekulacji, ale snucie jest „jego rolą”. A zatem – wysnuł, przyznając mimochodem, że koncept jest „dość karkołomny” – istnieje stara maksyma *is fecit cui prodes*, a korzysta PiS, bo daje mu to pretekst do nawalania w rząd. Ale redaktor miał jeszcze drugą hipotezę, „jeszcze bardziej karkołomną, ale nie idiotyczną”, a mianowicie taką, że to „to jest po prostu destabilizacja, która jest inspirowana przez jakieś służby rosyjskie”.

– Nie wyglądasz na przekonaną.

– Wyobraź sobie, że nie. Albowiem przychodzi mi do głowy jeszcze jedna możliwość: iż policję na różne figury związane z PiS-em nasyła ktoś, kto nie lubi PiS-u. Na przykład ktoś z okolic internetowego kolektywu „Silni Razem” albo jakiejś podobnej grupy bojowych kretynów. Jedna z nich wyprodukowała właśnie filmik: mała dziewczynka na tle płomieni dzwoni z analogowego telefonu z tarczą – skąd SI w ogóle wzięła taki telefon, z muzeum techniki? – i błaga o przysłanie straży pożarnej. A dyspozytor jej na to: „Sprawdziłem księgi wieczyste i właściciel tego mieszkania jest z PiS-u, więc nie mogę pomóc, bo się okaże, że to prowokacja, i Republika i Kanał Zero rozpętają kilkudniowy seans nienawiści do Tuska”…

– Czekaj, żebym dobrze zrozumiała: ten filmik ma być w założeniu protuskowy? I ci protuskowcy uważają, że taki żarcik: „Nie wyślemy straży pożarnej do płonącego domu, bo się boimy, że pisowcy zaatakują Tuska” – to jest złośliwość pod adresem PiS-u, a nie obecnej władzy?

– Najwyraźniej. A tak swoją drogą, to nie ma konieczności „sprawdzania ksiąg wieczystych”, meldunki są w bazie PESEL, do której policja ma stały dostęp. Jak ekipa interwencyjna jedzie na miejsce, to dyżurny może wrzucić adres na bęben i sprawdzić, czy nie ma tam jakiejś politycznej pułapki. Żeby trzy razy z rzędu dać się wypuścić… Jak mówią Rosjanie: ile razy można na te same grabie następować?

– Można dużo. Tak mi się skojarzyło ze słynną odpowiedzią Sobiesława Zasady na pytanie, z jaką maksymalną prędkością można wejść w zakręt. Odpowiedź: wejść z każdą…

– To ja jeszcze dorzucę dialog o grzybach, który z upodobaniem cytował mój ojciec, żywiący do grzybów zdrową nieufność: – Czy te grzybki są jadalne? – Jadalne, przecież zjadłeś. – Ale czy nietrujące? – A to się okaże… A tak à propos: na grzyby trzeba by się wybrać. Zbierasz grzyby?

– Ty najwyraźniej nie, skoro chcesz to robić w czerwcu. Ja kiedyś bardzo lubiłam, ale wzrok już nie ten. Teraz został mi tylko twardzioszek czosnaczek.

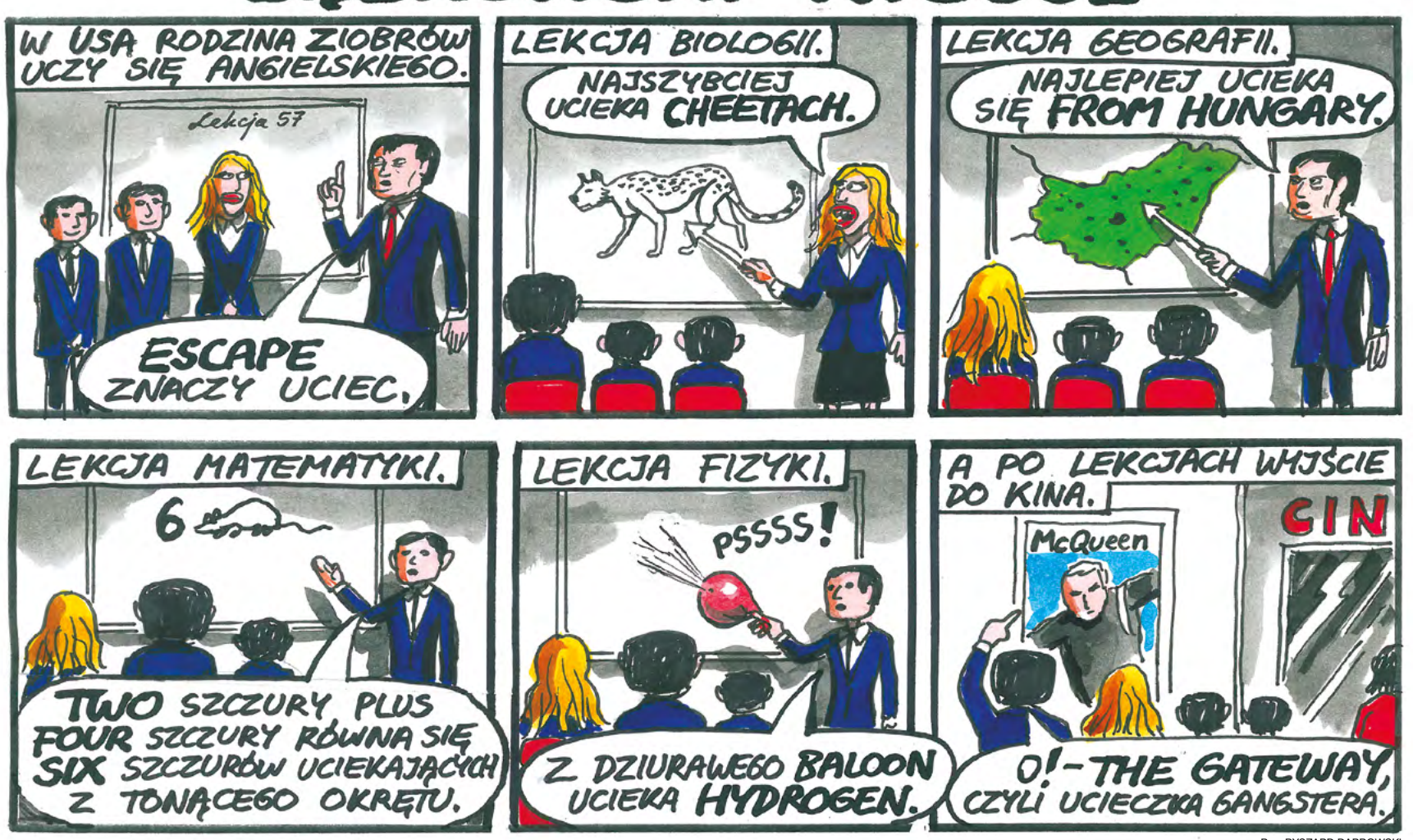
– Ojejku, a co to?

– Taka jadalna psianka, w Polce niedoceniania, za to rozchwytywana przez francuskich kucharzy. Strasznie wali czosnkiem, więc wzrok niepotrzebny, zbiera się na węch.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

Ilustr. PAWEŁ FERENC

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl dedb5134a1